

Konferencje biblijne 2005/2006 — Bohaterowie wiary Nowego Testamentu

Ks. Waldemar Chrostowski

Parafia Zwiastowania Pańskiego,
ul. Gorlicka 5/7, Warszawa

Nieautoryzowany zapis na podstawie nagrań: J. Paczyński

Spis treści

1	Najświętsza Panna Maria — Zwiastowanie (10 października 2005)	2005/2006 – 1
2	N.M.P. — do odnalezienia Jezusa w świątyni (14 listopada 2005)	2005/2006 – 11
3	Trzej Królowie (9 stycznia 2006)	2005/2006 – 21
4	Nikodem (20 lutego 2006)	2005/2006 – 31
5	Piłat (20 marca 2006)	2005/2006 – 41
6	Łazarz (10 kwietnia 2006)	2005/2006 – 51
7	Kardynał Stefan Wyszyński jako ojciec dwóch papieży (15 maja 2006)	2005/2006 – 61
8	Jezus i Samarytanka (12 czerwca 2006)	2005/2006 – 71

Ostrzeżenie

Ten tekst **nie jest autoryzowany przez Księdza Profesora!** W związku z tym należy go **czytać z rozsądną podejrzliwością**. Tekst był spisywany z nagrań z najlepszą wolą i wielkim nakładem pracy, ale:

- Tekst jest zapisem słowa mówionego. Z pewnością artykuł na ten sam temat Ksiądz Profesor pisał by nieco inaczej. Ale dość szybko doszedłem do wniosku, że nie jestem upoważniony do istotnych interwencji redakcyjnych. Bowiem zauważyłem, że nawet dygresje mówią bardzo wiele o osobowości Księdza Profesora.
- Tytuły poszczególnych wykładów są tylko moim pomysłem.
- Podział na akapity, często nawet podział dłuższych zdań, podkreślenia tekstu itp. są tylko moim pomysłem.
- Dużo trudności sprawia mi „pobożnościowa ortografia”. Z jednej strony nie chciałbym szargać świętości (a może Świętości?). Zaś drugą stronę – jak mi się wydaje – najlepiej obrazuje stary kawał, w którym padają słowa: „Nie maluj Mnie na kolanach, maluj Mnie dobrze!”.
- Sytuacja opisywana w poprzednim punkcie uległa pewnej poprawie. Mianowicie udało mi się nabyć „Zasady pisowni słownictwa religijnego”, Biblos, 2004; Wyd. II, 2005. Ale stało się to dopiero wiosną 2005 r.

W końcu chciałbym ujawnić motywy, które mną kierowały przy podjęciu decyzji o spisywaniu tych konferencji. Dość szybko zauważyłem, że słucham z zapartym tchem ale trwale zapamiętuję tylko kilka procent informacji. Więc najpierw miało to być tylko dla mnie, bo jestem raczej „wzrokwowcem”. Ale przecież mam przyjaciół i znajomych, którzy są np. chorzy, albo zajęci ... Wdzięczność kilku osób była dodatkową motywacją.

Jerzy Paczyński

1 Najświętsza Panna Maria — Zwiastowanie (10 października 2005)

Spotykają się państwo między sobą jak starzy znajomi. I też ze sobą spotykamy się jak znajomi. Minęło kilka miesięcy, czas wakacji się skończył. Rozpoczyna się nowy rok akademicki. Dzisiaj nawet w Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego była inauguracja, w zeszłym tygodniu w czwartek na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu — więc czas na nas. „W imię Ojca . . .”. „Ojciec nasz. . .”. „Stolico Mądrości . . .”.

Bardzo, bardzo serdecznie wszystkich państwa witam i cieszę się z powodu tak licznej frekwencji. Chociaż — powtarzam to do znudzenia państwu — to jest wielkie zobowiązanie obok tej wielkiej radości, to właśnie drugi biegun, to wielkie zobowiązanie i obawa, żeby sprostać tym zainteresowaniom i tym duchowym potrzebom, które z tego rodzaju obecnością się łączą. Żeby nie przedłużać przejdziemy od razu zwracając uwagę na jeszcze jedną rzecz. Mianowicie jeżeli weźmiemy pod uwagę wszystkie dotychczasowe lata tych konferencji biblijnych, które odbywają się tutaj, na warszawskiej Ochocie, prowadzonych niegdyś w Parafii Opatrzności Bożej, a od kilkunastu lat w Parafii Zwiastowania Pańskiego, to rozpoczynamy mały jubileusz. Dlatego, że jest to dwudziesty rok tych konferencji biblijnych. Dwadzieścia lat, każdego roku, z większą czy mniejszą częstotliwością — początkowo co dwa tygodnie, później co miesiąc — spotykamy się z państwem i wiem, że jest tutaj co najmniej kilka, może kilkanaście osób, które brały udział jeszcze w tamtych pierwszych konferencjach, właśnie na Dickensa, w Parafii Opatrzności Bożej. Pamiętam je doskonale. Zaczynałem je jesienią 1985 r. i tam trwały przez kilka lat. Potem były równoległe, i tam i tutaj, a później przenieśliśmy się do Parafii Zwiastowania Pańskiego. I od 1993 r. czyli już dwanaście lat, są tutaj, w Parafii Zwiastowania Pańskiego.

Proszę pozwolić, że na samym początku konferencji złożę hołd temu, który w jakiś sposób był u ich podstaw, który zachęcał do tego, żeby te konferencje podjąć, który w ogóle był dobrym duchem mojej pracy duszpasterskiej, mojego pobytu w Parafii Opatrzności Bożej. Chodzi o ś.p. ks. Romualda Kołakowskiego. Jak państwo wiedzą pod koniec lipca ks. prałat Kołakowski po bardzo długiej, ciężkiej chorobie którą bardzo mężnie, wręcz heroicznie znosił, i którą przyjął z wielkim zawierzeniem wobec Pana Boga będąc dla nas, zwłaszcza kapłanów, wielkim wzorem, zmarł, przeszedł na tę drugą, miejmy nadzieję — lepszą, stronę życia. Jego pogrzeb odbył się 1 VIII w samą rocznicę Powstania Warszawskiego. On był zawsze wielkim patriotą, głęboko przywiązanym do polskich tradycji i dobrym, wielkim, wspaniałym człowiekiem, Polakiem. I na początku tegorocznych konferencji złożyć chociażby taki krótki, wręcz symboliczny hołd wobec niego, bo był to człowiek wielkiego formatu i w moim przekonaniu, i z moich doświadczeń, to był człowiek, to był kapłan, który w naszych czasach wypełniał ideał świętości. Nie tylko uczył o Panu Bogu, ale prawdziwie żył Panem Bogiem. I wystarczy, abym przymknął oczy, żebym widział jak z różańcem w ręku chodzi dookoła kościoła Opatrzności Bożej, jak modli się za innych. Z wielką wyrozumiałością, dobrocią podchodził do rozmaitych spraw. Aczkolwiek z drugiej strony dobrze wiemy, że był bardzo bezkompromisowy jeżeli chodzi o dobro, o budowę kościoła, który wzniósł tam w wielkim trudzie razem ze swoimi parafianami. I także istnienie tej parafii, o czym państwo dobrze wiedzą, to także jego wielka zasługa. I kiedy rozpoczynamy dwudziesty rok tych konferencji to wracam i myślami, i pamięcią, i sercem do jego osoby, do tego, czego dokonał, do jego wielkiej serdeczności, gościnności, dobroci którą okazywał różnym ludziom z nadzieją, że także po tej drugiej stronie życia będąc obecny będzie również i nam sprzyjał.

Dwudziesty rok — oczywiście za każdym razem, i przy tego rodzaju okazji również, trzeba się zastanawiać nad wyborem tematu. Trudno jest znaleźć temat, który by zaspokoił potrzeby duchowe i aspiracje państwa — także w tym, co dotyczą Pisma Świętego. Ja też długo zastanawiałem się nad wyborem tematu i postanowiłem, że przedmiotem będzie coś, czego jeszcze nie mieliśmy, ale co oczywiście w rozmaitych konnotacjach, w rozmaitych skojarzeniach, w rozmaitych konferencjach się pojawiała. Mianowicie za przedmiot naszych refleksji bierzemy wielkich bohaterów wiary Nowego Testamentu. Być może państwo pamiętają, że mieliśmy kilkanaście lat temu wielkich bohaterów wiary Starego Testamentu. Potem przeszliśmy do omawiania ewangelii, mieliśmy konferencje poświęcone Najświętszej Marii Pannie, konferencje poświęcone św. Pawłowi, Dziejom Apostolskim, początkom Kościoła — Kościołom Apostolskim czyli Kościołom Apokalipsy. Mówiliśmy na rozmaite tematy związane z Nowym Testamentem. Chciałbym w tym roku nieco uporządkować naszą

wiedzę i zwrócić uwagę na te teksty Nowego Testamentu, które dotyczą wielkich bohaterów wiary, przedstawionych na kartach tej drugiej części Biblii chrześcijańskiej. Chciałbym, żebyśmy przyjrze-
li się tym wielkim bohaterom dlatego, że w ich zmaganiach odnajdujemy nasze zmagania, w ich wątpliwościach — nasze wątpliwości. Z kolei w ich zawierzeniu — nasze zawierzenie. Dlatego, że oni są u początków naszej wiary. I zapewne dobrze będzie — chociaż wiele rzeczy już słyszeliśmy — próbować to sobie uporządkować i przedstawić tych wielkich bohaterów wiary jako żywych świadków wiary, jako żywych ludzi. A poniekąd wyobrazić sobie, że żyją właśnie w naszych czasach. To tak jakby próbować napisać wielkie opowiadanie o tych, którzy dzisiaj są bohaterami wiary, albo właśnie przeszli do wieczności. W tym roku mamy takie właśnie wielkie postacie, które trwale zapisały się w historii Kościoła, świata czy ojczyzny, czy wreszcie tutaj naszego regionu.

A my wracamy do samych początków. Myślę, że sensowność, celowość i pożytki z tego naszego przedsięwzięcia staną się widoczne nie tylko dzisiaj, ale potem — wraz z upływem czasu. Bo będę chciał, niejako próbował raz jeszcze, może trochę inaczej, ożywić Pismo Święte pokazując, że bohaterami Pisma Świętego są ludzie pod wieloma względami tacy, jak my. Podobnie jak autorami są ludzie tacy, jak my. Bo jak często to powtarzamy, Pismo Święte powstało z wiary i dla wiary. Jako owoc wiary i celem budowania wiary. Zwróćmy uwagę na jeszcze jedno doprecyzowanie. Proszę zwrócić uwagę, że zapowiedziałem: „Wielcy bohaterowie wiary”. Nie chodzi o to, nie będzie na tych konferencjach chodziło o to, że próbujemy udowodnić istnienie Boga, próbujemy je wykazać, próbujemy kogoś przekonać albo pozyskać dla wiary. Nie o to chodzi! Ja przyznam się państwu szczerze, że będąc prawie trzydzieści lat księdzem zawsze mam kłopoty z tymi, którzy są niewierzącymi albo takimi się deklarują. Dlatego, że zawsze wydaje mi się — tak przynajmniej to czuję — że nie ma niewierzących. Bo są tacy — powtarzałem to państwu wiele razy — którzy wierzą, że Bóg istnieje, i są tacy, którzy wierzą, że Bóg nie istnieje. Jedni i drudzy wierzą. Jedni i drudzy mają w tym jakieś argumenty, jakieś duchowe racje, jakieś przekonania, przeświadczenia, doświadczenia życiowe albo ich brak. Jedni i drudzy mają jakąś związaną z tym wrażliwość, ale jedni i drudzy stoją jak gdyby na krawędzi. Bo wiara to zawsze szukanie po omacku. To jest jakby światło, które można zauważyć w ciemnościach, ale pod jednym warunkiem — tym mianowicie, że człowiek otworzy oczy. I na tych konferencjach nie będziemy zastanawiali się jak pozyskiwać tych, którzy wierzą, że Boga nie ma. Myślę, że taka duchowa sytuacja jest wielkim kalectwem. Jest też wielką trudnością. Ja wspominałem kiedyś państwu o człowieku z którym rozmawiałem, który deklarował, że jest niewierzącym, wierzy, że Boga nie ma. I pod koniec tej rozmowy powiedział: „Jak ja księdzu zazdroszczę, że ksiądz wierzy. Że ksiądz ma taką wiarę. Jak ja zazdroszczę! Jak ja bym bardzo chciał ją mieć! Bo jednak” — dodał — „wierzącym jest znacznie łatwiej”.

Pod pewnymi względami wierzącym w Boga jest rzeczywiście łatwiej. Pod innymi względami wierzącym w Boga jest trudniej, nawet bardzo trudno. Otóż są sytuacje w naszym życiu, kiedy wiara wystawiona jest na ciężką próbę. I wystawiona jest nie dlatego, że grozi nam niewiara, lecz dlatego, że mamy kłopoty, mamy problemy, mamy trudności z obrazem Boga. Nie z istnieniem Boga, ale z naszymi wyobrażeniami o Bogu. Zadajemy sobie pytanie czy rzeczywiście Bóg jest dobry, czy rzeczywiście Bóg jest miłosierny, czy rzeczywiście jest Miłością, czy rzeczywiście dzieje tego świata mają się toczyć tak, jak się toczą. Nie to, czy Bóg istnieje, bo to pytanie jest stosunkowo łatwe. Dowody na istnienie Boga są wszędzie — i w świecie, i w nas samych. I w astronomii, i w mikrobiologii, i w historii, i w przewidywaniach przyszłości. Tylko największy kłopot jest z tym: A co znaczy, że Bóg istnieje w świecie, który jest naznaczony piętnem zła, grzechu, nieszczęścia itd. Teraz, kiedy właśnie mamy naszą konferencję, w katedrze białostockiej pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Panny Marii odbywa się koncert. Koncert, który stanowi wspomnienie, jest dedykowany dziesięciorgu maturzystom oraz trojgu dorosłym, którzy zginęli kilkanaście dni temu w katastrofie drogowej. Czasami wydawałoby nam się, że gdyby jechali na dyskotekę — tak sobie po cichu myślimy, bo do tego wstydzimy się przyznać — to może byśmy specjalnie nie rozpaczała. Albo gdyby wracali z dyskoteki pijani, to wszystko byłoby jakby jasne. Ale oni jechali do Częstochowy z pielgrzymką. I wszystko rozegrało się rano — i zginęło aż dziesięcioro dziewcząt i chłopców. I pojawia się to pytanie, które z całą pewnością niejedna i niejeden z państwa miał: A co na to Pan Bóg? Gdzie jest Pan Bóg? Czy nie jest jakimś wstydem dla Pana Boga, że giną ci, którzy Go wyznają? Czy nie jest jakimś argumentem, który nam całą wiarę utrudnia a nawet uniemożliwia czasami, że musimy znosić takie z Jego strony dopusty? Czy nie byłoby łatwiej gdyby ci, którzy

Go wyznają, mieli prostsze życie? Gdyby nie chorowali, nie cierpieli, nie umierali, nie ginęli? Czy nie byłoby łatwiej, prościej, gdyby za życia, już teraz, wiara się opłacała a niewiara nie przynosiła żadnych korzyści? Czy nie byłoby łatwiej i prościej, gdyby Pan Bóg bardziej przekonywał nas nie tylko o swojej obecności, a także o swojej miłości, miłosierdziu? Mówimy, wyznajemy, że Bóg za dobre wynagradza a za złe karze. A więc co? Czy każde nieszczęście, każda choroba, każde cierpienie staje się karą za zło, którego dopuściliśmy? Czy nie widzimy, że ta podstawowa zasada wiary bywa zachwiana?

Doskonale to widział biblijny Hiob, mówiliśmy o tym wiele razy. W tej chwili, w tym czasie powstaje nawet film, który nosi tytuł: „Kto nigdy nie żył”. Reżyserem tego filmu jest pan Andrzej Seweryn, a treścią tego filmu jest jak gdyby Hiob na progu XXI wieku. Hiob dzisiaj, Hiob podany w naszych warunkach. Ale takich Hiobów jest dużo więcej — albo tych, którzy cierpią, albo tych, którzy opłakują swoich bliskich. Kiedy dzisiaj o tym mówimy, to też jest to również jakiś rodzaj hołdu wobec tych młodych ludzi, i dziewcząt i chłopców, wobec tych maturzystów, których Pan Bóg spośród nas zabrał. I będziemy starali się już bez nawiązywania do tej konkretnej sytuacji, do tysięcy takich konkretnych sytuacji, będziemy starali się zrozumieć, pokazać, przybliżyć sobie co znaczy wiara, co znaczy być bohaterem wiary, na czym polegają wyznania, które z wiary płyną.

Dzisiejszym bohaterem naszym jest Maryja. Robimy tak dlatego, ponieważ jest największą bohaterką wiary. Nie potrafię powiedzieć, czy uda nam się zmieścić wszystko w tej jednej konferencji, zapewne nie. Ale robimy tak również dlatego, ponieważ miesiąc październik jest Jej poświęcony. A więc rozważamy tajemnice z Jej życia w tajemnicach różańca świętego, i jeżeli szukamy jakiegoś przykładu wiary, to znajdujemy ten przykład przede wszystkim w Niej. Bo mimo wszystkich różnic, a różnice wynikają przede wszystkim z tego, że była bez grzechu pierwotnego poczęta, to przeszła przez wszystkie próby wiary, przez które może przejść człowiek. I już na wstępie musimy powiedzieć, że Ona pokazuje nam drogę wiary, pokazuje nam naturę wiary i pokazuje nam to, co stanowi już na wstępie bardzo ważny drogowskaz. A mianowicie że Bóg doświadcza tych, których miłuje. I że ci, którzy przeżywają trudności w życiu, kłopoty, cierpienia, stają wobec trudnych wyborów — to jest tak dlatego, ponieważ są dopuszczeni do tajemnicy miłości i Miłosierdzia Bożego. Są dopuszczeni tak bardzo jak niedopuszczeni są inni, którzy być może podobnych doświadczeń nie mogliby, nie byłiby w stanie, znieść.

Maryja nie miała żadnego grzechu, została poczęta bez grzechu, a więc żyła w absolutnej wierności Bogu. Ale ta wierność była wiele razy wystawiana na próbę. I będziemy oglądać, będziemy czytając Pismo Święte, czytając Nowy Testament starali się tego dociekać. Chciałbym osadzić Maryję w realiach jej życia. Chciałbym żebyśmy spojrzeli na Nią nie tak, jak patrzymy na postać na obrazkach, namalowaną na podobieństwo Włoszki, Greczynki, Hiszpanki, Polki czy nawet Murzynki bo mamy i czarne Madonny, nie przez pryzmat ikonografii, ale chcielibyśmy spojrzeć na Nią w realiach jej życia, a będą to realia historyczne, geograficzne po części, społeczne, religijne a także swoiste realia psychologiczne. Nie po to, broń Boże, żeby odbarwiać wizerunek Maryi, żeby ją w jakikolwiek sposób sprowadzać do codzienności, ale po to by zrozumieć, że była człowiekiem — z wyjątkiem grzechu — takim samym, jak my. I że Pan Bóg pozwolił Jej przejść przez drogę, którą później poszło wielu z tych, którzy wyznawali Jej Syna jako swojego Pana i Zbawiciela. Ona była pierwsza. Jan Paweł II, również wspominałem o tym państwie kiedyś, gdy jesienią 1979 r. udał się do Turcji, była to jedna z jego pierwszych podróży apostołskich, odbyta kilka miesięcy po pierwszej pielgrzymce do ojczyzny, to bardzo chciał być w Efezie. A w Efezie udał się na miejsce, które nazywa się Meriemana czyli Domek Maryi. Wg. tradycji tam Najświętsza Maryja Panna miała przeżywać ostatnie lata czy może miesiące jej życia. Zostawmy na boku tę tradycję efezką dlatego, że tu nie jesteśmy w stanie specjalnie ją historycznie uwiarygodnić. W widzeniach niemieckiej mistyczki Katarzyny Emmerich w XIX w. opisała ona ten domek bardzo dokładnie, aczkolwiek nigdy tam nie była i nie miała pojęcia, że on istnieje. Na tej podstawie od XIX w. wzmógł się kult tego miejsca i trwa po dzień dzisiejszy. Jan Paweł II na maleńkim dziedzińcu, bardzo zielonym — są wśród państwa osoby, które tam były, i z całą pewnością zrobiło to wielkie wrażenie, to Wzgórze Słowików — nazywane tak dlatego, że z samego rana i późniejszym popołudniem jest tu mnóstwo słowików, które dają znać o sobie — na Wzgórzu Słowików obok ołtarza jest pusty plac. Tam zgromadzili się chrześcijanie tureccy i muzułmanie. Oczywiście nie było ich tysiące, ale był dostatecznie duży tłum. I Ojciec Święty powiedział wtedy, że w Maryi dokonało się przejście od nadziei żydowskiej

do nadziei chrześcijańskiej. To jest najgłębsza synteza życia Najświętszej Maryi Panny. Przejście od nadziei żydowskiej do nadziei chrześcijańskiej. Otóż Maryja z jednej strony była osadzona w realiach, w rzeczywistości Starego Testamentu, rzeczywistości biblijnego Izraela, rzeczywistości żydowskiej. Z matki i z ojca była Żydówką urodzoną w Jeruzolimie, żyła według zwyczajów tego narodu, zachowywała te zwyczaje. Słuchała, brała udział w liturgii synagogałnej, brała udział w czytaniu Pisma Świętego. Wykonywała to wszystko, co żydowska dziewczyna powinna była wtedy wykonywać. Jednym słowem była wpisana w tę rzeczywistość Starego Testamentu. Jeżeli chcemy naprawdę zrozumieć Maryję, to można by tutaj powtórzyć słowa biskupów niemieckich, które biskupi niemieccy odnieśli do Chrystusa:

Kto spotyka Jezusa Chrystusa, to spotyka judaizm. Kto spotyka Maryję, spotyka judaizm.

Oczywiście nie judaizm dzisiejszy, nie judaizm rabiniczny. Nie ten judaizm, taki jaki mamy pod Ścianą Płaczu czy mamy w synagodze w Warszawie. Spotyka judaizm sprzed dwóch tysięcy lat, historyczny, który się potem rozwinął jako chrześcijaństwo, rozwinął się jako judaizm rabiniczny właśnie — i tam, w tym judaizmie biblijnym osadzona jest Najświętsza Maryja Panna. Jeżeli chcemy zrozumieć jej wiarę, to powinniśmy sięgnąć do ksiąg Starego Testamentu, do Pięcioksięgu nazywanego Torą, do zbioru Proroków, do zbioru Pism. I powinniśmy zdawać sobie sprawę, że to jest gleba na której Ona wyrosła. Że to jest woda duchowa, którą się poila. Że to jest pokarm, którym się karmiła. Więc to wszystko jest podglebie — cały Stary Testament. Oczywiście nie mamy teraz czasu, żeby zajmować się tym żydowskim tłem Starego Testamentu i żeby mówić o żydowskości Maryi. Sądzę, że dla nas wszystkich jest to sprawa jasna.

Błąd jednak popełniają ci, którzy koncentrują się na tej żydowskości tak dalece, że zapominają o drugim członie papieskiej wypowiedzi. Tej mianowicie, że „w Niej dokonało się przejście od nadziei żydowskiej do nadziei chrześcijańskiej”. A zatem nadzieja żydowska i nadzieja chrześcijańska różnią się między sobą! To nie jest tak, że te dwie siostrzane religie są jednocześnie tak blisko siebie, że w gruncie rzeczy z Bożego punktu widzenia jest wszystko jedno, czy ktoś jest wyznawcą judaizmu czy jest chrześcijaninem. To nie jest tak, że są dwie drogi zbawienia, obie są równoprawne i że możemy zostawić jednych na tej drodze a sami kroczyć inną, tak jak gdyby w Jezusie Chrystusie nic się nie stało. Otóż jest inaczej, wręcz przeciwnie! Mianowicie droga żydowska i droga chrześcijańska różnią się między sobą. Na czym ta różnica polega — widać najlepiej po sobie i w losie Najświętszej Maryi Panny.

Na czym polega nadzieja żydowska i nadzieja chrześcijańska widać na podstawie Ewangelii w obserwowaniu życia Maryi. Tylko Jej specyfika, specyfika Maryi na tym polega, że Ona była pierwszą, w której to przejście się dokonało. Gdybyśmy szukali jakiegoś obrazu to moglibyśmy powiedzieć, że z jednej strony jest zakorzeniona, ma nogi jak gdyby w rzeczywistości Starego Testamentu. Natomiast z drugiej strony jej głowa, jej ciało jest w rzeczywistości Testamentu Nowego. To jest tak, jak w tym słynnym arabskim przysłowiu o palmie — że palma ma swoje nogi gdzieś tam w otchłani, w niebie skąd czerpie wodę, a swoją głowę ma w rzeczywistości przepelnionej słońcem. I z Maryją zupełnie podobnie. Karmiła się wodami Starego Testamentu, ale jednocześnie stanowiła początek Testamentu Nowego. I w niej doskonale widać, na czym polega przejście od Synagogi do Kościoła. Od wiary w Boga, w której nie znamy Syna Bożego, do wiary w Boga, w której poznaliśmy Boga za pośrednictwem Syna Bożego Jezusa Chrystusa i wiemy więcej o bogactwie wewnętrznego życia Boga. To jest ten sam Bóg, który objawił Siebie bardziej, lepiej, pełniej. Objawił Siebie dlatego, że dla nas i dla naszego zbawienia stał się Człowiekiem. Ona pierwsza tej zbawczej rzeczywistości Boga doświadczyła. Co więcej — Ona pierwsza ją przyjęła.

I tutaj dotykamy jeszcze jednego aspektu, który ma związek z relacjami chrześcijańsko - żydowskimi. A o tym będą państwo słyszeli w najbliższych tygodniach więcej bo wkrótce, 28 X, przypada czterdziesta rocznica soborowej deklaracji „Nostra aetate” o stosunkach Kościoła do religii niechrześcijańskich i na pewno ten wątek będzie wiele razy przypomniany. Otóż często dzisiaj jest tak, że mówi się że chrześcijaństwo jest dla Żydów zbyt trudne. Że akceptacja Jezusa Chrystusa jest na tyle trudna, że wręcz niemożliwa. Że Jezu Chrystus wykracza poza możliwości żydowskiej akceptacji Go jako Boga. A przecież — jeżeli tak mocno podkreślamy żydowskość Maryi, to Ona była Żydówką! Dla Niej nie było to za trudne! Ona pierwsza przeszła przez ten próg wiary ze Starego do Nowego Testamentu.

Dlatego właśnie Maryja nie cieszy się w religii żydowskiej specjalnym wzięciem. Dlatego nie chcą dzisiejsi rabini i dzisiejsi Żydzi o Niej mówić — bo jest niewygodna. Bo jeżeli Ona była Żydówką i uwierzyła w Jezusa, i Jezusowi, i z Jezusem całym sercem, to znaczy że to jest droga, którą może pójść każda żydowska kobieta i żydowski mężczyzna. Ale tu dotykamy już spraw, które ciągle nas dzielą.

A więc nasza refleksja nad Maryją nie jest wcale refleksją akademicką, jakąś — powiedzmy sobie — wyuczoną czy teoretyczną. Nasza refleksja nad Maryją dotyka, dosięga, dotyczy samych podstaw naszej chrześcijańskiej wiary. Jeżeli chcemy zrozumieć kim jest Maryja i co znaczy dla nas, jakie zajmuje miejsce w wierze, to musimy się nad Nią zastanawiać badając, oglądając to z różnych stron, aby tym lepiej zobaczyć na czym specyfika naszej wiary polega. I również jeżeli chcemy wejść w owocne dialogi z innymi ludźmi, przede wszystkim z wyznawcami judaizmu, to musimy poznawać to, co jest istotne dla nas i mieć świadomość bogactwa całej sytuacji, która staje się przedmiotem naszych dyskusji, polemik czy kontrowersji.

Przejdźmy zatem już do Nowego Testamentu, do Pisma Świętego, które Maryi już bezpośrednio dotyczy. I gdyby zrobić wśród państwa konkurs i zapytać, który z tekstów w Nowym Testamencie, tekstów Ewangelii, jest maryjny w swoim charakterze, to myślę, że pojawiły by się bardzo rozmaite odpowiedzi. Bardzo wiele osób ma za sobą lekturę Nowego Testamentu, lekturę całego Pisma Świętego nawet albo jego większości, i mają państwo na ten temat dobre rozeznanie. Na pewno po krótszym czy dłuższym czasie doszlibyśmy do dobrej odpowiedzi. Otóż pierwsze odniesienie do Maryi, pierwsze skupienie światła na Maryję, pierwszy ten jakby reflektor na Maryję znajduje się na samym początku Nowego Testamentu, tzn. w Ewangelii św. Mateusza, w jej pierwszym rozdziale, w rozdziale, który tę Ewangelię otwiera, który Nowy Testament otwiera, który otwiera — można by powiedzieć — księgi święte chrześcijan. I ten pierwszy rozdział jest zogniskowany na Maryi. Na pozór wydaje się, że nie! Czytamy:

Rodowód Jezusa Chrystusa, syna Dawida, syna Abrahama.

Na początku wydaje się, że chodzi wyłącznie o męską linię. I rzeczywiście nie będziemy tutaj tego tekstu czytać, bo państwo go dobrze znają. Czytany będzie za dwa miesiące, w okresie Adwentu. Jeżeli kapłan, który sprawuje liturgię, nie przeskoczy kilku imion, to będą państwo słyszeli trzy razy po czternaście imion. Bo całe dzieje staro-testamentowego Izraela zostały podzielone na trzy części: od Abrahama do Dawida, od Dawida do przesiedlenia babilońskiego, od przesiedlenia babilońskiego do Jezusa Chrystusa. Ewangelista pokazuje nam, że Stary Testament to nie tylko zbiór opowiadań, które mogą nas zainteresować, które zostały obok siebie zestawione, lecz Ewangelia pokazuje, że Stary Testament miał swój sens, miał swój cel, miał swój kierunek. I że w osobie Jezusa Chrystusa ten kierunek został osiągnięty. A więc, że Stary Testament ma dynamizm, który można by nazwać mesjańskim. Że Stary Testament nie jest stagnacją. Że to nie chodzi o to, że Stary Testament jest księgą z zakresu historii religii, że dowiadujemy się w co wierzyli Izraelici w czasach przed Chrystusem. Nie! Stary Testament jest jak dynamit w którym jest moc, która się wyzwoliła wraz z Chrystusem. Ojcowie Kościoła czyli ci, którzy stali u początków wiary, mówili, że ile jest słów w Starym Testamencie, to wszystkie z nich dotyczą Chrystusa, odnoszą się do Chrystusa, chociaż się o Nim nie mówi. I używali takiej przenośni, takiego obrazu: Jeżeli kochasz kogoś — mówili — to czy musisz cały czas o nim mówić? Albo czy musisz cały czas o nim myśleć? Przecież jest tak, że jeżeli pracujesz, to pracujesz z myślą o nim. Jeżeli uczysz, czy się uczysz, to robisz to z myślą o nim. Jeżeli się troszczysz o coś, to robisz to z myślą o nim czy o nich.

Więc nie jest ważne, żeby przez cały czas powtarzać słowa zapewnienia i deklaracje. I mówili: „I w Starym Testamencie jest tak samo. Aluzje do Chrystusa są rzadkie, czasami bardzo rzadkie. Ale właśnie ta mała liczba aluzji nadaje Staremu Testamentowi tym większą siłę, tym większą moc przekonywania. Bo ci, którzy kochają więcej, mniej o tym mówią.” Więc w Starym Testamencie dopatrzono się tego dynamizmu miłości. I na początku Ewangelii św. Mateusza mamy właśnie o tym mowę. Proszę pamiętać, że Mateusz był Żydem. Pisze dla Żydów, dla chrześcijan nawróconych z judaizmu. Oni rozumieją wszystkie te aluzje, to jest ich język, to jest ich kultura, ich historia, ich wiara, ich religijność, ich zwyczaje. To, czego my się uczymy jako dorośli, oni znali od dziecka. oddychali tym, karmili się tym. Zatem Mateusz nie pisze przypadkowo. To my po dwóch tysiącach

lat rozważając te słowa w Warszawie jesteśmy niejako przypadkowymi słuchaczami. Ale pierwsi adresaci doskonale wiedzieli o co chodzi.

Dzieje więc zostały podzielone na trzy okresy. I w tych trzech okresach ukazuje się ich sens. Mianowicie sensem Starego Testamentu jest Jezus Chrystus. I przedstawia się ojca i syna. Ojca i syna — i tak czterdzieści dwa razy doprowadzając to — znają państwo doskonale ten tekst, ja go tylko raz jeszcze króciutko przeczytam — pod sam koniec, że:

Jakub ojcem Józefa, męża Maryi, z której narodził się Jezus, zwany Chrystusem.

Ten ciąg zostaje nagle przerwany. Ten ciąg mężczyzn zostaje nagle, raptownie odwrócony. To tak, jakby ktoś próbował odwrócić Wisłę, żeby płynęła w drugą stronę, bo taki ma kaprys. I to samo tu. Otóż cały czas są mężczyźni, ojciec i syn, a tu w tym jednym miejscu ta linia została nie tylko zachwiana, ale zerwana. Mianowicie: „Jakub ojcem Józefa, męża Maryi, z której narodził się Jezus, zwany Chrystusem.” A więc był mężem Maryi, ale nie był ojcem Jezusa Chrystusa w fizycznym tego słowa znaczeniu tak, jak wszyscy jego przodkowie. Coś zmieniło się, logika Starego Testamentu została zachwiana. Ta rzeczywistość Starego Testamentu została podważona. A została podważona dlatego, ponieważ w tą rzeczywistość męską weszła kobieta. I to z niej narodził się Jezus Chrystus. Ale nie tylko to jedno. Otóż pierwsi żydowscy czytelnicy Ewangelii św. Mateusza widzieli coś jeszcze. Mianowicie, że wcześniej w tym rodowodzie — wiedzą o tym ci z państwa, którzy brali udział kiedyś w konferencjach — mamy cztery kobiety, cztery kobiety Starego Testamentu. Kobiety niezwykle, kobiety osobliwe. Może warto byłoby sięgnąć po ten pierwszy rozdział Ewangelii Mateusza, tam na dole są podane biblijne odniesienia, i poczytać sobie o tych kobietach. Jedna to Tamar, druga to Rahab, trzecia to Rut, czwarta to Batszeba. Gdybyśmy chcieli je bliżej przedstawiać — był kiedyś taki cykl naszych konferencji: „Kobiety w Piśmie Świętym”, kobiety Starego Testamentu, i o każdej z nich mówiliśmy przez godzinę, chociaż Pismo Święte robi to krócej. Otóż gdybyśmy chcieli przedstawiać każdą z nich, zobaczylibyśmy, że w przypadku każdej mamy do czynienia z jakąś nieregularnością, z jakąś osobliwością. Czasami jest to jakaś wada jak w przypadku Rahab, która była nierządnicą. Kiedy indziej jest to pochodzenie, jak w przypadku Rut, która była Moabitką, nie była Żydówką. Czasami mamy do czynienia z jakimś dramatem, jak w przypadku Tamar. A kiedy indziej mamy do czynienia z dramatem, w którym kobieta miała swój udział, jak w przypadku Batszeby, która związała się z Dawidem. Każda z tych kobiet została włączona w staro-testamentową historię zbawienia i można by powiedzieć dzisiejszym językiem, że każda z nich to jest kobieta po przejściach. Każda z nich zasługiwałaby na osobny obyczajowy film i osobne obyczajowe omówienie. Zwróćmy uwagę, że na końcu tego łańcucha umieszczona jest Maryja.

Co łączy Maryję z tymi kobietami? Dlaczego cztery kobiety, których życiorysy tak odbiegały od ideału wiary Starego Testamentu, zostały umieszczone przed wzmianką o Maryi, o której i Pismo Święte i tradycja chrześcijańska wie, że była bezgrzeszna? Na czym polega owa solidarność Maryi z tamtymi kobietami? Na czym polegają podobieństwa, które zbliżają Maryję do nich? Otóż podobieństwa polegają na tym, że w przypadku Maryi mamy również do czynienia z osobliwością, i to z osobliwością wielką, która nie dotyczy innych kobiet. Która, jeżeli innych kobiet w podobny — bo nie taki sam — sposób dotyczy, to zawsze tym innym kobietom przysparza trudności. I tak było w starożytności, tak było kiedyś i tak jest po dzień dzisiejszy chociaż czasy się zmieniły. Na czym więc polega owa nieregularność, owa osobliwość, to specyficzne położenie Maryi? Z Niej narodził się Jezus Chrystus, ale Józef nie był jego ziemskim ojcem. Józef nie włącza się w ten łańcuch Starego Testamentu. Zauważmy, że już wybranie Maryi na Matkę Zbawiciela zakładało to zerwanie ze Starym Testamentem. I że Maryja musiała za to zapłacić bardzo wielką cenę. Tak oczywiście przenosimy się do epizodu, który też państwo doskonale znają i który jest związany z wezwaniem parafii, w której teraz właśnie znajdujemy się, mianowicie do epizodu Zwiastowania Pańskiego, Zwiastowania Maryi. Ten tekst znamy, bo czytaliśmy go dziesiątki, może setki razy — i w kościele, i na odpust, i przy innych okazjach. Ale warto jeszcze przypomnieć te linie, które będą nam ukazywać osobliwość Maryi.

W szóstym miesiącu

czytamy w Ewangelii św. Łukasza a chodzi o szósty miesiąc od czasu, kiedy Elżbieta poczęła syna;

posłał Bóg anioła Gabriela do miasta w Galilei, zwanego Nazaret, do Dziewicy poślubionej mężowi, imieniem Józef, z rodu Dawida; a Dziewicy było na imię Maryja.

Samo to zdanie sprawia dzisiejszemu człowiekowi bardzo duży kłopot. Dlaczego bowiem autor tak mocno akcentuje owo słowo „dziewica”, po grecku „partenos”, „która jest poślubiona mężowi”? Przecież jedno i drugie siebie wyklucza! Kiedyś w średniowieczu były podobno próby tzw. białych małżeństw czyli takich, kiedy ludzie łączyli się ze sobą ale bez małżeńskich powinności. Lecz gdy się im przyglądamy z dzisiejszego punktu widzenia, to ocieramy się o małżeństwo nieważne. Bo przecież warunkiem ważności małżeństwa jest także to, by je — jak nazywamy to w języku prawniczym — skonsumować. Więc jak ma się rzecz z Maryją? Tu dotykamy rzeczywistości żydowskiej, żydowskiego życia, która w gruncie rzeczy po dzień dzisiejszy pozostaje taka sama. Mianowicie zamążpójście czy też ożenek składa się zawsze z dwóch etapów. Pierwszy etap to są zaręczyny, tak jest po dzień dzisiejszy. Zaręczyny w gruncie rzeczy odbywają się nie pomiędzy chłopcem i dziewczyną, ale pomiędzy ich rodzicami. To rodzice spotykają się ze sobą i ustalają pewne warunki. Oczywiście — trzeba do tego dodać — nie dzieje się to bez woli ani bez zgody chłopca czy dziewczyny. Przecież rodzice tam, tak samo jak rodzice nasi, kochają swoje dzieci i nie chcą ich nieszczęścia. To nie jest tak, że jeżeli młody chłopak czy dziewczyna nie chce tego wybrańca, to rodzice na siłę decydują o tym. To byłoby niemożliwe, to byłoby nieludzkie. I na to żaden ojciec czy matka nie pójdzie bo mają w pamięci także swoją młodość i swoje uczucia. Ale kiedy już rodzice przeprowadzą rozmowy ze swoimi dziećmi, to oni przejmują inicjatywę. I wtedy odbywają się zaręczyny. Z tym, że te zaręczyny są przewidziane jako czas, w którym młodzi mają się do siebie przyzwyczaić. Ale w jakimś sensie przyzwyczaić? Mają się oswoić z myślą, że będą mężem i żoną. Ona też musi przygotować odpowiednie wyprawy, które potrzebne są kobiecie. On musi przygotować odpowiednie środki tak, aby rodzina nie była na utrzymaniu rodziców. Dlatego też zdarza się np. w rodzinach arabskich, gdzie obowiązuje ten sam zwyczaj, że żenią się bardzo późno bo nie stać ich na to, żeby rozpocząć samodzielne życie. Na tamtym obszarze nie ma takiego zwyczaju, jak u nas, że młodzi się kochają, żenią, a rodzice ich utrzymują. Nie! Młodzi się żenią — i utrzymują się sami. Musi tak być również dlatego, ponieważ jest bardzo dużo dzieci w rodzinach — nieraz kilkoro, nieraz jeszcze więcej. Zatem rodziców nie stać byłoby na to, żeby mieć w swoim domu 4 czy 5 czy 7 małżeństw ludzi, którzy właśnie weszli w związek małżeński a teraz czekają na wypłatę taty czy mamy. Tego nie ma. I w starożytności było dokładnie tak samo.

Maryja jest po zaręczynach z Józefem. Oboje przygotowują się do tego następnego etapu. Ten pierwszy etap nazywał się *elzim* i tak jest po dzień dzisiejszy. Natomiast drugi etap miał nastąpić za około rok, rok kalendarzowy. W tym czasie trwały przygotowania. Młodzi nie mogli na osobności spotykać się ze sobą, aczkolwiek mogli spotykać się w towarzystwie rodziców, rodzeństwa albo innych ludzi — ale sami nie, tak jest po dzień dzisiejszy. A warunkiem tego, żeby małżeństwo było ważne, było to, że w dzień zejścia się, w dzień właściwego ślubu, nazywany po hebrajsku *nissurie*, że ona jest panną. Ci z państwa, którzy byli w krajach arabskich gdzie bardziej otwarcie się o tym mówi, wiedzą, że po dzień dzisiejszy przykłada się ogromną wagę. Mianowicie kto widział arabskie wesele — ale u Żydów jest zupełnie podobnie tylko bardziej dyskretnie, zamknięte przed oczami innych — ale na arabskim weselu jest tak, że po formule zaślubin, po formule przyścia panny młodej oboje młodzi udają się do specjalnego pokoju, odpowiednio przygotowanego, do pomieszczenia, gdzie jest zapewniona intymność — i po jakimś czasie dowodem na to, że małżeństwo jest ważne, jest to, że wszyscy wiedzą, że dziewczyna jest panną, dziewicą. Gdyby było inaczej — wesele się odbyło, ale małżeństwa nie ma! Tak jest po dzień dzisiejszy. Oczywiście dla rodziny, dla rodziców jest wtedy wielki wstyd, wielka hańba. Praktycznie muszą uchodzić z miejsca, gdzie mieszkają. Dla dziewczyny jest to kompletne odrzucenie. W niektórych krajach arabskich, takich zwłaszcza bardziej tradycyjnych czy konserwatywnych, los tej dziewczyny jest naprawdę nie do pozazdroszczenia.

Dlaczego tak obszernie o tym mówimy? Dlatego, żeby państwo mieli w pamięci to, że ta sytuacja Maryi jest niezwykła i że ta sytuacja Maryi będzie dla Niej źródłem przeogromnego cierpienia, stanie się źródłem przeogromnego cierpienia. Ta sytuacja Maryi to jest ogromna próba jej wiary. Wiary w Boga. To my mamy w głowach wyobrażenie Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny — i tam jest światło, i gołębek — Duch Święty i Maryja, i spokój i błogosławieństwo, i radość. Ale dla Niej był

to krzyż, początek krzyża, który przyjęła. Zdecydowała się. Aluzje do tego mamy już w Ewangelii św. Łukasza, gdzie czytamy:

Anioł wszedł do Niej i rzekł: «Bądź pozdrowiona, pełna łaski, Pan z Tobą, jBłogosławiona jesteś między niewiastami!»

Te słowa anioła stały się początkiem modlitwy, którą znamy jako Pozdrowienie Anielskie, odmawiamy codziennie. Otóż w tym Pozdrowieniu Anielskim mamy uznane i wyznane dobroć, czystość Maryi i jej szczególnie związek z Bogiem. Podkreślam to państwu — Ona jest „Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą”. Po grecku jest to słowo *keharitomene*. *Hario* — łaska, *keharitomene* — przepelniona łaską, przepojona łaską tak jak przepojona światłem. Jakby prześwietlona przez Boga. Cała pełna łaski. I tu nam się ukazuje niezwykłą sytuację, niezwykle położenie Maryi. A reakcja:

Ona mieszała się na te słowa i rozważała, co miałyby znaczyć to pozdrowienie.

Oczywiście mogła zareagować inaczej. I kobietom i mężczyznom się to zdarza. Do takich reakcji jesteśmy zachęceni kiedy ktoś wygra coś, zwłaszcza w telewizorze. No to teraz niech będzie „Wow”. No to jest „Wow”. Więc jeżeli Maryja usłyszała tak wielkie pozdrowienie, to by mogła też na wzór naszych, którym się udało czy wygrali, krzyknąć „Wow”, „Cieszę się!” Ale Ona zachowała się zupełnie inaczej. Dlatego, że człowiek dobry, człowiek, który jest z Bogiem, człowiek, który żyje w łasce musi częściej niż inni korzystać z rozumu. A to z tej przyczyny, że ten rozum może mu się przydać w sytuacjach, w których inni tego rozumu tak mocno nie potrzebują. I Maryja też przyjmuje tę pochwałę, przyjmuje to wyróżnienie, ale zachowuje rozsądek. Nie ostrożność lecz rozsądek: Zmieszała się i zastanawiała się, co miałyby znaczyć to pozdrowienie. Jeżeli bowiem ktoś nas chwali — dobrze o tym wiemy — albo czyni to z dobrego serca, albo ma w tym jakiś interes, albo ma jeszcze jakieś inne intencje. I warto czasami zastanowić się skąd pochwały pochodzą. W starożytnym Rzymie znana była nawet cała taka figura i sposób postępowania — też wspominaliśmy o tym — która nosiła nazwę *Captatio benevolentiae* czyli *pozyskanie przychylności*. Jeżeli się chce czyjaś przychylność pozyskać, to mu się prawi komplementy wiążąc mu w ten sposób ręce. Pan jest taki dobry, pani jest taka miła. No i trudno być niemiłym. Otóż tu anioł zastosował wobec Maryi takie *captatio benevolentiae*, *pozyskanie przychylności*, ale Ona zachowała roztropność:

Anioł rzekł do Niej: «Nie lękaj się, Maryjo, znalazłaś bowiem łaskę u Boga. Oto poczniesz i porodysz Syna, któremu nadasz imię Jezus. Będzie On wielki i będzie nazwany Synem Najwyższego, a Pan Bóg da Mu tron Jego praojca, Dawida. Będzie panował nad domem Jakuba na wieki, a Jego panowaniu nie będzie końca».

To wystąpienie anioła jest trochę przydługie, bo on jakby streszcza całą logikę Starego Testamentu. On ukazuje Maryi, że oto wiara jej rodziców, jej narodu i jej samej staje wobec jakiegoś kluczowego momentu wyboru. Że oto coś się zmienia. I że ta zmiana ma dokonać się przy jej udziale: „Oto poczniesz i porodysz Syna”. I ten Syn to będzie nowy Dawid. Oto czas Starego Testamentu z Twoim udziałem dobiega końca. Mówiłem kiedyś państwu, że kiedy sam byłem w seminarium to mieliśmy takiego profesora, który przygotowywał nas do kapłaństwa, który tłumaczył nam że oczekiwania mesjańskie w biblijnym Izraelu były tak silne, że gdy matce urodziła się dziewczynka to matka była zawiedziona, bo dziewczynka nie będzie Mesjaszem. A jak urodził się chłopiec to się bardzo cieszyła. Oczywiście ten profesor miał bardzo dużą wyobraźnię. I jak ktoś ma wyobraźnię, to może takie rzeczy mówić. Napięcie mesjańskie w biblijnym Izraelu nie było aż tak wielkie, żeby — przenosząc to na nasze czasy — matka, której urodzi się dziewczynka myślała sobie: „O szkoda! Bo nie będzie papieżem!” A kiedy urodzi się chłopiec to cieszyła się — bo takie było prawdopodobieństwo wtedy, jak mniej więcej dzisiaj. Z tym, że Mesjasz w dziejach świata był jeden, a papieży już mieliśmy ponad dwustuszećdziesiąt. Więc to drugie jest i tak dużo łatwiejsze.

Chodzi o coś innego. Ja to państwu troszeczkę upraszcam i troszeczkę trywializuję żeby pokazać, że sytuacja Maryi była sytuacją absolutnie nową. Przecież Ona miała za sobą zaręczyny. Była dziewczyną dobrą, porządną. Dowiadujemy się coś więcej: „pełna Łaski”. I czekała na ziszczenie

się, na spełnienie jej powołania w małżeństwie. I oto otrzymuje tę tajemniczą wieść, że ma stać się matką Syna Bożego. Zadaje pytanie, które zadałaby każda w miarę rozsądna dziewczyna, odpowiednio przygotowana. W starożytności — nie wiem — przez matkę, przez siostry, przez ciotkę, bo wszystko to w starożytności też było przedmiotem wprowadzania i przygotowania:

Na to Maryja rzekła do anioła: «Jakże się to stanie, skoro nie znam pożycia z mężem?»

W języku greckim tu jest dosłownie: „Jakże się to stanie, skoro męża nie znam?” I w niektórych polskich przekładach jest tak. Ale to jest w przekładzie nie do końca jasne — sam nieraz takie pytania słyszałem: To jak to? To Maryja wychodzi za mąż i nie znała męża? Nie wiedziała, kto będzie jej mężem? Nie, to nie o to chodzi! Owe greckie słowa są przekładem hebrajskiego bądź aramejskiego słowa *jada*. Czasownik *jada* oznacza *znać*, ale w kontekście relacji między mężczyzną a kobietą *poznać kobietę* czy *poznać mężczyznę* oznaczało właśnie akt małżeński. Dlatego Maryja zadaje pytanie: Jakże się to stanie, skoro nie znam pożycia z mężem? Co więcej — nie wolno jej było do tego pożycia z mężem dopuścić. Otóż byłoby niedobrze, gdy kiedyś przyjdzie ślub a oto Maryja spodziewa się dziecka — bo posunęli się zbyt daleko. To nie wchodziło w rachubę. Więc Maryja zadaje pytanie, które nie tylko się nasuwa, tylko które tę ludzką rzeczywistość macierzyństwa opisuje bardzo realistycznie.

Anioł Jej odpowiedział: «Duch Święty zstąpi na Ciebie i moc Najwyższego osłoni Cię. Dlatego też Święte, które się narodzi, będzie nazwane Synem Bożym. A oto również krewna Twoja, Elżbieta, poczęła w swej starości syna i jest już w szóstym miesiącu ta, która uchodzi za nieplodną. Dla Boga bowiem nie ma nic niemożliwego».

Zwróćmy uwagę, że sytuacja Maryi zostaje porównana z sytuacją Elżbiety. Ale podobieństwo jest ograniczone. Anioł daje porównanie ale nie tłumaczy różnicy. A różnica polegała na tym, że w tamtym przypadku mężatka, starsza kobieta spodziewa się dziecka, które poczęła w związku ze swoim mężem. Zatem odbiera to jako wielką radość i jako taką samą radość traktuje to jej mąż. Natomiast w tym przypadku młoda dziewczyna, która została zaręczona, ma stać się matką bez udziału swojego ziemskiego męża. I to jest jej dylemat. Tu jej wiara zostaje wystawiona na próbę. Otóż tu mamy do czynienia z tym jej — jeżeli tak można powiedzieć — pierwszym krzyżem na długo przed Ukrzyżowaniem. Bo teraz Ona musiała zestawić wszystkie za i wszystkie przeciw. A wśród tych „przeciw” był przede wszystkim Józef. Pamiętajmy, że Zwiastowanie dotyczyło Maryi, nie dotyczyło Józefa. Doskonale wiemy z tekstu Ewangelii św. Mateusza, który przedstawia męski punkt widzenia, że Józef miał z tym potężne kłopoty. Otóż Maryja musiała w okamgnieniu rozważyć całą tę sytuację. Bóg ją powołuje — to jedno. Bóg wybrał ją na matkę swojego Syna — to zaszczyt i godność. Ale z tym wiąże się owa specyfika jej położenia. Otóż mówiąc dosadnie i krótko, ale prawdziwie, stanie się panną z dzieckiem i jej mąż, ten z którym miała się związać, będzie pewny, że to nie jest jego dziecko. A co powiedzieć innym? Otóż wybór, ta godność, to jest krzyż. I ten krzyż jest bodaj większy niż to, co ją w tamtych warunkach spotyka. To nie jest sytuacja Polski z XXI wieku, to jest sytuacja biblijnego Izraela sprzed dwóch tysięcy lat. A prawodawstwo mojżeszowe, które było wtedy przestrzegane tak, jak jest dzisiaj przestrzegane prawodawstwo semickie różnych ludów, zwłaszcza Arabów, głosiło że jeżeli jakaś dziewczyna stanie się narzeczoną swojego przyszłego męża, a ten stwierdzi, że była wobec niego wiarołomna, to odpowiedź jest tylko jedna. On przyprowadza ją przed zgromadzenie, oznajmia, że to nie jest jego dziecko i dziewczyna ma zostać ukamieniowana. Jakkolwiek okrutna jest ta kara, to była stosowana. Proszę sobie przypomnieć choćby sytuację kobiety skazanej za cudzołóstwo i przyprowadzonej do Jezusa. Tam szczęśliwie dla siebie uniknęła śmierci. Ale Maryja jest tu w samych początkach. Poza tym Maryja jest dziewczyną bardzo młodą. Zauważmy, że ten moment jest prawdziwie dramatyczny, to jest naprawdę próba wiary. Została wybrana do wielkiej godności i musi za to zapłacić wielką cenę. Na szczęście Pan Bóg jej pomógł to rozwiązać, ale ona w tej chwili jeszcze tego nie wiedziała. I przeżyła co to znaczy — o czym dowiemy się z Ewangelii św. Mateusza. Przypomnijmy sobie tylko:

Mąż Jej, Józef, będąc człowiekiem sprawiedliwym

wyjaśnimy to sobie,

i nie chcąc narazić Jej na zniesławienie,
to łagodnie powiedziane

zamierzał Ją potajemnie oddalić.

A więc pomiędzy Józefem a Maryją na tym etapie nie było zaufania aż takiego, żeby Józef tę sytuację zaakceptował. Wiemy, że Pan Bóg odmienił jego serce, ale to trwało parę tygodni czy parę miesięcy. Ten epizod kończy się słowami:

Na to rzekła Maryja: «Oto Ja służebnica Pańska, niech Mi się stanie według słowa twego!»

Ta odpowiedź jest odpowiedzią wiary. Maryja nie powiedziała: „Oto ja, zrób tak, jak uważasz”, tylko odpowiedziała: „Oto Ja służebnica Pana, niech Mi się stanie według słowa twego”. Czyli Bóg, który ode mnie tego żąda, który ode mnie tego chce, który ode mnie tego oczekuje, mnie nie opuści. Jestem służebnicą Pana. Skoro On zrzucił to, co mi zapowiadasz, to On da również siły do tego, by się spełniło. Skoro przyszło to, co mnie spotyka, to da także moc by przetrwać to, co jest w tym trudne. Oto Ja służebnica Pańska — czyli cała moja moc pochodzi nie ode mnie ale od Niego. I skoro On mnie wybrał, to ja Mu ufam, że mnie nie zostawi. Niech więc Mi się stanie według słowa twego.

Proszę zauważmy, że wiara tu, w wydaniu Maryi, to nic innego jak głębokie, do końca, zawieszenie Bogu. Myślę, że pełne napięcie, pełny dramatyzm, pełną treść tego epizodu, tych słów mogą zrozumieć tylko kobiety. Mogą zrozumieć, co to znaczy, i co to ze sobą niesie. Ile razy powtarzamy te słowa: „Oto Ja służebnica Pańska, niech Mi się stanie według słowa twego”, choćby w modlitwie Anioł Pański, to pamiętajmy, że to jest ten pierwszy próg wiary, przez który Maryja przeszła.

Wtedy odszedł od Niej anioł.

Czy więc została sama? W pewnym sensie tak. Anioł zniknął. W tradycji chrześcijańskiej pojawiły się i takie domniemania, że gdy Zwiastowanie ustało, Maryja zaczyna się zastanawiać: czy to, co się wydarzyło, to nie jest jakieś widzenie, duchowe przeżycie, jakaś ułuda a może oszustwo? Czy takie myśli Ją nurtowały — tego nigdy nie będziemy wiedzieć. Ale anioła nie ma, została Ona i został Bóg. Bo człowiek, który ufa Panu Bogu, nigdy nie jest sam. I okaże się to prawdziwe jak wtedy, kiedy ten sam epizod obejrzymy od strony Józefa, a potem posuniemy się dalej.

I na tę refleksję zapraszam państwa za miesiąc, w drugi poniedziałek listopada czyli 14 XI. Wtedy wrócimy do tego wątku oświetlając go jakby z drugiej strony. Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję. Na koniec pomódlmy się krótko, również za ś.p. księdza Romualda: „Zdrowaś Mario, ...”, „Wieczny odpoczynek...”.

2 N.M.P. — do odnalezienia Jezusa w świątyni (14 listopada 2005)

Dobry wieczór państwu. Zaczynamy od modlitwy: „Ojcze nasz ...”, „Stolico Mądrości, módl się za nami!” Bardzo serdecznie państwa witam w listopadowy wieczór, już prawie połowa listopada. Pojutrze dzień papieski, dzień Jana Pawła II, który obchodzimy już po jego śmierci, zatem z nim, ale po drugiej stronie życia. Tak patrząc na państwa myślę sobie, że gdyby tu każdy z państwa stanął tutaj i popatrzył na tę grupę, na tę wspólnotę, to widok jest prawdziwie budujący.

Jeszcze tytułem pewnego wprowadzenia chciałbym powiedzieć, że trzy dni temu, w samo Święto Niepodległości, 11 XI, pożegnaliśmy na cmentarzu w Tyńcu ojca Augustyna Jankowskiego, wielkiego znawcę, miłośnika Pisma Świętego, jednego z najwybitniejszych polskich biblistów i teologów. O jego sylwetce, o jego życiu mógłbym w gruncie rzeczy mówić przez całą tę konferencję — dlatego bo tak się złożyło, że znam to życie dość dobrze z wieloma szczegółami. Rzecz jasna to będzie niemożliwe, więc tylko kilka takich szczegółów, żeby państwo zajmując się Pismem Świętym, czytając je i rozważając, mieli również rozeznanie o tych, którzy mają w tym zakresie szczególnie udział i szczególne zasługi. Ojciec Jankowski urodził się jako Bogdan Jankowski dość dawno, bo w r. 1916 — zatem kiedy umierał miał lat 89 — w rodzinie polskich zesłańców. Urodził się aż za Uralem. To już chyba ostatnie pokolenie tych, którzy mogliby mieć takie właśnie pochodzenie. Ze swojego dzieciństwa wiele razy przypominał życie tam. Tam zaledwie przeżył sześć lat, ale widocznie bardzo mu to utkwilo w pamięci. Wspominał i Chińczyków, i Mongołów, i rozmaitych innych ludzi zsyłanych przez Rosjan jeszcze za cara. Następnie ze swoimi rodzicami po rewolucji bolszewickiej wrócił do Polski. Przypominał zwłaszcza taki epizod, jak to przekroczywszy granicę radziecko-polską w Stolpcach, kiedy ojciec przeprowadził go na drugą, już polską stronę, wtedy mały Bogdan wykrzyknął: „Jeszcze Polska nie zginęła!”. A ponieważ obok stali ciągle bolszewicy, to prawie go tam zwinęli, chcieli dość surowo skarcić. To było jedno z jego wspomnień z samego początku życia. Ojciec w Polsce był wojskowym, młody Bogdan mieszkał w Toruniu. Wychował się w Toruniu, w Toruniu kończył szkołę, znał Toruń, ukochał Toruń. A następnie, tuż przed wojną — do Warszawy. Wojnę spędził w Warszawie i tuż po wojnie wstąpił do seminarium duchownego i został księdzem. Był księdzem archidiecezji warszawskiej, dlatego i nam również jest dość bliski. Tak było przez siedem lat jego kapłańskiego życia. Następnie poprosił ks. kardynała Wyszyńskiego o zgodę na wstąpienie do zakonu benedyktynów i w 1955 roku wstąpił do benedyktynów w Tyńcu. I od tamtej pory pozostawał w zakonie benedyktynów. Tam miał rozmaite funkcje, m.in. w latach 80-tych był opatem tego czcigodnego opactwa tynieckiego. Wielce zasłużony dla badań biblijnych i dla refleksji nad Pismem Świętym. Bo nauczał w seminarium duchownym w Warszawie, uczył też na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Odbył studia w Rzymie w latach 1946 - 48 w tym samym okresie, w którym był w Rzymie również Karol Wojtyła. Przyjaźnił się z Karolem Wojtyłą, następnie z Ojcem Świętym Janem Pawłem II. A na pogrzebie arcybiskup Dziwisz, który wygłosił homilię, przypomniał epizod z ostatniej pielgrzymki Ojca Świętego do Polski kiedy to tuż przed wyjazdem na lotnisko Ojciec Święty poprosił zdając sobie sprawę z tego, że to jest pożegnalna wizyta w Polsce, jego ostatni pobyt w Polsce, żeby w drodze na lotnisko zawieziono go do opactwa tynieckiego, gdzie bardzo często przebywał odprawiając rekolekcje, udając się na takie skupienie, szukając modlitwy. Więc w drodze na lotnisko samochody wiozące Ojca Świętego i cały jego orszak udały się do opactwa. A kiedy papież stanął tam na dziedzińcu, to jego pierwsze słowa były: „A gdzie jest ojciec Jankowski?” Otóż ojciec Jankowski tam bardzo się zasłużył jeżeli chodzi o badania biblijne. Wykładał jeszcze na Papieskiej Akademii Teologicznej, i to prawie do końca swojego życia. Bardzo lubił wykładać. Natomiast jego największym dziełem życiowym jest Biblia Tysiąclecia, którą znamy zapewne wszyscy, gdyż jest to Pismo Święte w języku polskim, które zostało wydane w 1965 r. czyli 40 lat temu dla uczczenia 1000-lecia chrztu Polski. Jest to Pismo Święte wydane z inicjatywy kardynała Stefana Wyszyńskiego i właśnie benedyktynów tynieckich, którym przewodził wtedy w tych badaniach i w tym tłumaczeniu ojciec Augustyn Jankowski, bo takie imię Augustyn przyjął w życiu zakonnym. Ile razy państwo słyszą w kościele czytania biblijne, czytania Pisma Świętego, to są wg. tego właśnie przekładu. Jest autorem ponad 200 publikacji, ponad 20 książek, rozmaitych artykułów, konferencji. Chętnie posługiwał rekolekcjami i dniami skupienia, więc życie jego było bardzo pracowite. Zmarł w niedzielę 6 listopada rano w szpitalu w Krakowie. Ciało przewieziono do Tyńca i właśnie w ostatni piątek po południu odbył się jego pogrzeb. Rozpoczął się

o godz. 3 po południu, w Godzinie Miłosierdzia. Kiedy się kończył, kiedy ciało było składane do grobu, było już ciemno, ok. godz. 18. Msza św. bardzo uroczysta, bardzo podniosła wg. tego rytu benedyktyńskiego.

I biorąc udział w tym pogrzebie tak myślałem sobie – jakie są przedziwne ludzkie losy. Że człowiek rodzi się gdzieś tam, za Uralem, przeżywa prawie 90 lat i jest pochowany nad samiuteńką Wisłą w opactwie tynieckim. Być może państwo będą kiedyś w Krakowie — na pewno warto do Tyńca pojechać, zobaczyć to czcigodne opactwo, i oczywiście wtedy trzeba też udać się na cmentarz. I tam wśród grobów benedyktynów, tuż przy opactwie, jest także grób ojca Augustyna Jankowskiego. W tym dniu był taki szczególny symbol, tak przychodziło mi do głowy. Otóż kilka lat temu przygotowywałem księgę pamiątkową dla ojca Augustyna Jankowskiego i dał mi swój życiorys, napisany przez niego samego. Napisany na maszynie, bo już nie posługiwał się komputerem, przez niego samego, własnoręcznie, podpisany. I czytałem ten życiorys, rozmaite wątki, rozmaite jego opowiadania, bardzo ciekawe i dające wiele do myślenia. I jeszcze jedna rzecz uderzyła mnie szczególnie. Napisał w tym życiorysie, że do klasztoru benedyktynów w Tyńcu przyjechał 7 XI 1955 r. A zmarł 6 XI 2005 r. Zatem w klasztorze benedyktynów był równie 50 lat, co do jednego dnia. Był całe pół wieku. I kiedy trumna z jego ciałem była niesiona z góry, z klasztoru na dół, na cmentarz — tą samą drogą, którą pół wieku wcześniej szedł do tego klasztoru — próbowałem sobie wtedy wyobrazić tego jeszcze wtedy młodego człowieka, księdza, który gdzieś tam wywedrowawszy zza Urалу, przez Toruń i Warszawę, wchodził po tych kamieniach, a pół wieku później jego ciało było znoszone na dół i tam, w Tyńcu, pogrzebane.

Ogromne dokonania. Człowiek wielkiego ducha, wielkiego formatu. Człowiek, który jest bardzo zasłużony dla polskiej biblistyki. Mamy w Polsce, państwo wiedzą o tym, takie Stowarzyszenia Biblistów Polskich, w tej chwili należy do niego ok. 220 osób, i ojciec Augustyn Jankowski był nestorem polskich biblistów, był najstarszy w naszym gronie. Odszedł, więc żegnaliśmy go z prawdziwym żalem. Ale jednocześnie patrząc na benedyktynów jak oni to przeżywali widzieliśmy, że traktowali to odejście jako naturalny składnik życia, jako przejście na tę drugą stronę.

To wszystko było w ubiegłym tygodniu. Ten pogrzeb zszedł trochę na dalszy plan z powodu Święta Niepodległości, z powodu rozmaitych uwikłań politycznych, także z innych zapewne powodów. Mało było na ten temat informacji. Nie zawsze jest tak, że potrafimy cenić tych, którzy są świadkami i twórcami historii na naszych oczach. I dlatego poświęciłem kilka minut temu wyjątkowemu człowiekowi by uświadomić państwu, że ktoś tak znaczący i ważny w tych dniach odszedł. Ojciec Augustyn Jankowski. Być może są tacy wśród państwa, muszą to być już osoby starsze, które pamiętają go jeszcze z czasów warszawskich. Było bowiem tak, że do Tyńca pojechało kilka osób ze środowiska warszawskiego, które pamiętały go jeszcze jako rekolekcjonistę, jako ojca duchownego, jako przewodnika duchowego z początku lat 50-tych w naszym stołecznym mieście. Tak więc: Ural, Toruń, Warszawa, Tyniec wyznaczyły szlak życia i śmierci ojca Augustyna Jankowskiego.

My miesiąc temu rozpoczęliśmy cykl tegoroczny, którego temat brzmi: „Bohaterowie wiary Nowego Testamentu”. I w naszej refleksji zatrzymaliśmy się nad Maryją jako pierwszą wśród wielkich bohaterów wiary Nowego Testamentu. Wśród tych, którzy kładli podwaliny, fundamenty pod tę wiarę, w którą i my jesteśmy wszczępieni. Staralem się państwu miesiąc temu powiedzieć i podkreślić, że chcemy przedstawić Maryję od takiej ludzkiej strony, od człowieczej strony. Chcemy zobaczyć coś, co w jej osobie, w jej życiu było bardzo solidarne z naszym życiem i naszym losem. Oczywiście, że patrzymy na Nią przez pryzmat wiary, modlimy się do Niej, wyznajemy Ją, ale jednocześnie zdajemy sobie sprawę, że była w pełni człowiekiem, kobietą, córką biblijnego Izraela. I dlatego próbujemy zastanowić się nad fenomenem, nad heroizmem jej wiary. Zwróciliśmy uwagę miesiąc temu na same początki jej powołania. Na to, jak bardzo głęboko jest wszczępiena w dzieje narodu bożego wybrania. Zwróciliśmy także uwagę na okoliczności, które przesądziły o Zwiastowaniu oraz o tym, że stała się Matką Syna Bożego. Mam nadzieję, że udało mi się pokazać i że państwo uchwycili ten moment że to, co my traktujemy i postrzegamy — i słusznie — jako wielki przywilej, jako wielkie wyróżnienie Maryi, to dla niej samej było źródłem cierpienia, niepewności, rozterek, obaw, trudności a nawet nieprzyjaźni i wrogości. I zwróciliśmy na to uwagę, że Zwiastowanie i fakt, że jako młoda dziewczyna, jako panna, która zaledwie została zaręczona z Józefem, stała się matką, było dla niej powodem do wielkich niewygód które i z dzisiejszej perspektywy też bardzo dobrze rozumiemy. Że te niewygody były bardzo duże — to zaznaczyliśmy na końcu — świadczy

także Ewangelia św. Mateusza oraz przykład św. Józefa. W Ewangelii św. Mateusza, która została napisana z perspektywy męskiej, inaczej niż Ewangelia św. Łukasza, do której za chwilę wrócimy, czytamy o tym wydarzeniu, o tym Zwiastowaniu Najświętszej Maryi Pannie tak, jak to przeżywał, jak to stało się udziałem Józefa. Oczywiście ta perspektywa jest zupełnie odmienna. Właściwie znając przecież te układy pomiędzy ludźmi, te relacje które do dnia dzisiejszego istnieją, możemy się domyślać i zaznaczyliśmy miesiąc temu na czym polegał problem. Ewangelista wyjaśnia to tak (Mt, 1, 18):

Z narodzeniem Jezusa Chrystusa było tak. Po zaślubinach Matki Jego, Maryi, z Józefem, wprawdzie najpierw zamieszkali razem, znalazła się brzemienną za sprawą Ducha Świętego.

Zatem ewangelista zna wydarzenia. Ale proszę pamiętać, że ewangelista przedstawia to wszystko już z perspektywy po śmierci i Zmartwychwstaniu. Ewangelia św. Mateusza została napisana mniej więcej 25 - 30 lat po Zmartwychwstaniu Jezusa. Zatem ewangelista łatwiej jest opisywać to, co ma na myśli, to co się wydarzyło, bo zna już sens, zna już ostateczne przeznaczenie Jezusa. Wie, kim Jezus był. A my tutaj, odtwarzając niejako te wydarzenia, musimy się postawić w sytuacji i Józefa i innych ludzi, którzy mieszkali wtedy w Nazarecie, i zaczynamy czuć, że ten heroizm wiary Maryi natrafił tutaj na mur trudności, które także z dzisiejszej perspektywy są nie do pokonania:

Mąż Jej, Józef, który był człowiekiem sprawiedliwym i nie chciał narazić Jej na zniesławienie, zamierzał Ją potajemnie opuścić. (Mt, 1, 19)

Ileż to razy powtarzamy, że kiedy słyszymy te słowa to mówimy sobie: A cóż to za sprawiedliwość, kiedy mąż chce opuścić czy oddać potajemnie swoją żonę? Gotowi jesteśmy albo oskarżać Józefa albo też mówić, że ewangelista przykłada tutaj do niego kategorie, których byśmy nie przyłożyli. A jednak — ewangelista ma rację. Opisuje coś, co rzeczywiście wymaga naszego zastanowienia i uznania.

Wspominaliśmy o tym, teraz tylko krótko, że jesteśmy w świecie starożytnym, w świecie semickim, w świecie żydowskim. I podobnie jak dzisiaj w świecie semickim, a przejawy tego mamy wciąż w świecie arabskim, otóż mężczyzna musi uznać swoje dziecko, musi je przyjąć. Musi stwierdzić publicznie, że to jest jego dziecko, żeby wszystko było w porządku. Zwracaliśmy na to uwagę, znamy ten motyw. I tutaj domyślamy się, że Maryja stanęła wobec ogromnych trudności. Dlatego, że przecież na pewno była jakaś codzienna, zwyczajna rozmowa Maryi z Józefem. I Maryja oto przekazała swojemu przyszłemu mężowi — i w pewnym sensie już mężowi, bo to ten okres między zaręczynami a wyjściem za mąż — przekazała wiadomość, że spodziewa się dziecka i opowiedziała to, co przeżyła. Jak on to przyjął — otóż najprawdopodobniej nie uznał tego jej tłumaczenia, nie przyjął tego. I w związku z tym zamierzał odejść, zamierzał odejść po to, by oszczędzić jej życie. Bo gdyby odniósł się do Niej wg. tych zasad i praw, jakie panowały wtedy w żydowskim społeczeństwie, to musiałby powiedzieć publicznie że dziecko, które poczęła, nie jest jego. A to spowodowałoby niechybnie skazanie Maryi nawet na śmierć. I wiemy, że sam Pan Bóg rozwiązał tę sytuację (Mt, 1, 20):

Gdy powziął tę myśl, oto anioł Pański ukazał mu się we śnie i rzekł: «Józefie, synu Dawida, nie lękaj się wziąć do siebie Maryi, twej Małżonki; albowiem z Ducha Świętego jest to, co się w Niej poczęło.

Tutaj kluczowe są te słowa: „Nie lękaj się”. Otóż o kogo lękał się Józef? Przede wszystkim o siebie. Nawet nie dlatego, że był egoistą – był człowiekiem prawym, czy nie dlatego że chciał w czymkolwiek skrzywdzić Maryję. Ale dlatego, że nie dowierzał, nie mógł przyjąć, że ta nowość bożego działania jest tak wielka, że mamy do czynienia z dziewiczym poczęciem. I dopiero wprowadzony w tę tajemnicę dziewiczego macierzyństwa Maryi, wprowadzony przez Boga samego, przyjmuje ten dar, a także przyjmuje Ją i przyjmuje dziecko, które ma przyjść na świat.

Co czuła Maryja wtedy — to pewnie byłoby dobre zadanie dla psychologa, dla badacza człowieczego wnętrza, dla badacza duszy i wnętrza kobiety. Bo przecież musiały nią targać najrozmaitsze uczucia. Ale jedno nie ulega wątpliwości — że to, co z wiarą przyjęła traktowała jako dar Boży.

I właśnie w kontekście tych wydarzeń, w kontekście tego wszystkiego trzeba nam także zwrócić uwagę na późniejsze wydarzenia, które mają związek z tym bardzo wczesnym okresem powołania Najświętszej Maryi Panny. Chcemy bowiem zobaczyć jej wiarę — na czym ta wiara polegała. Wiara pojmowana jako zawierzenie Panu Bogu. Widzimy, że ten początek był centralny, był kluczowy, był pod pewnymi względami najważniejszy. Raz jeszcze to powtórzmy, że to powołanie było dla Niej źródłem wielkiego utrapienia. Ale kiedy już Józef przyjął Ją do siebie, kiedy oboje zeszli się, zamieszkali razem, to wtedy wydarzenia potoczyły się szybko, ale jednocześnie nie według takich zwyczajnych kanonów. Bo proszę państwa musimy tutaj dotknąć sprawy która, jak wszystkie tego rodzaju rzeczy, jest dość subtelna, dość delikatna. Otóż Józef dowiedział się i przyjął Maryję w jakiś czas po Zwiastowaniu. Czy było to kilka dni czy kilka tygodni — tego nie jesteśmy w stanie powiedzieć. Ale z całą pewnością kiedy przyjął już Ją do siebie, kiedy oboje związali się małżeństwem według tych zwyczajnych i zwyczajowych sposobów zawierania małżeństwa, to od Zwiastowania upłynął jakiś czas. Dziewięć miesięcy później urodził się Jezus. Dobrze wiemy, a w starożytności istniało to tak samo, jak dzisiaj — łatwo było wyliczyć, że Jezus urodził się wcześniej niż można by się spodziewać.

Proszę zwrócić uwagę — dotykamy tutaj rzeczy niesłychanie subtelnej. Tej mianowicie, że Zwiastowanie nie przestało być dla Maryi — nawet wtedy, kiedy już byli małżeństwem — źródłem pewnych trudności. Ona niejako musiała się samym faktem macierzyństwa tłumaczyć, nawet jeżeli nikt ją wręcz nie pytał. Otóż dziecko, które przyszło na świat, Jezus, który przyszedł na świat, przyszedł na świat jako domniemany syn Józefa. I tak zostało. To jest jeden z najtrudniejszych aspektów, przed którymi stajemy w Ewangeliach, i którego unikamy jak możemy, bo rozważania są dość trudne nie dlatego, żebyśmy mieli kłopoty ze zrozumieniem tylko dlatego, że rozumiemy aż nadto dobrze. Otóż Ewangelie kilkakrotnie nawiązują do tego wątku, kiedy to mieszkańcy Nazaretu — wspomnimy o tym jeszcze — będą mówić: «Czyż nie jest to syn Maryi? Czy nie jest to syn Józefa? Czy Go nie znamy? Czy jego rodzina tutaj nie mieszka wśród nas?» Otóż Maryja i Józef zdecydowawszy się na to macierzyństwo i na takie ojcostwo, zdecydowawszy się na wejście w Boży plan zbawienia, rzeczywiście poświęcili Panu Bogu bardzo wiele i coś, co powodowało stale niewygodę i co wywoływało zawsze taki swoisty uśmiech. Otóż zwracając uwagę na ten fakt musimy bardzo mocno to podkreślić, że dziewicze macierzyństwo Maryi było przez całe jej życie, aż do śmierci Jezusa, aż do Zmartwychwstania, taką najbardziej intymną stroną jej życia z którą musiała się przed Bogiem i przed ludźmi stale zmagać. Pan Bóg ją wybrał — to prawda. Powołał ją do czegoś niezwykłego — to prawda. Ale tu nasuwa się jeszcze jedno pytanie. Myślę, że jeżeli zastanawiamy się głębiej, jeżeli snujemy taką historię wirtualną, a więc możliwą, to możemy a nawet musimy to pytanie postawić. Mianowicie ktoś bardzo dociekliwy mógłby zapytać tak: «To skoro to dziewicze macierzyństwo Maryi, które doszło do skutku w okresie zanim jeszcze zeszła się ze swoim mężem, skoro wywoływało u Niej taki dyskomfort, skoro wywołało podejrzenia, skoro wywoływało trudności nawet ze strony samego Józefa — to czy Pan Bóg nie mógł poczekać? Czy nie mogło być tak, że Maryja dostąpiła Zwiastowania już po ślubie i po zejściu się z Józefem? Czy wtedy nie byłoby Jej i Józefowi łatwiej?» Nie wiem, czy kiedykolwiek zastanawiali się państwo nad tym pytaniem. Czasami jest tak, że rzeczy najprostsze najtrudniej przychodzą nam do głowy. A to, co dotyczy początków naszej wiary, nie zawsze staje się przedmiotem aż takiego rozstrząsania jak to, na które decydujemy się dzisiaj. Myślę, że tego rodzaju pytania nigdy do tej pory nie słyszeliśmy. Być może nie przychodziło nam do głowy.

Powtórzmy raz jeszcze: «Czy żeby nie wywoływać tych wszystkich wątpliwości Bóg nie mógł jeszcze poczekać ze Zwiastowaniem tak, aby Jezus został poczęty w owym małżeństwie?» I tu odpowiedź — skoro się postawiło pytanie, trzeba próbować jej udzielić — racjonalna i rozsądna odpowiedź brzmi: «Nie!» Nie z dwóch powodów. Z jednego powodu czysto obyczajowego, i z powodu społecznego. To mianowicie, że zejście się męża i żony w świecie semickim — żydowskim, arabskim — po dzień dzisiejszy, czyli ten moment ślubu oznaczał jednocześnie ich połączenie. Oznaczał jednocześnie konsumpcję, tak to nazwijmy dzisiejszym językiem, ich małżeństwa. Musiałby Pan Bóg wprowadzić ich oboje w swój Boży Plan odpowiednio wcześniej żeby, zwiąawszy się małżeństwem, postanowili żyć w dziewictwie. Coś takiego w tamtych czasach, w tamtym świecie wydaje się być zupełnie niemożliwe. Druga sprawa to są względy czysto zewnętrzne. Gdybyśmy nawet założyli, że mocą jakiejś tajemniczej bożej pedagogii Józef i Maryja zostali wprowadzeni w Boży Plan Zbawie-

nia wcześniej, następnie zawierają małżeństwo i postanawiają żyć w absolutnej czystości od samego początku, to przecież urodzone w tym małżeństwie dziecko, czyli Jezus, byłoby tym mocniej postrzegane, i tym pewniej jako syn obojga, i to syn fizyczny. Zatem Bóg wybrał tutaj jakby mimo wszystko mniejszy kłopot. Oczywiście snujemy rozważania co by było gdyby, ale wszystko po to żebyśmy zrozumieli, że cała ta wzniosła sytuacja ma swoje głęboko ludzkie podłoże. I że w tym głęboko ludzkim podłożu sytuacja Maryi była niesłychanie trudna. Trzeba było całego życia, aby zmagać się z tym, przyjęła to, żeby to macierzyństwo które od samego początku było dla Niej źródłem cierpienia, żeby później jeszcze w krzyżu dopełniła tego cierpienia, o czym mamy zamiar jeszcze dzisiaj powiedzieć. Kiedy już spodziewała się narodzin swojego dziecka okazało się, że znów przełamała schematy. Pisze o tym ewangelista św. Łukasz (Łk, 1, 39 - 40):

W tym czasie Maryja wybrała się i poszła z pośpiechem w góry do pewnego miasta w [pokoleniu] Judy. Weszła do domu Zachariasza i pozdrowiła Elżbietę.

O Elżbiecie wiemy, że była żoną Zachariasza, była już posunięta w latach, i że w tym czasie, pół roku wcześniej, też stała się matką, ale stała się matką w sposób zupełnie naturalny. Maryja, jej krewna, młoda dziewczyna, która stała się matką w sposób nadnaturalny, postanawia ją odwiedzić. Kiedy czytamy ten tekst w Polsce, to pytania nam jeszcze specjalnie do głowy nie przychodzą. Ale prowadząc pielgrzymki do Ziemi Świętej — nie było jeszcze ani jednej grupy, w której uczestnicy nie zadali by następującego pytania. Zazwyczaj jest tak, że jesteśmy wcześniej w Nazarecie, potem w Kanie Galilejskiej, w Galilei, następnie w Jerozolimie i przy sposobności Jerozolimy jedziemy do Ein Karem czyli miejsca narodzenia Jana Chrzciciela i miejsca nawiedzenia Elżbiety przez Najświętszą Maryję Pannę. Bywa czasami inaczej — najpierw jesteśmy w Jerozolimie, zwiedzamy Ein Karem, a potem jedziemy do Galilei, do Nazaretu, do innych miejsc. I dlatego w Ein Karem albo w Nazarecie ktoś podchodzi i powiada tak: «Proszę księdza, a jak to jest możliwe, żeby Maryja, która spodziewa się dziecka prawie od trzech miesięcy, odbyła tak długą podróż?» Ta podróż była rzeczywiście długa, bo z Nazaretu do Jerozolimy jest ok. 140 km. Jak na czasy starożytne to dość daleko. I tu znów warto wiedzieć, że starożytna Palestyna wyglądała 2000 lat temu zupełnie inaczej, niż nasze tereny w owym czasie. Na terenie Palestyny była rozbudowana sieć dróg, rozbudowane szlaki komunikacyjne, rozbudowany transport. Istniały hotele tak, jak istnieją one dzisiaj — to wymysł bliskowschodni. Na drogach były oznaczenia, tzw. kamienie milowe, wyznaczające mile. Jedna mila to było ok. 1600 m. Mniej więcej co 15 - 20 - 25 km był hotel, był zajazd i to nie jeden tylko mnóstwo takich zajazdów. Tam zatrzymywano się na odpoczynek, tam był dział dla mężczyzn, dział dla kobiet. Nie tylko kobiety podróżowały same w takich specjalnych karawanach, pod ochroną — moglibyśmy powiedzieć: niesłychanie czujnie pilnowane. Rzecz jasna za to trzeba było płacić. Ale nawet rodzice wysyłali dzieci. Przypominają sobie państwo przykład małego Saula z Tarsu, Szawła, który został przez swoich rodziców jako młody chłopak wysłany z Tarsu, na terenie Azji Mniejszej, aż do Jerozolimy by pobierać naukę u stóp Gamaliela. Więc nie tylko kobiety ale także dzieci odbywały takie podróże, bo to wszystko było odpowiednio zabezpieczone. Ten system bardzo dobrze funkcjonował. Nam czasami wydaje się, że w starożytności ludzie byli jakimiś ludźmi prymitywnymi. Absolutnie nie! Kiedy patrzemy dzisiaj na ślady archeologiczne tego życia sprzed 2000 i więcej lat, to możemy podziwiać ich pomysłowość, przemyślność, możemy zadziwiać się nad organizacją życia społecznego. Więc od tej strony patrząc podróż Maryi nie jest niczym niemożliwym. Przeciwnie, takie podróże się odbywały. Otóż kiedy mąż chciał wysłać swoją żonę do rodziny, jeżeli chciano wysłać córkę czy syna czy kogokolwiek, to powierzano specjalnym ludziom, którzy troszczyli się, przeprowadzali. Troszczyli się o jedzenie, troszczyli się o zdrowie. Byli po drodze lekarze — cały rozwinięty system. Za to opłacano coś w rodzaju naszego dzisiejszego ubezpieczenia. Płacono albo na wstępie, płacano na końcu. Zachowały się nawet takie archeologiczne dowody tego rodzaju podróży. Z tym więc problemu nie ma. Co więcej — ponieważ nie można było podróżować w szabat, to podróże z Galilei do Jerozolimy albo z Jerozolimy do Galilei rozpoczynano w pierwszy dzień po szabacie czyli w odpowiednik naszej niedzieli. Jeżeli weźmiemy pod uwagę te 140 km i mniej więcej co 20 - 25 km takie przystanki, to 5 - 6 dni w zupełności wystarczało żeby spokojnie sobie dojść. Oczywiście były też podróże szybsze, podróże powozami, podróżowano, zwłaszcza mężczyźni, na koniach albo na wielbłądach. Były też podróże rzeczywiście ekspresowe. Jeżeli ktoś opłacił, to zaopatrywano go w konia, ten koń biegł te 15 km, tam zmieniano go na następnego, i za 6

godzin mógł spokojnie zrobić 100 km. Więc były to bardzo szybkie podróże. Żeby dać pojęcie to w starożytności podróż z Konstantynopola, ze Stambułu do Rzymu, lądowa i morska, jeżeli była bardzo szybka to trwała tydzień. Z Konstantynopola do Rzymu, a coś dopiero z Galilei do Jerozolimy. Więc od tej strony to świadectwo Ewangelii jest jak najbardziej wiarygodne.

Co nas zastanawia jednak? Zastanawia ta niezwykła bliskość obydwu kobiet, z których jedna jest bardzo młoda, druga jest posunięta w latach, i jedna spotyka się z drugą (Łk 1, 41 - 42):

Gdy Elżbieta usłyszała pozdrowienie Maryi, poruszyło się dzieciątko w jej łonie, a Duch Święty napełnił Elżbietę. Wydała ona okrzyk i powiedziała: «Błogosławiona jesteś między niewiastami i błogosławiony jest owoc Twojego łona.

W tym spotkaniu dwóch kobiet z których obie, każda w inny sposób, zostały doświadczone mocą bożej łaski, Elżbieta uznaje wyjątkowość Maryi. Pan Bóg daje jej pierwszej poznać, że z Maryją dokonało się coś przedziwnego. Pamiętajmy, że Elżbieta to matka Jana Chrzciciela, patrona Adwentu, patrona oczekiwania na Pana Jezusa. Zatem, jak bardzo wcześniej podkreślała to tradycja wczesnochrześcijańska, spotykają się nie tylko dwie kobiety, czyli Elżbieta i Maryja. Spotykają się również dwaj poczęci w łonie jednej i drugiej Jezus i Jan Chrzciciel, czyli dokładniej Jan Chrzciciel i Jezus. Oczywiście jest to spotkanie czysto symboliczne ale wymowne, bo dokonuje się jeszcze przed narodzinami. Spotykają się jak gdyby dwie ekonomie zbawcze, dwa etapy zbawienia. Ten Starego Testamentu, którego znakiem jest Jan Chrzciciel, i ten, który zapoczątkowuje Testament Nowy, mianowicie Jezus. Więc jest to wydarzenie rzeczywiste i symboliczne zarazem.

A skądże mi to, że Matka mojego Pana przychodzi do mnie? Oto, skoro głos Twego pozdrowienia zabrzmiał w moich uszach, poruszyło się z radości dzieciątko w moim łonie. Błogosławiona jesteś, która uwierzyłaś, że spełnią się słowa powiedziane Ci od Pana». (Łk 1, 43 - 45)

Otóż przeczytałem ten fragment po to żebyśmy uświadomili sobie, że pierwsza pochwała wiary Maryi wychodzi od Elżbiety. Elżbieta jest pierwszą, która dostrzegła tę niezłomność Maryi, niezwykłość jej położenia, niezwykłość jej sytuacji i niezwykłość jej wiary. Trzeba by zapewne być kobietą, i to bardzo doświadczoną, która przez całe życie czekała na to, żeby być matką, żeby docenić nowość tego, co się wydarzyło. Elżbieta zostaje tutaj wprowadzona, jeżeli tak można powiedzieć, w życie Maryi i zarazem w tę radykalną nowość, która stała się początkiem Nowego Testamentu. I w tym miejscu następuje słynny hymn, który nosi nazwę *Magnificat*. Znamy ten hymn doskonale, bo go śpiewamy w polskiej wersji przy rozmaitych okazjach. Natomiast ja go przeczytam tylko po to, żeby państwo zdali sobie sprawę z jednego. Z tego mianowicie, że ten hymn stanowi w gruncie rzeczy zestawienie rozmaitych wypowiedzi, słów, cytatów, zdań ze Starego Testamentu. Otóż mamy tutaj nic innego, jak właśnie modlitwę ułożoną z innych modlitw. Posłuchajmy (Łk 1, 46 - 55):

Wtedy Maryja rzekła: «Wielbi dusza moja Pana,
i raduje się duch mój w Bogu, Zbawcy moim.
Bo wejrzał na uniżenie Służebnicy swojej.
Oto bowiem błogosławić mnie będą odtąd wszystkie pokolenia,
gdyż wielkie rzeczy uczynił mi Wszechmocny.
I święte jest Jego imię -
a swoje miłosierdzie z pokolenia na pokolenie rozciągnął nad tymi, którzy się Go boją.
On przejawia moc ramienia swego,
rozprasza pyszniących się zamysłami serc swoich.
Strąca władców z tronu, a wywyższa pokornych.
Głodnych nasyca dobrami, a bogatych z niczym odprawia.
Ujął się za sługą swoim, Izraelem,
pomny na miłosierdzie swoje -
jak przyobiegał naszym ojcom -
na rzecz Abrahama i jego potomstwa na wieki».

Gdybyśmy chcieli zastanowić się, dokonać analizy literackiej tego hymnu, to zobaczylibyśmy że każde słowo, każde jego zdanie ma swój odpowiednik w Starym Testamencie. Maryja w spotkaniu z Elżbietą wielbiąc Pana Boga układa jak gdyby bukiet z kwiatków. A każdy kwiatek pochodzi z innego ogródka, a to z psalmu, a to z pieśni Anny w Księdze Samuela, a to z innego psalmu, a to z tradycji mądrościowej, a to z innego nurtu tradycji modlitewnej, a to z Pięcioksięgu. W starożytności nazywano takie bukietiki *florilegium*. To jest łacińska nazwa, która znaczy po polsku *bukiet*. Otóż był taki zwyczaj w tej odległej starożytności, w której żyła Maryja, że ludzie mieli w pamięci bardzo wiele biblijnych modlitw. Że przyswajano sobie na pamięć rozmaite fragmenty Pisma Świętego. I z tych różnych fragmentów, do których się bardzo przywiązywano i które znano na pamięć, układano nową całość. Ten zwyczaj istniał również i w późniejszych czasach. Wspominałem kiedyś państwu raz i drugi, że tak na Piśmie Świętym wychowywał się Mickiewicz, tak wychowywał się Słowacki, tak wychowywał się Sienkiewicz, tak wychowywał się kardynał Stefan Wyszyński. Otóż w dzieciństwie czy w młodości uczono się na pamięć pewnych wersetów a później, w potrzebnej chwili, zestawiano je ze sobą, komentowano itd. Dlaczego to jest ważne? Dlatego ponieważ pokazuje, że już na tym etapie swojego życia, jako młoda dziewczyna i matka, Maryja była bardzo głęboko wszczepiona w tradycję swojego narodu.

Tu już nie tylko chodzi o zwyczajny patriotyzm, ale o życie pobożnością wiary biblijnego Izraela. Ona rzeczywiście stanowiła jakiś owoc tej wiary, która rozwijała się od Abrahama przez Mojżesza przez następne pokolenia aż do jej czasów. Otóż w Niej i w ludziach, którzy tak jak Ona, jako pierwsi uwierzyli w Jezusa, ta wiara znajduje swoje spełnienie. A dlaczego znajduje swoje spełnienie? Bo Ona jest tą wiarą napelniona. Przyjęła boże plany, przyjęła bożą propozycję, stała się Matką Zbawiciela, ponieważ te różne nadzieje mesjańskie, te różne oczekiwania mesjańskie, ta cała modlitwa biblijnego Izraela w Niej żyła. Kto z państwa był w Jerozolimie czy w Ziemi Świętej, to zapewne zetknął się z takim spostrzeżeniem, że powietrze nad Jerozolimą jest przesycone modlitwą. Kiedy się siedzi na Górze Oliwnej i patrzy na Jerozolimę, to oddycha się modlitwą miliardów ludzi, Żydów, chrześcijan, muzułmanów, którzy przez 2000 lat co najmniej — Żydzi 3000 lat, od czasu, kiedy była świątynia — tam modlą się, zanoszą prośby do Boga. Można by powiedzieć, że ten paradygmat powietrza przesyconego modlitwą odnosi się do Najświętszej Maryi Panny w tym znaczeniu, że Ona jest, co widać na przykładzie tego hymnu, przesycona tą modlitwą biblijnego Izraela. Przede wszystkim mamy tutaj psalmy. Dlatego, jeżeli chcemy naprawdę Maryję zrozumieć i jeżeli chcemy Ją odtworzyć, dotrzeć do Niej, to musimy również sięgnąć do tej tradycji modlitewnej, w jakiej Ona wyrosła. Modlitwą Maryi na pewno były psalmy. I jeżeli ktoś chciałby wiedzieć jak modliła się Maryja, to trzeba byłoby wziąć do ręki Psalmy. Oczywiście nie modliła się po polsku ale po hebrajsku czy po aramejsku. Nie mamy możliwości, żebyśmy wszyscy te psalmy czytali w mowie, w jakiej one powstały, ale ich ducha, ich treści poznajemy wtedy kiedy mamy je także w tłumaczeniu i przekładzie. Do czego zmierzam? Do tego, że aby należycie zrozumieć Nowy Testament, aby go przyjąć, aby zrozumieć co to znaczy być chrześcijaninem, i aby zrozumieć swoje korzenie, to trzeba koniecznie cofnąć się do Starego Testamentu. I taki fragment jak teraz, fragment Magnificat również nam to w pełni uzmysławia.

To jest nawiedzenie Elżbiety przez Najświętszą Maryję Pannę. Następne epizody, które znamy, to są narodziny w Betlejem — ponieważ do Bożego Narodzenia jest jeszcze trochę, nie będziemy dzisiaj w szczegółach zatrzymywać się nad tym epizodem narodzin. Ale doskonale wiemy, że on też wymagał od Maryi ogromnej wiary. Że musiała udać się do Betlejem razem ze swoim mężem Józefem, bo pochodził z pokolenia dawidowego i w Betlejem odbywał się spis, więc mu towarzyszyła. Ale nie tylko spis przesądził o tym, że udała się do Betlejem. Znali oboje Stary Testament, znali zapowiedzi Izajasza, i proroka Micheasza i doskonale wiedzieli, że Mesjasz ma przyjść na świat w Betlejem. Nie tylko dlatego, że jest nowym Dawidem, a pierwszy Dawid z Betlejem pochodził. Ale także dlatego, że Betlejem w planach bożych było przewidziane na miejsce narodzin Dawida (Jezusa? (JP)) Tak więc Bóg tym wszystkim pokierował, że Maryja z Józefem do Betlejem dotarli. I dobrze wiemy, że tam jej wiara znowu została wystawiona na próbę. Że urodziła Jezusa w warunkach które odbiegają daleko od tych, w jakich przychodzi na świat nawet zwyczajny człowiek. W Jezusie Bóg stał się człowiekiem. Ale w narodzinach Jezusa w Betlejem Bóg stał się niemal ostatnim z ludzi dlatego, że przyszedł na świat w warunkach w których przychodzą prawdziwie najbiedniejsi. To ogłoszenie, z jakim mamy do czynienia w Betlejem, jest niesłychanie wymowne. I na pewno

także w okresie świąt Bożego Narodzenia warto na nie zwrócić uwagę. Tym bardziej, że na ogół atmosfera przeżywania Betlejem i Bożego Narodzenia wykracza daleko poza to ubóstwo. Więc Maryja przeżyła także i tę próbę.

Zatrzymajmy się nad epizodem, który jest mniej znany czy mniej przypominany dlatego, że znowu dotyczy specyficznie żydowskiego świata. Ten świat żydowski jest nam dzisiaj obcy. Obcy dlatego, że patrzymy na niego z perspektywy 2000 lat, a po drugie dlatego, że Żydzi z którymi ewentualnie mamy dzisiaj do czynienia, to nie są wyznawcy Starego Testamentu, tylko to są wyznawcy judaizmu rabinicznego, tego, który się rozwinął w czasach pobiblijnych równoległe do chrześcijaństwa i bardzo często w opozycji do chrześcijaństwa. Zatem bardzo trudno przez pryzmat współczesnego życia żydowskiego dojść do Maryi, do Świętej Rodziny, do Jezusa, do tamtych uwarunkowań. Jednak są rzeczy, które rozważyć albo przynajmniej wziąć pod uwagę powinniśmy. Kiedy Jezus przyszedł na świat, kiedy Maryja urodziła Go w Betlejem, to — czytamy (Łk, 2, 21):

Gdy nadszedł dzień ósmy i należało obrzezać Dziecię, nadano Mu imię Jezus, którym Je nazwał anioł, zanim się poczęło w łonie [Matki].

Tutaj raz jeszcze mamy do czynienia z wiarą Maryi. Autor, czyli św. Łukasz, nie mówi o tej wierze wprost, mówi o niej pośrednio — ale mówi bardzo dużo. Bo: „Gdy nadszedł dzień ósmy”. Ósmy dzień po urodzinach dziecka był dla niemowląt płci męskiej dniem obrzezania. Otóż to obrzezanie nazywało się i nazywa się po hebrajsku *unila* — *znak przymierza*. Otóż nie potrafimy powiedzieć, jakie są początki tego zwyczaju, nie potrafimy wytłumaczyć go, zracjonalizować w żaden sposób. Nie ulega jednak wątpliwości, że w całej tradycji biblijnej to jest znak przymierza z Bogiem. To przymierze zawarł Abraham, potem Mojżesz, potem było wielokrotnie odnawiane. I Jezus raz jeszcze jest wszczepiony w tradycję swojego narodu. Jeszcze do niedawna, to też taka ciekawostka, ósmy dzień po narodzeniu Jezusa, po Bożym Narodzeniu przypada 1 stycznia. I być może osoby dorosłe i starsze pamiętają, że pierwszy stycznia był obchodzony w Kościele jako dzień Obrzezania. Później, od Soboru Watykańskiego II już zmieniono kalendarz liturgiczny i teraz jest to dzień poświęcony Najświętszej Pannie Maryi.

Tak czy inaczej — widać, że Maryja dochowywała zwyczajów swojego narodu. Że postępowała tak, jak postępują inni, a był to naród bożego wybrania. Tutaj dowiadujemy się również, że tego dnia nadawano dziecku imię. Tu mamy szczegół, który dość dobrze pokazuje jak są napięte, jak różnią nas te sprawy w relacjach chrześcijańsko-żydowskich. Otóż ponieważ Ewangelie mówią, że obrzezanie połączone jest z nadaniem imienia, to tradycja żydowska odstąpiła od nadawania imienia tego dnia. I dopiero w naszych czasach pojawiły się wśród Żydów tendencje, aby z powrotem to przywrócić. I rzeczywiście zostało w dużej mierze w wielu grupach przywrócone. I jest tak, że obrzezanie łączy się z tym, co byśmy nazwali dzisiaj chrzcinami, czyli także nadaniem imienia. Będąc w Ziemi Świętej jeszcze w latach 80-tych słuchałem takich specjalnych audycji religijnych dla izraelskiego wojska. I jednym z autorów audycji, odpowiednika naszych konferencji biblijnych, był taki żydowski historyk i uczonek, bardzo znaczący, który nazywa się Dawid Flusser. I Dawid Flusser przekonywał — to wszystko były audycje dla wojska, taka katecheza wojskowych — że należy z powrotem połączyć obrzezanie z nadawaniem imienia, bo tak było kiedyś. Ale źródła rabiniczne o tym milczą. Wiemy to natomiast — mówił Flusser — z Nowego Testamentu. I powoływał się na ten tekst. To taki szczegół obyczajowy. Nas jako chrześcijan interesuje i zastanawia to, że mamy do czynienia z tą świętą tradycją, której Maryja pozostaje wierna. Pozostaje wierna dlatego, że pozostali tej tradycji wierni ci, którzy wyznaczali etapy tej wiary przed nią.

„Nadano Mu imię Jezus”. Jezus to po hebrajsku *Jeshua*. Oznacza to po polsku *Pan zbawia*, *Ten Pan, który zbawia*. Więc imię, które ma w sobie ten pierwiastek boży. I doskonale wiemy, że to imię Jeshua, spolszczone jako Jezus, to jednoczesne wskazanie na funkcję i na przeznaczenie owego dziecięcia, które było synem Maryi, przeznaczenie Jezusa. W jego imieniu znajduje wyraz jego los. Znajduje wyraz to, kim On był i czym miał się stać dla swoich rodaków, a także dla nas.

Gdy potem upłynęły dni ich oczyszczenia według Prawa Mojżeszowego, przynieśli Je do Jerozolimy, aby Je przedstawić Panu. (Łk, 2, 22)

Raz jeszcze wszczepienie w tę świętą tradycję. Tradycja ta dla nas jest już przebrzmiała, inna, nieznaną. Ale pokazuje nam to, że inaczej było dla Maryi. Że jej wiara była zakorzeniona w wierze

tych setek pokoleń, które były przed Nią. Więc przychodzi z dziecią Jezus do świątyni, aby je ofiarować Panu. Tak nakazywało Prawo — aby dokonać tzw. wykupu. Każde pierworodne płci męskiej — mówiła Księga Wyjścia i Księga Kapłańska w Starym Testamencie — ma być przedstawione Panu, ma być wykupione aby przypomnieć, że Bóg wykupił, że Bóg wyprowadził Izraelitów z Egiptu. Czterdzieści dni po urodzeniu przynoszono zatem chłopców do świątyni, a przede wszystkim chłopców pierworodnych, aby niejako ich odzyskać. Bo oni byli traktowani jako własność Pana Boga. A więc by w sposób symboliczny ich od Boga odebrać, złożyć Bogu przepisane ofiary:

Tak bowiem jest napisane w Prawie Pańskim: Każde pierworodne dziecko płci męskiej będzie poświęcone Panu. Mieli również złożyć w ofierze parę synogarlic albo dwa młode gołębie, zgodnie z przepisem Prawa Pańskiego. (Łk, 2, 23 - 24)

Synogarlice i gołębie to była ofiara, jaką składali najbiedniejsi. Ludzie zamożniejsi mieli obowiązek składania ofiar bardziej wartościowych, bardziej znaczących. Biedni poprzestawali na tych ptakach, które można było kupić dosłownie wszędzie. Tak również u początków ziemskiego życia [Jezusa ?(JP)] zachowywała się Maryja. Postępowała tak, jak wszyscy, z którymi żyła. A więc w tej wierze była bardzo solidarna. Moglibyśmy powiedzieć, że patrząc z naszej dzisiejszej perspektywy zachowywała się tak, karmiła się tymi sokami Starego Testamentu. Ale pewnie i dlatego doczekała się wybrania przez Boga.

I jeszcze jeden epizod. Mianowicie ten, który znamy i który właściwie kończy czas jesusowego dzieciństwa. Pokazuje też rolę Maryi jako matki, i pokazuje trudności czy też wyzwania, jakie stają przed każdym macierzyństwem. Taki dylemat, taką trudność, taki kłopot jak tutaj Maryja, przeżywa każda matka. Moglibyśmy, wprowadzając ten temat, powiedzieć tak. Matkom wydaje się, że mają dzieci dla siebie. Dopóki te dzieci są bardzo małe, to właściwie to dziecko jest traktowane — mówię tu przesadnie po to, aby wyrazić istotę tego, o co chodzi — niemal jak własność matki, jak zabawka, jak wielka jej radość. Matka może na dziecku poprzestać. Ale żadne niemowlę nie rodzi się po to, żeby całe życie było dzieckiem. Któregoś dnia dziecko zaczyna coraz bardziej rozluźniać swoje więzy z matką. Dla dziecka jest to proces naturalny, dla matki — niesłychanie bolesny. Bywa, że bardzo bolesny, że niektóre matki przeżywają to bardzo trudno i bardzo ciężko. Nie wchodząc dalej w temat, bo na tym się nie znam ale jakoś to przeczuwam, myślę że te panie, które są matkami mogą tu popatrzeć od strony własnych doświadczeń. Doświadczenie Maryi było takie (Łk, 2, 41):

Rodzice Jego chodzili co roku do Jerozolimy na Święto Paschy.

Święto Paschy było jednym z tzw. świąt pielgrzymich. Wypada w marcu albo w kwietniu. I co roku udawali się z Galilei do Jerozolimy — Józef, Maryja, a wraz z nimi Jezus.

Gdy miał lat dwanaście, udali się tam zwyczajem świątecznym. (Łk, 2, 42)

Dwunastoletni chłopiec w Palestynie starożytnej to nie jest dwunastoletni chłopiec w Polsce na progu XXI wieku. Tamten jest o wiele bardziej dojrzały. Kiedy ma lat 13 przechodzi obrzęd *Bar-Micwa*, który czyni z niego człowieka dorosłego. Do tego stopnia dorosłego, że nie tylko może w synagodze czytać księgi święte, nie tylko jest traktowany jak dorosły, ale mając 13 lat i obrzęd *Bar-Micwa* za sobą może się żenić. Nie jest tak oczywiście, że każdy 13-latek natychmiast się żeni, ale teoretycznie biorąc może. I praktycznie to w starożytności się zdarzało. Musimy też pamiętać, że w starożytności ludzie żyli krócej niż dzisiaj. Średnia wieku wynosiła od 45 do 55 lat. To była średnia. Zaczynano zatem wszystko szybciej i wszystko szybciej kończono. Tu mamy Jezusa, który ma lat 12. Zatem przestaje już być dzieckiem i będzie mógł samodzielnie wystąpić w synagodze, samodzielnie się modlić, nałożyć na siebie strój modlitewny. Będzie mógł wejść w dorosłe życie. Ale Jezus dokonuje czegoś więcej. Otóż znów Maryja musi przejść więcej, niż się spodziewała. Na czym polega to więcej (Łk, 2, 43):

Kiedy wracali po skończonych uroczystościach, został Jezus w Jerozolimie, a tego nie zauważyli Jego Rodzice.

Dwunastoletni chłopiec już nie pilnował się cały czas rodziców. Poza tym rodzice zawsze szli ze swoją rodziną, znajomymi, krewnymi i zawsze sądzono, że dziecko, zwłaszcza taki dorastający chłopiec, jest gdzieś w pobliżu. Spokojnie zatem wyszli z Jerozolimy (Łk, 2, 44):

Przypuszczając, że jest w towarzystwie pątników, uszli dzień drogi i szukali Go wśród krewnych i znajomych.

Ten dzień drogi — pokazuje się dzisiaj w Palestynie miejscowość Rama. Ona jest teraz w arabskiej części i nazywa się po arabsku Ramalla. Bardzo ładnie położona na północ od Jerozolimy, mniej więcej 12 km od centrum. I tam był pierwszy postój dla pątników, którzy wracali do Galilei, 12 km od miasta świętego.

Gdy Go nie znaleźli, wrócili do Jerozolimy szukając Go. Dopiero po trzech dniach odnaleźli Go w świątyni, gdzie siedział między nauczycielami, przysłuchiwał się im i zadawał pytania. (Łk, 2, 45 - 46)

To jest właśnie to więcej, czego Maryja się jeszcze nie spodziewała. Jezus zachowuje się nie jak dziecko, które cicho słucha tego, co mają do powiedzenia inni, ale staje się uczestnikiem rozmowy o Bogu, dyskusji o Bogu, dysputy o Bogu, uczestnikiem rozmowy z nauczycielami. Tego się nie spodziewano. Matka może mieć u swojego boku dziecko i nie zawsze zdaje sobie sprawę z tego, jak ono właściwie się rozwija. Musi, czy może, wydarzyć się coś nieprzewidzianego, żeby i ona zdała sobie sprawę, że rzeczy przybierają zupełnie nowy obrót.

Wszyscy zaś, którzy Go słuchali, byli zdumieni bystrością Jego umysłu i odpowiedziami. Na ten widok zdziwili się bardzo, a Jego Matka rzekła do Niego: «Synu, czemuś nam to uczynił? Oto ojciec Twój i ja z bólem serca szukaliśmy Ciebie». (Łk, 2, 47 - 48)

Rzeczywiście ten wyrzut z pozycji matki, w sytuacji matki, jest jak najbardziej uzasadniony. Na trzeci dzień znaleźć 12-letniego chłopca — to musiał być i niepokój, i trud, i ból, trudno to sobie wszystko razem wyobrazić. W Ewangeliach ten tekst zachował się choć prawdę mówiąc nie jest to epizod wychowawczy, nie jest to epizod do naśladowania. Pokazuje nam wyjątkowość Jezusa, która to wyjątkowość stanie się od tej pory jeszcze bardziej częścią losu Maryi. Otóż Jezus nie będzie przystawał do tych schematów, które się zwyczajnemu człowiekowi narzuca. Nie przystawał do nich wraz z poczęciem, nie przystawał do nich przy narodzeniu, nie przystawał do nich wtedy, kiedy dobiega końca jego dzieciństwo. Nie będzie przystawał do nich wtedy, kiedy dokona pierwszego cudu, potem kolejnych cudów. Będzie wreszcie źródłem napięć, trudności wtedy, kiedy stanie się dorosły. Nie będzie przystawał do tych schematów w swoim życiu, w swojej śmierci, w swoim Zmartwychwstaniu. Los matki, która jest matką kogoś wielkiego, jest naprawdę nie do pozazdroszczenia. Dlatego, że chce traktować swoje dziecko jako kogoś zwyczajnego, a jednocześnie ociera się o tajemnicę, którą przeniknąć i której sensu przeniknąć nie może. Tutaj też Maryja staje wobec próby wiary. Zwróćmy uwagę — tu nie ma krzyków, nie ma awantury, tu nie ma napominania. Tu jest skarga, tu jest próba zrozumienia: „Dlaczego żeś nam to uczynił?”

Lecz On im odpowiedział: «Czemuście Mnie szukali? Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego Ojca?» Oni jednak nie zrozumieli tego, co im powiedział. (Łk, 2, 49 - 50)

Wierzyć — to jedno, rozumieć — to drugie. Maryja wierzyła chociaż część z tego, co przeżywała, była dla niej niezrozumiała. Otóż na tym polegało jej powołanie, że musiała uwierzyć w rzeczy trudniejsze i bardziej wzniosłe niż to, co była w stanie przyjąć rozumem.

Ta wiara Maryi jest przedziwna. Staralem się i dzisiaj także ukazać ją jako wiarę człowieka zwyczajnego, któremu przyszło się zmierzyć z bogactwem powołania bożego. Można by powiedzieć, że to tak jakby próbować zmieścić całą potężną rzekę do jednej małej szklanki. Maryja zdawała sobie sprawę z tego, że to, do czego została powołana, znacznie ją przerasta. A przecież to wszystko przyjęła. I dalsze Jej losy zobaczymy w Adwencie. Wtedy, kiedy już dojdziemy aż pod krzyż z Maryją.

Zapraszam na kolejne spotkanie, które odbędzie się w drugi poniedziałek grudnia, tj. 12 XII. Bardzo serdecznie dziękuję państwu. Ta wspólna refleksja uzmysłowiła nam, tak przynajmniej mam nadzieję, że na drodze wiary Maryja może być przewodniczką zwłaszcza dla tych, którym ta wiara i zrozumienie powinnyści przychodzą najtrudniej. A na sam koniec raz]jeszcze pomódlmy się, tym razem w intencji ojca Jankowskiego, o którym powiedzieliśmy na samym początku. „Zdrowaś Maryjo ... Wieczny odpoczynek ...”.

3 Trzej Królowie (9 stycznia 2006)

Pochwalony Jezus Chrystus. Bardzo serdecznie państwa witam dzisiaj na naszym pierwszym spotkaniu w roku 2006. Zanim rozpoczniemy naszą modlitwę, naszą dzisiejszą konferencję chciałbym bardzo serdecznie przeprosić za zamieszanie, które wynikło w grudniu. Wiem, że na terenie parafii ogłosiliśmy, ale poza parafią jakby mniej. Jeżeli są wśród państwa osoby, które przyjechały w grudniu – tutaj były rekolekcje adwentowe – i czuły się zawiedzione z tego powodu, to bardzo serdecznie przepraszamy. Będziemy się starali, żeby na przyszłość tego rodzaju sytuacje się nie powtarzały. Ja po prostu zapowiadając jeszcze w listopadzie nie wiedziałem jeszcze, że rekolekcje przypadają w tym terminie. Bardzo przepraszam.

Natomiast zanim zaczniemy modlitwę chciałbym bardzo serdecznie podziękować za wszystkie dowody życzliwości, serdeczności związane z Bożym Narodzeniem, z Nowym Rokiem, za życzenia w rozmaitych formach, w rozmaity sposób. Ja też starałem się przy sposobności tych świąt pamiętać i odwzajemniać i życzliwością i modlitwą. Teraz możemy zatem rozpoczynać.

W imię Ojca, i Syna ... Ojciec nasz ... Stolicę Mądrości, módl się za nami.

To dobrze, że państwo są. To dobrze, że jest do kogo mówić. Dobrze, że znowu się spotykamy. Bardzo to podnosi na duchu, kiedy patrzę na państwa, kiedy rozpoczynamy kolejną konferencję. To jest niezwykle miłe. Muszę państwu powiedzieć, że tuż przed Świątami zrobiłem w komputerze zestawienie konferencji, wykładów, prelekcji takich jak ta, które wygłosiłem w ciągu dwudziestu lat – bo rozpoczęliśmy te wykłady w r. 1986, zatem w tym roku na jesieni przypada 20 lat. Otóż tych wszystkich wykładów, prelekcji, odczytów wygłaszanych w różnych miejscach, nie tylko tutaj na warszawskiej Ochocie ale także w innych miejscach Warszawy, a także w innych miejscach Polski – oprócz normalnych wykładów – było tyle, że ten obecny jest z kolei 698-y. To sporo, prawie siedemset. Na szczęście prowadziłem dokumentację od początku, spisywałem tytuły, daty, miejsca – i to na koniec się przydało, pokazuje o czym w tym czasie była mowa. Ciekawą jest rzeczą przejrzeć sam spis – ile tego jest i gdzie to było. Oczywiście gros wśród tego zajmują te wykłady i konferencje, które tutaj mamy, najpierw w Parafii Opatrzności Bożej, potem tu w parafii Zwiastowania Pańskiego, prawie od 20 lat.

Tematem naszych tegorocznych konferencji są bohaterowie wiary Nowego Testamentu. Przed dwoma miesiącami za przedmiot naszej refleksji mieliśmy Tę, która jest przewodniczką wiary w Nowym Testamencie, mianowicie Maryję, Najświętszą Maryję Pannę. Zastanawiałem się co wziąć na dzień dzisiejszy. Bo na grudzień planowałem, że bliżej jeszcze przyjrzymy się postaci Jana Chrzciciela, który związany jest z okresem Adwentu. Okres Adwentu mamy za sobą i zastanawiałem się kogo wybrać na dzień dzisiejszy, na styczniową konferencję. I po długim namyśle, i po pewnym przygotowaniu – dlatego, bo temat jest bardzo trudny – postanowiłem zająć się z państwem epizodem który bardzo żyje w naszej tradycji, w polskiej tradycji, w chrześcijańskiej tradycji, aczkolwiek Ewangelia poświęca mu stosunkowo mało miejsca. Natomiast epizod jest bardzo interesujący, bardzo ciekawy. Mam nadzieję, że wystarczy nam czasu aby go poruszyć. Z drugiej strony jednak chociaż w Ewangelii jest sformułowany króciutko, to będziemy mieli dostatecznie dużo na jego temat do powiedzenia. Otóż ten epizod to jest biblijne, nowotestamentowe opowiadanie, które w naszej polskiej tradycji nosi nazwę *Trzej Królowie*.

Opowiadanie o Trzech Królach. Mówię, że tę nazwę nosi w tradycji dlatego, że przeczytamy sobie bardzo wnikliwie Ewangelię i będziemy starali się to opowiadanie biblijne poddać bardzo wnikliwej egzegezie, bardzo wnikliwemu komentowaniu, prawie że słowo po słowie. Jak państwo widzą mam przed sobą dwa teksty. To jest małe wydanie znane jako Biblia Tysiąclecia. Dotyczy oczywiście tylko Nowego Testamentu. Natomiast ta druga książka, którą państwo widzą, to jest Nowy Testament w oryginale, Nowy Testament w języku greckim czyli taki Nowy Testament, z którego dokonywane są przekłady na język polski. To jest tzw. wydanie krytyczne to znaczy, że jest tekst Nowego Testamentu, grecki tekst tak, jak został ustalony, jak jest zapisywany na podstawie wszystkich najważniejszych świadectw tego tekstu. Najstarsze świadectwa sięgają V wieku czyli mają ponad półtora tysiąca lat. To są kodeksy, rękopisy które są zgromadzone na Synaju, w Watykanie, w Petersburgu i w wielu innych miejscach. Cierpliwie zestawiane ze sobą, porównywane po to, żeby mieć tekst oryginalny Nowego Testamentu. Gdyby otworzyć ten Nowy Testament w dowolnym miejscu to wygląda to mniej więcej tak – jest to po prostu grecki zapis.

Wziąłem go nieprzypadkowo, bo będziemy musieli przynajmniej w jednym czy drugim miejscu do tekstu greckiego się odwołać, żeby pewne niuanse zrozumieć.

Ten egzemplarz, który państwo widzą, jest mi szczególnie bliski dlatego, że jest to egzemplarz kupiony w roku 1978 w Rzymie. Kiedy podjąłem wtedy studia biblijne, również z Nowego Testamentu, uczyliśmy się języka greckiego m.in. z tego egzemplarza, który jest bardzo starannie oprawiony i nie zniszczony. Z tego egzemplarza zdawałem egzaminy z greckiego, egzaminy z Ewangelii, z Listów Apostolskich. Jest to więc taki egzemplarz, który został dość dokładnie przerobiony i który kiedyś po grecku kilkakrotnie czytałem. Wszystko to opowiadam państwu także po to, abyśmy zrozumieli jeszcze jedną rzecz, na którą państwu kiedyś zwróciłem uwagę. Otóż jest jeden naród chrześcijański który wobec tego, inaczej niż my, nie potrzebuje przekładu Nowego Testamentu na swój język, nie zna w ogóle przekładów biblijnych. Oczywiście to są Grecy. Każdy Grek po dzień dzisiejszy ma egzemplarz Pisma Świętego po grecku. I dla niego język grecki, chociaż może miejscami jest trochę starożytny, jest to jego ojczysty język. I trzeba widzieć tę dumę Greków, którzy idąc do kościoła, idąc do cerkwi, czytają Pismo Święte w swoim ojczystym języku. To sam dotyczy również Starego Testamentu. Dlatego że Grecy za swoją Biblię, Biblię Kościoła prawosławnego greckiego i w ogóle wszystkich Kościołów prawosławnych, mają tzw. Sepuagintę czyli Biblię Grecką — czyli przekład Pisma Świętego, który został dokonany w III i w II w. przed Chrystusem z języka hebrajskiego na grecki. Stąd u Greków to poczucie dumy i chociaż o tym bardzo mało wiemy, mając do Grecji niedaleko, to musimy mieć świadomość że chrześcijanie greccy takie poczucie mają. Jeżeli do tego dodamy fakt, że w Grecji są miasta związane z działalnością Pawła Apostoła, takie jak Filipi, jak Saloniki, jak Berea, jak Ateny, jak Korynt, to powinniśmy zdać sobie sprawę, że tu, w Europie, mamy ziemię biblijną.

Otóż jeżeli chcemy dokonać jakiegokolwiek przekładu Pisma Świętego na język polski, to punktem wyjścia jest właśnie ten tekst w języku greckim. To jeżeli chodzi o pewną stronę formalną dzisiejszego przedsięwzięcia. Natomiast dużo ważniejsza jest strona merytoryczna. Ileż to razy powtarzaliśmy, że w kanonie Nowego Testamentu są cztery Ewangelie i że te cztery Ewangelie koncentrują się na osobie Jezusa Chrystusa: Ewangelia Mateusza, Ewangelia Marka, Ewangelia Łukasza i Ewangelia św. Jana. Cztery Ewangelie — moglibyśmy powiedzieć: cztery portrety Jezusa, cztery wizerunki Jezusa, cztery obrazy Jezusa. Bohater jest jeden ale cztery spojrzenia. Każde ze spojrzeń jest inne, bo inny jest jego autor. Te cztery spojrzenia to jakby cztery profile. Doskonale wiemy, że nawet u jednego fotografa nigdy nie zrobimy tych samych zdjęć — a co dopiero nasze zdjęcia robione przez czterech różnych fotografów. A jest to portret Jezusa malowany nie fotografią, lecz malowany słowem. Malowany opowiadaniem. Portret taki, jaki możemy usłyszeć. Wobec tego portret, który ma przemówić do wyobraźni, który ma sprawić, że jak najwięcej zapamiętamy. I kiedy się czyta Nowy Testament po grecku to jest ta płynność takiego opowiadania. I cała umiejętność przekładu polega na tym, żeby to w językach nowożytnych właściwie oddać. Powiedzieliśmy też — doskonale to państwo wiedzą — że w centrum zainteresowania wszystkich ewangelistów jest Jezus dorosły, dojrzały, nauczający, działający cuda — i nie ma w tym nic dziwnego. Jeżeli chcemy opisywać życie Jana Pawła II to interesuje nas przede wszystkim ten przedział czasu od 16 X 1978 do 2 IV 2005. Jeżeli chcemy opisywać życie kardynała Wyszyńskiego, to interesuje nas przedział od czasu kiedy został biskupem lubelskim, a dwa lata później prymasem Polski w 1948, do jego śmierci w 1981 r. Chętnie pytamy o to, co było wcześniej, ale jest to podawane bardzo zdawkowo. Ileż razy przypominaliśmy sobie, że jeżeli piszemy życiorys to piszemy: „Urodziłem się tego i tego dnia tam i tam. Szkołę podstawową ukończyłem ...” Pierwsze lata przeskakujemy. W życiorysach nie spisujemy tego, jak wyglądało nasze bardzo wczesne dzieciństwo czy niemowlęctwo, bo na ten temat możemy tylko posłuchać od naszej mamy czy od naszych rodziców. Nie inaczej było z Jezusem. Otóż Jezus — jego obraz, jego wizerunek to jest obraz dorosłego, dojrzałego człowieka, który rozpoczął swoją działalność publiczną kiedy miał 30 lat. Oczywiście, że niektórych ewangelistów interesowało to, co było przedtem. Zadawali takie pytania — o dzieciństwo Jezusa. Ale w Piśmie Świętym w ogóle zainteresowanie dzieciństwem bohaterów pojawia się bardzo rzadko: mamy w odniesieniu do Mojżesza, mamy w odniesieniu do Samuela — i właściwie to wszystko. Jeżeli chodzi o innych wielkich bohaterów wiary, znamy ich jako ludzi dorosłych. W Ewangeliach mamy jednak dwa wyjątki. Mianowicie Ewangelia Mateusza i Ewangelia Łukasza, czyli odpowiednio pierwsza i trzecia Ewangelia kanoniczna, zawierają na samym początku tzw. *Ewangelię dzieciństwa*. Zwykle

się nazywać w jednej i drugiej Ewangelii pierwsze dwa rozdziały takim właśnie określeniem, chociaż niezupełnie tam chodzi o dzieciństwo Jezusa, bo mamy tam również do czynienia, mamy taki rzut oka, mamy taki flesz na Jezusa, który ma lat 12 i na Jezusa, który ma rozpocząć swoją publiczną działalność. Nas interesuje dzisiaj pierwsza Ewangelia kanoniczna, Ewangelia św. Mateusza, w której znajduje się ten słynny epizod z mędrkami, czy też z królami, czy też — jak zobaczymy za chwilę — z magami. Zobaczymy jak to rozumieć i spróbujemy to również wytłumaczyć.

Otóż Ewangelia św. Mateusza to jest Ewangelia bardzo niezwykła. Ja już kiedyś państwu opowiadałem i dzisiaj raz jeszcze opowiem przygodę, jaką 12 lat temu, mniej więcej o tej porze, w styczniu, miałem w Chicago, w Stanach Zjednoczonych. Otóż wtedy, 12 lat temu, pojechałem do Ameryki, bo otrzymałem takie zlecenie z naszej Konferencji Episkopatu, żeby tam przeprowadzić cykl wykładów w rozmaitych uczelniach. To były uczelnie katolickie, ale także uczelnie żydowskie. I jedna z tych uczelni znajdowała się w Chicago. I miałem tam za zadanie, żeby przez intensywny semestr prowadzić zajęcia z rabinami — z tymi Żydami, którzy uczą innych Żydów. Oczywiście było to zadanie bardzo trudne. Chciałem, żeby punktem oparcia w poznawaniu ewangelicznego obrazu Jezusa była Ewangelia św. Mateusza. Dlatego po rozmaitych perypetiach, o których już kiedyś mówiłem i pewnie kiedyś osobno trzeba będzie powiedzieć, doszło do tego, że rabini wreszcie dostali Ewangelię do ręki. Mieli Ewangelię św. Mateusza. Było ich dwudziestu dwóch. I jako zadanie mieli w ciągu pierwszego tygodnia pomiędzy wykładami tę Ewangelię przeczytać nawet nie w całości, tylko pierwsze kilka rozdziałów. Przyszli za tydzień, rozmowa była bardzo żywa. I pytam ich, jak im się to podoba, a przede wszystkim co z tego zrozumieli. Oni powiadają, że zrozumieli wszystko. Natomiast są bardzo zdziwieni, że tę Ewangelię dostali bo czytali ją pierwszy raz w życiu, bo mają formalny zakaz kupowania i czytania Ewangelii — natomiast dziwi ich to, co my z tego rozumiemy. Dlatego, że ta Ewangelia jest tak bardzo żydowska, że w tej Ewangelii jest tak bardzo dużo żydowskich realiów, że oni zadają sobie pytanie co ta Ewangelia ma nam do powiedzenia. Przypomnijmy, że na samym początku rodowód Jezusa Chrystusa, potem nawiązania do rozmaitych zwyczajów. I byli szczerze zdziwieni, że my możemy z jakimś duchowym pożytkiem tę Ewangelię czytać.

Dlaczego tak się dzieje? Dlatego, że ta Ewangelia została napisana przez chrześcijanina — ale żydowskiego pochodzenia — św. Mateusza, Apostoła, Ewangelistę dla tych Żydów, którzy uwierzyli w Jezusa ale Go osobiście nie znali, oraz dla tych Żydów, którzy nie uwierzyli w Jezusa. I to jest Ewangelia bardzo żydowska z tego powodu. Państwo na pewno czytali tę Ewangelię, znają jej podstawowe epizody. Bo właśnie w tym kontekście trzeba umieścić to niezwykle opowiadanie o tych trzech mędrkach, królach czy magach. Bo ono odchodzi od całej struktury Ewangelii dzieciństwa, a nawet od struktury całej Ewangelii. Bo proszę znowu zwrócić uwagę na fakt, z którego rzadko zdajemy sobie sprawę, że ci trzej nie są Żydami, a przyszli uwielbić Jezusa Chrystusa. I w Ewangelii skierowanej do Żydów mamy ich podanych jako co? Jako wspomnienie? Jako przykład do naśladowania? A może po to, żeby zawstydzić innych Żydów? Spróbujemy się temu przyjrzeć. Przypomnijmy więc, że Ewangelista przedstawiając Jezusa robi to tak. Najpierw powiada, że jest to Ewangelia Jezusa Chrystusa, syna Dawida, syna Abrahama. Zatem pokazuje, że Jezus jest bardzo mocno wrośnięty w tradycję biblijnego Izraela, w tradycję tego oczekiwania Mesjasza. To jest bardzo ważne bo to nam przypomina, że w czasach Starego Testamentu ludzkość była podzielona na pół. Nie była to połowa statystyczna dlatego, że jednych było stosunkowo mało, drugich było bardzo wiele, ale była to połowa — jeżeli tak można powiedzieć — logiczna. O co chodzi? Otóż ówczesną ludzkość, ludzkość do czasów Jezusa Chrystusa można by podzielić na Żydów, którzy wyznawali Boga Jedynego, oraz pogan, którzy też byli ludźmi religijnymi, ale wyznawali wielu bogów. I jedni i drudzy byli religijni. Być poganinem nie znaczyło być ateistą. W starożytności nie było ateistów. Jakieś prądy ateistyczne czy pseudo-ateistyczne pojawiały się czasami w Grecji, ale one nie znajdowały żadnego posłuchu. Natomiast Żydzi wyznawali Jedynego Boga, modlili się do Jedynego Boga — nie do Jednego Boga tylko do Jedynego Boga. Natomiast inni mieli swoich bogów. Czasami tych bogów było dwóch, trzech, czasami było ich więcej, czasami było bardzo dużo. I przypominamy sobie tę sytuację jaka istniała np. w Atenach, że każda dziedzina życia miała swojego boga. Może troszkę tak, jak u nas każda dziedzina życia ma swojego patrona. Ten od rzeczy znalezionych, ten św. Walenty to patron zakochanych, ten od bólu gardła, ten będzie od spraw niemożliwych itd. Nie jest to analogia do końca właściwa, ale pewne podobieństwo jest. Oddajemy chwałę Panu Bogu, ale chcemy się też zabezpieczyć na wypadek rozmaitych możliwych

trudności. I w Atenach było podobnie. Postawiono rozmaite ołtarze — ten ku czci Afrodyty, ten ku czci Zeusa, ten ku czci innego boga. A oprócz tych wszystkich bóstw istniał też jeden ołtarz, na którym był napis „Agnoto Theo” czyli „Nieznanemu Bogu”. Gdyby się okazało, że jakiś bóg do tej pory nie był czczony a objawił się — to mu powiedziano by: „Zobacz, myśmy cię już czcili nie znając”.

Żydzi wyznawali Jedyne Boga. I jaki pojawia się problem, jakie pojawia się pytanie? Mianowicie: czy nie ma w tym jakiejś niesprawiedliwości, że Bóg objawił siebie Izraelowi natomiast nie objawił siebie w taki sam sposób narodom pogańskim? Czy nie było tak, że wybierając jednych uprzywilejował ich do tego stopnia, że działo się to kosztem innych? Jaka była wartość religijności pogan? Czy poganie mogli się zbawić i dojść do poznania Pana Boga? Czy ich życie religijne, ich sposób oddawania czci bóstwom miał jakąkolwiek wartość w oczach Pana Boga? Czy też poganie byli jakby skazani na zatracenie albo też ich droga była zupełnie bez celu i bez sensu? To pytanie zaprzętało uwagę od samego początku istnienia Ewangelii. To pytanie pojawiło się we wczesnym chrześcijaństwie i to pytanie postawili już sobie tzw. Ojcowie Kościoła czyli ci, którzy w wieku II, III, IV kładli fundamenty pod naszą wiarę. I Ojcowie Kościoła wyjaśniali że tak, Bóg wybrał Izraelitów, Bóg ich uprzywilejował, oni są narodem bożego wybrania, im się objawił, ich prowadził. Dlaczego — to jest tajemnica jego miłości i miłosierdzia. Ale — dodawali Ojcowie Kościoła — także w narodach pogańskich Bóg złożył „semina verbi” nazywano to, czyli „nasiona słowa”, „ziarna prawdy”. Otóż poganie też oddając cześć rozmaitym bóstwom zmierzali do Boga niejako po omacku. Poruszali się jakby w ciemnościach. Ale tego Boga wyczuwali, tego Boga pragnęli, tego Boga odnajdywali. Bóg też im się pozwalał znaleźć. I to biblijne opowiadanie o trzech poszukiwaczach Jezusa Chrystusa to nic innego, jak dowartościowanie owego świata pogańskiego. To potwierdzenie tej prawdy, że w świecie pogańskim byli ludzie, którzy nie otrzymali takiego objawienia, jakie otrzymali Żydzi, a mimo to doszli do poznania Boga i doszli do uznania Jezusa Chrystusa.

Otóż po tym rodowodzie Jezusa Chrystusa następuje opowiadanie o narodzinach Jezusa. Opowiadanie, które w Ewangelii św. Mateusza podane jest z perspektywy Józefa, tak na ten temat już mówiliśmy, z perspektywy rozterek Józefa. Bo Ewangelia jest skierowana do Żydów, tam dominuje męska perspektywa. U Żydów i u Arabów religia to jest męska rzecz, i religijność to jest męska rzecz. Inaczej niż w chrześcijaństwie, co dla nas czasami jest szokiem. W Ewangelii św. Łukasza mamy perspektywę kobiecą – Maryi, z której przedstawiane są wydarzenia związane z dzieciństwem Jezusa. U Mateusza mamy perspektywę mężczyzny. I kiedy Mateusz wyjaśnił już, że Jezus przyszedł na świat w Betlejem, to wtedy mamy u niego ten epizod, na który chcemy dzisiaj zwrócić szczególną uwagę. To ewangelista napisał tak – czytam teraz przekład polski, żeby w odpowiednim miejscu wrócić, czy pokazać państwu, niuanse tego tekstu greckiego. Czytamy tak (Mat, 2,1):

Gdy zaś Jezus narodził się w Betlejem w Judei za panowania króla Heroda, oto Mędrcy ze Wschodu przybyli do Jerozolimy

Przyjrzymy się po kolei każdemu z tych słów. Najpierw: „Gdy zaś Jezus narodził się w Betlejem w Judei”. Otóż Ewangelista podkreśla, że narodziny Jezusa miały miejsce w Betlejem. Słowo „Betlejem” po hebrajsku brzmi „Betlehem” i znaczy po polsku „Dom chleba”. Okolica, w której znajduje się Betlejem, była w starożytności bardzo urodzajna. Uprawiano tam jęczmień, pszenicę, klimat był trochę chłodniejszy niż dzisiaj. Jest to okolica na południe od Jerozolimy, mniej więcej 10 km od centrum Jerozolimy, zatem bardzo blisko według naszych standardów. I w starożytności też było to bardzo blisko. I tam przyszedł na świat Jezus. Ewangelista bardzo mocno to podkreśla dlatego, że oczekiwania mesjańskie, oczekiwania Mesjasza, były bardzo silnie z Betlejem związane. Działo się tak dlatego, ponieważ z Betlejem pochodził król Dawid, stamtąd pochodziła babcia króla Dawida czyli słynna Rut, która w Betlejem dożywała swoich lat. Tam król Dawid urodził się, tam został namaszczony na króla, stamtąd rozpoczął swoje rządy. I Betlejem pozostawało zawsze, i pozostaje po dzień dzisiejszy, jako miasto dawidowe, jako miasto króla Dawida. Również na drodze do Betlejem, między Jerozolimą a Betlejem, została pochowana Rachela, umiłowana żona Jakuba. Państwo pamiętają, że Jakub miał dwie żony, Lea i Rachela. Ta młodsza Rachela bardziej mu się podobała niż starsza, ale brat obojga i rodzina obydwu dziewczyn postanowiła wydać obie za męża. I jak opowiada Księga Rodzaju najpierw pozyskał starszą Leę, a później pracował za młodszą, bo takie było prawo pozyskiwania żony w starożytności. Takie jest zresztą dzisiaj w świecie semickim.

I miał za żonę również tę, którą bardzo miłował, Rachelę. Ona przy urodzeniu dziecka zmarła. To dziecko, które urodziła, to Benjamin — najmłodsze dziecko. Dlatego mówimy dzisiaj beniaminek ligi piłkarskiej, beniaminek w klasie, beniaminek w szkole, beniaminek w rodzinie — w nawiązaniu do tego najmłodszego, najbardziej ukochanego dziecka. I Rachela została pochowana właśnie na przedmieściach Betlejem. Tam do dzisiaj przy grobie Racheli zbierają się żydowskie kobiety, tam modlą się za swoje dzieci. Tam również modlą się o dziecko, o potomstwo. Po dzień dzisiejszy jest to bardzo ważne sanktuarium żydowskie. Zatem Betlejem miało bardzo długą tradycję w czasach Starego Testamentu. Również prorocy wskazywali na Betlejem jako na miejsce pochodzenia Mesjasza, czyli Bożego Pomazańca.

Mateusz powiada, że „Jezus narodził się w Betlejem w Judei”. Judea to kraina, na terenie której leży Jerozolima, i Betlejem. Cała Palestyna to są trzy krainy: na północy Galilea, w środku Samaria, a najbardziej na południu Judea. „Za panowania króla Heroda”. To też bardzo ważna informacja. Otóż król Herod urodził się około 73 r. przed Chrystusem, a zmarł ok. 4 roku przed Chrystusem. Tutaj przypominamy sobie to, o czym również wiele razy mówiliśmy. Że kiedy mówi się, że Herod zmarł cztery lata przed Chrystusem, to brzmi to nam bardzo dziwnie skoro za jego czasów Chrystus się urodził. Ale ten błąd wziął się stąd, że kiedy ok. roku 550 przeliczano, a dokładnie papież polecił scytyjskiemu mnichowi który nazywał się Dionizy Exiguus — Dionizy Mały, przeliczyć kalendarz od założenia Rzymu. Zmienić tak, żeby od tej pory, od połowy VI wieku liczono czas od narodzin Jezusa Chrystusa, to Dionizy wszystko zrobił dobrze, tylko pomylił się o 5, 6 a może nawet o 7 lat. Pomylił się i ta pomyłka ma do dnia dzisiejszego fatalne skutki bo wychodzi na to, że Herod zmarł na cztery lata przed narodzeniem Jezusa. Jest tu kwestia tylko rachuby kalendarzowej. Herod zatem umierając miał ok. 69 lat, co w starożytności było wiekiem dość zaawansowanym. Herod miał bardzo ciekawy życiorys i to opowiadanie również nam potwierdza wiele szczegółów, które znamy np. od Józefa Flawiusza i od innych pisarzy, którzy o Herodzie pisali sporo.

Herod pochodził z rodziny idumejskiej. Idumejczycy to byli potomkowie starożytnych Edomitów. Mieszkali na terenie południa dzisiejszej Jordanii, a ich stolicą przez jakiś czas była Petra, jedno z najpiękniejszych miast Bliskiego Wschodu, przedziwne, gdzie również byli Nababejczycy i właśnie Edomici. W II w. przed Chrystusem, kiedy w Jerozolimie rządziła dynastia hasmonejska, Hasmodeusze, znana też jako dynastia machabejska — była to dynastia dość silna i udało im się podporządkować tych właśnie Idumejczyków. Mieszkali oni jakieś 200 km od Jerozolimy, może niecałe 200, poddano ich obrzezaniu i siłą przymuszono, żeby przeszli na judaizm. To nie byli czystej krwi Żydzi, ale był to lud semicki. W związku z tym wśród Żydów pozostała pamięć o Idumejczykach, że to są tacy pół-Żydzi. Religijnie to oni wyznają judaizm. Natomiast jeżeli chodzi o pochodzenie, a pochodzenie idzie po matce, to takiego pochodzenia nie mają bo po prostu zostali siłą nawróceni na judaizm. I król Herod był z pochodzenia Idumejczykiem, pochodził z takiej właśnie idumejskiej rodziny. To był człowiek niezwykle sprytny, który wykorzystał swoje znajomości z Rzymianami. Rzymianie w tym czasie zajmowali Bliski Wschód, zajmowali również Palestynę. Herod z tego skorzystał. Wszedł z nimi w rozmaite kontakty, dawał im łapówki, pozyskiwał ich w rozmaity sposób i doprowadził do tego, że po śmierci jednego z władców hasmonejskich w r. 37 przed Chrystusem Rzymianie wyznaczyli Heroda na króla. Ponieważ Herod wiedział, że Żydzi go nie lubią, co więcej – nawet go nienawidzą, to postanowił obejść się z nimi bardzo sprytnie. Pierwszy jego podstęp polegał na tym, że ożenił się z dziewczyną, która przynależała do poprzedniej żydowskiej dynastii hasmonejskiej. Miała na imię Marianne. W ten sposób zapewnił, że dzieci urodzone z ich związku to byli Żydzi, nie można było dzieciom nic zarzucić. Skoro swojego pochodzenia nie mógł poprawić, to przynajmniej sprawił, że dzieci miały już pochodzenie takie, jakie w Jerozolimie było mile widziane. W tej dziedzinie był dość wydatny, bo miał dzieci piętnaścioro. Uznał jednak, że te piętnaścioro dzieci to jest stanowczo za dużo i w związku z tym postanowił sam zredukować ich liczbę. Odbywało się to tak, że je po prostu zabijał — najczęściej topił. Przepraszam, że mówię o tych szczegółach, ale tak to wyglądało, taki był król Herod. Na tym tle może lepiej zrozumieć również można, czy osadzić można jego „rzeź niewiniątek”, bo to ten sam władca. Otóż była sadzawka zrobiona przy drodze z Jerozolimy do Jerycha, ona zresztą zachowała się do dnia dzisiejszego, oczywiście dzisiaj zasypana — wody tam nie ma ale miejsce jest. I do tej sadzawki Herod zwabiał — nie sam oczywiście, ale miał specjalne strażę do tego, specjalną policję bezpieczeństwa — zwabiał swoich wrogów, prawdziwych i potencjalnych, i tam się z nimi rozprawiał. I jego ofiarami były

również jego własne dzieci. Pozostawił przy życiu tylko te o których domniemywał, że mogą objąć później schedę po nim — i tak się rzeczywiście stało.

Zatem kolaborant z Rzymianami. Druga sprawa: bardzo surowa polityka wewnątrz rodziny, posunięta do zbrodni. I wreszcie trzecia sprawa — Herod rozumiał, że jeżeli chce rządzić Żydami, to musi się im podobać. I w związku z tym podjął dwa rodzaje aktywności budowlanej. Jeden — to była budowa wielu miast i wielu twierdz na terenie Palestyny. One przetrwały do dnia dzisiejszego, słynne Herodium, Massada, Macheront – potężne twierdze, która znajdują się na południe od Jerozolimy. I druga rzecz — umocnił miasta w różnych regionach Palestyny, dał ludziom pracę, dał ludziom zarobki, zaczęto go chwalić – i podjął remont świątyni jerozolimskiej. Nawet rabini, którzy za Herodem nie przepadali, napisali pod koniec jego życia, że jeżeli ktoś nie widział świątyni jerozolimskiej tak, jak przebudował ją Herod, to niczego w życiu nie widział. I starożytni historycy umieszczają świątynię przebudowaną przez Heroda obok wielkich cudów starożytnego świata.

Więc taki był Herod. Z jednej strony splendor, z jednej strony aktywność budowlana. Z drugiej strony kampanie wojenne, łapówki, karierowiczostwo, podlizywanie się Rzymianom. I tak trwał przy władzy. Kiedy już się starzał i kiedy już miał coraz mniej sił, stawał się coraz bardziej podejrzliwy. Był coraz bardziej wyizolowany, coraz bardziej zamknięty. Zdawał sobie sprawę, że wielu ludzi czyha na jego życie. I wystarczał byle pretekst, by Herod obszedł się niemilosiernie z tymi, którzy wchodzili mu w drogę. Więc: „za panowania króla Heroda”. To, o czym czytamy, działo się właśnie w takim kontekście — za panowania tego podstępnego, przebiegłego i sprytnego władcy. I

... oto Mędrcy ze Wschodu przybyli do Jerozolimy

I tu musimy sięgnąć do tekstu greckiego dlatego, że to słowo, które w języku polskim przetłumaczone jest jako *mędrcy*, w tekście greckim brzmi troszeczkę inaczej. Jeżeli państwo pozwolą, to ja to przeczytam.

Idu magoj ago anatolon paragenoj Jerozolima.

Magoj — *magowie* dosłownie. Otóż ten tekst grecki jest przekładem z jakiegoś oryginału semickiego – hebrajskiego bądź aramejskiego. Ta Ewangelia była pierwotnie napisana najprawdopodobniej w języku hebrajskim. I tu w języku hebrajskim na pewno też było słowo *magoj*, które na język polski trzeba by przetłumaczyć *magowie*. Oto *magowie* przybyli *eiszanatolen* — *ze Wschodu* do Jerozolimy. Dlaczego w języku polskim nie ma *magowie* tylko jest *mędrcy*? Dlatego, że z tym określeniem *magoj* — *magowie* od samego początku był kłopot. Mianowicie już w starożytności mówiono, że magia, wróżbiarstwo, czarnoksiężnictwo jest rzeczą złą. Jak to jest możliwe, żeby *magowie* przybyli i oddali chwałę Panu Bogu? Nie wszyscy znali rzeczywistość pogańską taką, jaką ona była. A moglibyśmy, streszczając bardzo wiele rzeczy, powiedzieć tak. W starożytnym Egipcie dochodzono do bóstw i do Pana Boga poprzez kontemplację głównie. W starożytnej Grecji dochodzono przez filozofię. W starożytnym Rzymie dochodzono przez prawo. Natomiast na starożytnym Bliskim Wschodzie, ale tym dalszym – w Mezopotamii – dochodzono przez uprawianie nauki. A jedną z najbardziej tam rozwiniętych dziedzin nauki była matematyka, astrologia i astronomia. Otóż na terenach gdzie dziś jest Irak, dotknięty wojną, sąsiadujący z nim Iran i Syria, bardzo rozwinięta była obserwacja gwiazd. Ta obserwacja gwiazd służyła bardzo różnym celom: przepowiadaniu wylewów rzeki, przepowiadaniu pogody, obliczeniom kalendarzowym — kalendarz był dostosowany albo do słońca, albo do księżyca, albo jedno i drugie. I w odległej starożytności bardzo wnikliwie obserwowano gwiazdy. Oczywiście zajmowano się także obserwacją gwiazd dla wróżenia ludziom, dla przepowiadania przyszłości. I sztuka takiej właśnie astrologii była w starożytnej Mezopotamii bardzo rozwinięta. Ci trzej — mówię „trzej” ale tutaj nie ma, że było ich trzech, o czym za chwilę, tylko w tradycji utarło się, że było trzech magów. Ci trzej należeli właśnie do takiej grupy magów, co dla nas ma znaczenie pejoratywne, ujemne i dlatego w przekładzie mamy „mędrcy”. Otóż w pewnym sensie byli mędrkami, w pewnym sensie nimi nie byli. Bo nie była to mądrość taka, jak w Grecji — mądrość filozofii. Nie była to mądrość taka, jak w Egipcie, tylko była to mądrość związana z obserwacją gwiazd, z doświadczeniem, z obliczeniami astronomicznymi — i pod tym względem byli niedoścignieni. Otóż „... ze Wschodu przybyli do Jerozolimy”. Co to znaczy: „ze Wschodu”? Chodzi na pewno o wschód od Ziemi Świętej. Ale uważny geograf zapyta najpierw tak, i to ma

również wielkie znaczenie dla rekonstrukcji tego epizodu: Czy chodzi o bliskie rejony, a więc czy oni przybyli z terenu dzisiejszej Jordanii? Czy oni przybyli trochę dalej, z terenu dzisiejszego Iraku? Czy też oni przybyli jeszcze dalej, z terenu dzisiejszego Iranu czyli dawnej Persji? Jakie to ma znaczenie? Od razu będziemy widzieć, że jeżeli przybyli z terenu dzisiejszej Jordanii, to mieli do pokonania 60, 80 czy 100 km. Mogli je pokonać w 2, 3, 4 dni. Jeżeli przybyli z terenu dzisiejszego Iraku, to mieli do pokonania 800, może nawet 1000 km. Zatem musiałyby to im zająć – 30 km dziennie – około miesiąca. Jeżeli przybyli z terenu Persji, Iranu, to mieli do pokonania ok. $1\frac{1}{2}$ tysiąca km, czyli sama podróż zajęła by im ok. $1\frac{1}{2}$ miesiąca. Skąd więc przybyli? Odpowiadamy: nie wiemy! Tego nam Ewangelista nie tłumaczy, nie mówi, nie objaśnia. Mówi szeroko, że „przybyli ze Wschodu”. Czy ten Wschód był bliżej, czy ten Wschód był dalej — na zawsze pozostanie tajemnicą. Normalnie taką ojczyznę magów – niekoniecznie magii – pozostawiała Mezopotamia, czyli teren dzisiejszego Iraku. I w tradycji chrześcijańskiej mowa jest, że przybyli właśnie stamtąd. Że tam w Mezopotamii rozpoczęli swoją podróż i stamtąd dotarli do Jezusa. Czy tak było — tak na prawdę nie wiemy. Otóż gdy dotarli do Jerozolimy, musiało upłynąć trochę czasu. Co kierowało nimi w tej podróży, czy co motywowało ich do podróży? Uważna obserwacja nieba. Czy była w tym astronomia, czy była w tym astrologia, czy był w tym jakiś rodzaj magii — zawsze tego dochodzono przez dwa tysiące lat istnienia Kościoła. Do tego stopnia, że mówiono: „Nie wypada nawet nazywać ich magami”. Więc mówiono o „królach”. W naszej polskiej tradycji pozostało „trzej królowie”. Zaraz zobaczymy, skąd to się wzięło. Ale w Piśmie Świętym, w Ewangelii, o „królach” mowy nie ma.

... i pytali: «Gdzie jest nowo narodzony król żydowski? Ujrzeliśmy bowiem jego gwiazdę na Wschodzie i przybyliśmy oddać mu pokłon».

Otóż przybywają do Jerozolimy dlatego, że „ujrzeni gwiazdę na Wschodzie”. Do dnia dzisiejszego uczeni, np. astronomowie, także w naszym polskim najbardziej znanym uniwersytecie, gdzie astronomia słusznie jest najbardziej rozwinięta, Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, próbują odtworzyć niebo sprzed dwóch tysięcy lat. Zastanawiają się i próbują dociec, czy 2000 lat temu objawiła się jakaś gwiazda nowa. Śledzą ostatnie dziesięć lat ery przedchrześcijańskiej. Domyślają się, że być może chodziło o koniunkcję planet. Myślą np. o koniunkcji Marsa i Saturna, która dała jaśniejsze światło. Próbują szukać jakichś innych wytłumaczeń astronomicznych i niektórym z nich wydaje się, że są bardzo bliscy. Wszystko to jest próbą racjonalizacji tajemnicy, próbą wyjaśnienia tajemnicy. Tekst ewangeliczny nie tłumaczy nam jaki miało charakter to zjawisko na niebie. Nie potrafimy tego przeniknąć, nie potrafimy tego powiedzieć. Ci przybysze powiadają: „Zobaczyliśmy jego gwiazdę na Wschodzie. Gdzie jest nowo narodzony król żydowski?” W tym jest jakaś nuta humoru, w tym jest jakaś nuta pewnego napięcia. Otóż magowie zajmujący się obserwacją nieba przybywają z daleka do Jerozolimy i pytają o narodziny króla żydowskiego miejscowych Żydów podczas gdy ci, którzy są na miejscu, się tym nie zajmują. Jezus urodził się w sąsiednim Betlejem, ale Jerozolima żyje swoimi sprawami. Trzeba, żeby ci przybyli z bardzo daleka, żeby zwrócić uwagę Heroda i uwagę mieszkańców Jerozolimy, że coś takiego dokonało się w ich bezpośrednim sąsiedztwie. Ten paradoks polega na tym, że oto ci, którzy mieszkają daleko i są daleko od Boga który objawiał się Izraelowi i który ukazywał się i zapowiadał swojego Mesjasza, oto przybywają do Izraelitów i uświadamiają im prawdę o czymś, o czym oni do tej pory nie mieli pojęcia.

Więc czy nie jest to już tak, że od swojego początku, od samego przyjścia na świat Jezus niesie ze sobą pewien paradoks. To, co jest jasne dla pogan, nie jest jasne dla tych, którzy wyznają Boga Jedyne. Ten paradoks, jeżeli mu się blisko przyjrzymy, powtarza się wiele razy także w dziejach religii chrześcijańskiej. Zdarza się, że ci, którzy są na zewnątrz, mają jaśniejsze widzenie spraw Bożych niż ci, którzy są wewnątrz. Otóż okazuje się, że religia i religijność to nie jest tylko przynależność wyznaniowa, ale jest to światło, które człowiek nosi w sobie. I że tego światła Pan Bóg nie ogranicza do tych, którzy do Niego wyznaniowo przynależą, ale to światło jest dostępne także innym ludziom. Zadają więc pytanie: „Gdzie jest nowo narodzony król żydowski?” Bo „przybyliśmy oddać mu pokłon”. Po grecku mamy: „Bo przybyliśmy *proskine zanauton*”. Czyli nie tylko „oddać mu pokłon”, ale *upaść przed nim, pokłonić mu się do ziemi, oddać mu hołd*. Przybyliśmy oddać mu hołd — czyli uznać Go, wyznać to, kim On jest.

Skoro to usłyszał król Herod, przeraził się, a z nim cała Jerozolima.

To, że Herod się przeraził, jest zrozumiałe. Cała Jerozolima — to pewnie przesada, bo chodziło o jego dwór. Jerozolima nie była w czasach starożytnych jakimś bardzo dużym miastem, liczyła pewnie kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców. Trudno powiedzieć, czy cała Jerozolima wiedziała czy przeżywała ten pobyt czy przybycie owych gości ze Wschodu. Ewangelista być może podkreśla, czy chce dać poznać, że wieść o ich przybyciu zainteresowała mieszkańców Jerozolimy. Więc „Herod przeraził się” i:

Zebrał więc wszystkich arcykapłanów i uczonych ludu i wypytywał ich, gdzie ma się narodzić Mesjasz.

Ważne jest, kogo zebrał. Zebrał najpierw kapłanów. Po hebrajsku było tutaj *kohanija*, po grecku mamy *archerejs*. Jedno i drugie jest ważne, bo o ile prorocy obwieszczają ludziom wolę Boga, o tyle kapłan reprezentuje ludzi przed Bogiem. Herod wzywa do siebie kapłanów związanych ze świątynią jerozolimską i chce od nich się dowiedzieć, co oni myślą na temat narodzin Mesjasza. Wzywa też do siebie „uczonych ludu”. Tych, którzy byli pisarzami, skrybami, którzy wyjaśniali tradycję i święte prawa. Jednym słowem wzywa te autorytety religijne i chce od nich dowiedzieć się prawdy. Czyżby wcześniej nie wiedział? Czyżby wcześniej go nie uczono? Otóż istnieje duże prawdopodobieństwo, że w tym narodzie bożego wybrania byli tacy, którzy żyli bożymi sprawami, i byli tacy, dla których te rzeczy i te sprawy były dużo bardziej obojętne. Najprawdopodobniej Herod należał do tych drugich. Ta wieść go poruszyła więc wzywa specjalistów, żeby mu wytłumaczyli.

Ci mu odpowiedzieli: «W Betlejem judzkim, bo tak napisał Prorok:
A ty, Betlejem, ziemio Judy,
nie jesteś zgoła najlichsze spośród głównych miast Judy,
albowiem z ciebie wyjdzie władca,
który będzie pasterzem ludu mego, Izraela».

Kapłani i uczeni w piśmie odwołują się do proroctwa Micheasza. Proroctwo to pochodziło z VI w. przed Chrystusem, zatem w czasach Heroda miało ponad 700 lat. Zauważmy — już wtedy było powtarzane od 700 lat! Z naszej perspektywy zatem jest to ponad 2700 lat temu. Prorok Micheasz na 700 lat przed Chrystusem zapowiedział o Betlejem jako o miejscu narodzin Mesjasza. Ta pamięć o Betlejem jako miejscu narodzin była bardzo żywa w tradycji biblijnej, potem w tradycji żydowskiej. Właściwie aż można się dziwić, że Jerozolima nie zwróciła uwagi na to, co w Betlejem się działo. To, co dokonało się z Jezusem, to przeżyli pasterze, to przeżyła Święta Rodzina, natomiast dla innych Żydów pozostał to fakt mało znaczący. Ot po prostu przyszło na świat dziecko. Nam dzisiaj wydaje się to bardzo dziwne, nawet obce, nawet nie do wiary. Ale podobne mechanizmy rządzą także dzisiejszym światem. Jeżeli usłyszymy o czymś, co wydaje się bardzo ważne — jedni się tym interesują i to zgłębiają, inni przyjmują to z niedowierzaniem, jeszcze inni kontestują. A niemało jest takich, których to w ogóle nie obchodzi. I tak było również wtedy. Kiedy nie obchodziło Żydów okazuje się, że obchodzi jakichś pogan którzy przybywają, aby oddać pokłon. I ci poganie stają się katechetami Izraelitów. Mamy tutaj sytuację, która troszeczkę przypomina sytuację w Księdze Jonasza. Mianowicie kiedy Jonasz próbuje uciec przed powołaniem ze strony Boga i chroni się na statek, i chce uciec tym statkiem na zachód aby nie udać się do Niniwy, wtedy wybucha burza. I marynarze pogańscy stają się jego katechetami. I zaczynają mu tłumaczyć o Bogu, uczyć o Bogu. I on dopiero wtedy sobie uświadamia, że role się odwróciły. I tutaj też role się odwróciły. Bo oto poganie przybywają, by rozpytywać o to, co wydarzyło się w Betlejem. A dzięki temu Żydzi, którzy byli w szczególnie sposób dysponowani, żeby to znać i to uznać, zastanawiają się nad tym, do czego skłonili ich poganie.

Wtedy Herod przywołał potajemnie Mędrców i wypytał ich dokładnie o czas ukazania się gwiazdy.

Herod postępuje z mędrkami, z tymi magami tak, jak postępował z innymi swoimi poddanymi. Jeżeli się kogoś bardzo bał, to po prostu go likwidował. Tutaj ma do czynienia z ludźmi, którzy przybyli z zewnątrz. Postanowił zatem użyć pewnego fortelu. A:

kierując ich do Betlejem, rzekł: «Udajcie się tam i wypytajcie starannie o Dziecię, a gdy Je znajdziecie, donieście mi, abym i ja mógł pójść i oddać Mu pokłon».

Otóż Herod tutaj przedstawia się tak jak lis który deklaruje, że będzie pilnował kurnika. I też przeczuwając, że wydarzyło się coś niezwykłego, i przeczuwając, że ta niezwykłość może mu grozić, postanawia użyć wybiegu. Wybieg polega na tym, że gdy już owi przybysze zobaczą gdzie jest miejsce narodzin owego Mesjasza, owego króla żydowskiego, przyjdą i mu powiedzą a on wtedy postąpi według swojego zwyczaju.

Oni zaś wysłuchawszy króla, ruszyli w drogę. A oto gwiazda, którą widzieli na Wschodzie, szła przed nimi, aż przysła i zatrzymała się nad miejscem, gdzie było Dziecię.

Teraz podróż już nie była długa. Dlatego, że z Jerozolimy do Betlejem jest ok. 10 km. Miejsce narodzenia to miejsce, które czczone jest do dzisiaj jako Bazylika Narodzenia. Znow nie potrafimy powiedzieć, jak owa gwiazda kierowała naszymi podróżnymi. Jest faktem jednak, że doszli tam dzięki specjalnemu światłu bożemu. Otóż i ta gwiazda jest niejako symbolem samego Chrystusa. Znak tego – jak tłumaczono od bardzo dawna – że jeżeli człowiek jest ukierunkowany na Boga, jeżeli człowiek bardzo Boga pragnie, to Bóg mu się objawia, objawia mu swoje światło i go prowadzi. Wtedy dzieje się tak już niezależnie od jego religii, od jego przynależności, a przede wszystkim w zależności od tego kim jest, i jak chce i jak potrafi otworzyć się na boże działanie.

Gdy ujrzeli gwiazdę, bardzo się uradowali. Weszli do domu ...

Tu jest po grecku *ojkija*, więc już nie *grota*, nie *stajenka*, tylko *dom*. Przecież od urodzenia Jezusa upłynął już jakiś czas, tygodnie, może nawet miesiące. Maryja, Józef i Jezus mieszkają już w jakimś domu, w jakimś domostwie. Więc:

Weszli do domu i zobaczyli Dziecię z Matką Jego, Maryją; upadli na twarz i oddali Mu pokłon.

Te słowa są bardzo ważne, bo to jest pierwsza biblijna aluzja do oddania pokłonu Jezusowi i do oddania pokłonu Najświętszej Maryi Pannie. To jest pierwsze uzasadnienie kultu Jezusa i pierwsze uzasadnienie kultu maryjnego — uwielbili Jezusa i oddali cześć Maryi. To jest ważne, bo kiedy w XVI wieku wybuchły spory o zasadność kultu Najświętszej Maryi Panny, a wybuchły one z protestantami, to przytaczano że już w Nowym Testamencie, już od początku życia Jezusa byli tacy, którzy uwielbiali Jezusa, i którzy oddawali pokłon również Maryi. Nie ma zatem nic dziwnego w tym, żeby oddając chwałę Bogu, wielbiąc Jezusa jednocześnie czcić Maryję, bo tak było od początku. Ten drobiazg, ta drobna aluzja, to fundament kultu maryjnego.

I otworzywszy swe skarby, ofiarowali Mu dary: złoto, kadzidło i mirrę.

Ponieważ mamy trzy dary, to w tradycji pojawiła się wieść, że chodziło o trzech mędrców albo o trzech królów. Bardzo rzadko mówiono: „trzech magów”. Jeden przyniósł złoto, drugi przyniósł kadzidło, trzeci przyniósł mirrę. Ewangelia nie mówi nic na ten temat, że było ich trzech. Może szli parami — wtedy było ich sześciu. W ewangeliach apokryficznych mamy taki bardzo ciekawy motyw — że nie było ich trzech tylko było ich czterech. Ale czwarty do Betlejem nie doszedł. A nie doszedł dlatego że to, co wziął ze sobą z domu, rozdał ubogim. I w związku z tym do Betlejem nie dotarł, bo nie miał Jezusowi co dać. Ale Jezus też uszanował tę jego dobroczynność i on jest opiekunem dzieł miłosierdzia, dzieł charytatywnych. W naszej tradycji został wyparty przez Mikołaja, biskupa. I u nas w zachodniej tradycji, czyli w Europie, w tradycji polskiej, mówi się o Mikołaju. Natomiast chrześcijanie w Syrii, w Iraku, w Armenii, w Gruzji cały czas za patrona dzieł charytatywnych uznają tego czwartego maga, którego imienia nie znamy. Nie znamy zresztą imion pozostałych trzech. Wiemy dobrze że w tradycji, która jest bardzo żywa u nas, nadano im imiona Kacper, Melchior i Baltazar. Mało tego, że nadano im imiona — kiedy zaczęto ich przedstawiać w ikonografii, np. na obrazach, to Kacpra przedstawiano jako Murzyna, jest czarny. Melchior przedstawiany jest jako Europejczyk, jako Grek. Natomiast Baltazara przedstawiano jako

Azjatę, czasami ma nawet skośne oczy, albo przedstawiany jest tak jak Hindus. Murzyn, biały, i – powiedzmy sobie – rasa mieszana. Wszystkie trzy rasy — w ten sposób mówili malarze — oddały chwałę małemu Jezusowi. Kacper, Melchior i Baltazar, a imienia czwartego nie znamy i nie poznamy bo — dodawano w księgach apokryficznych, które nie weszły do kanonu Pisma Świętego — dzieła dobroczynne tylko wtedy dają wartość, kiedy są anonimowe. Zatem kiedy wyruszyli razem ale on rozdał wszystko, to on też Jezusa uczcił, ale imienia jego nie poznamy.

Jak państwo wiedzą te motywy tak bardzo weszły do tradycji, do religijności, do pobożności, do zwyczajów, że one żyją na bardzo wiele sposobów. Choćby kiedy właśnie szóstego stycznia w Uroczystość Trzech Króli, jak mówimy po polsku, czy Trzech Mędrców, piszemy na drzwiach naszych domów KMB, to nawiązujemy do tych ich odwiedzin i pragniemy, aby nasze domy, nasze mieszkania stały się takim mieszkaniem w którym mieszka Chrystus i do którego każdy człowiek, choćby z najdalej, mógł przybyć, i w którym mógłby czuć się dobrze, i Chrystusa uwielbić.

I otworzywszy swe skarby, ofiarowali Mu dary: złoto, kadzidło i mirrę.

Złoto to symbol królewskości. Kadzidło to symbol kapłaństwa. Mirra to jest taki dodatek zapachowy albo smakowy. Jest to symbol czystości słowa, a więc nauczania. Czyli godność królewska, godność kapłańska, godność prorocka Jezusa. To symboliczne wyjaśnienie, które przez 2000 lat bez przerwy się pojawia. To, do czego Żydzi byli przygotowywani przez Boga na kartach Starego Testamentu, do tego poganie doszli własną uważną obserwacją i nauczaniem. Bóg dwoma drogami prowadzi ludzi do siebie — droga objawienia w księgach świętych, i droga objawienia kosmicznego, w świecie, w kosmosie. Można uwielbić Boga modląc się Pismem Świętym. Można też uwielbić Pana Boga i dojść do Niego patrząc na świat, podziwiając przyrodę, bogactwo tego świata, można dojść do Jego poznania i do Jego uznania.

A otrzymawszy we śnie nakaz, żeby nie wracali do Heroda, inną drogą udali się do swojej ojczyzny.

Nie dali się zatem zwieść podstępnemu Herodowi. Wypełnili zadanie, które Pan Bóg dla nich przewidział, i wrócili do siebie, ale inną drogą. Próbowano tę drogę wytyczyć. Ponieważ z Betlejem każdy, kto wraca na Wschód, musi iść przez Jerozolimę, to tłumaczono że z Betlejem poszli na południe, do Hebronu, potem do Gazy, potem wzdłuż Morza Śródziemnego, a później zatrzymali się w Nazarecie, a potem byli w Kafarnaum — czyli wszędzie tam, gdzie Jezus później działał. Zatem chociaż jeszcze Jezusa nie poznali, chociaż jeszcze Jezus nie rozpoczął publicznej działalności, to ci trzej mędrcy, trzej magowie już przeszli Ziemię Świętą niejako zwiastując to, co miało się z Jezusem później dokonać. Tak więc do ewangelicznego tekstu dochodzi jeszcze i fantazja, i wyobraźnia, miłość do Jezusa, i uznanie dla tych magów. Uznanie to poszło tak daleko, że kiedy podjęto wyprawy krzyżowe niecałe 1000 lat temu, i kiedy rycerze chrześcijańscy doszli do Ziemi Świętej, to Arabowie postarali się o relikwie Trzech Królów. Skąd te relikwie mieli — pozostaje ich słodką tajemnicą. Faktem jest, że relikwie przybyły do Europy. I że w Europie wybudowano jedną z najpiękniejszych katedr, która jest poświęcona Trzem Królom i w której te relikwie średniowieczne są przechowywane. Ta katedra to oczywiście Katedra Trzech Króli w Kolonii, w Niemczech. Jest to miasto Trzech Króli, tam pamięć o nich jest szczególnie żywa. Nawet jeżeli relikwie byłyby niezbyt autentyczne, to katedra jest na pewno autentyczna. I na pewno cud, że w tym mieście, nad tą piękną rzeką taka wspaniała katedra powstała. Do tej katedry nawiązał również papież Benedykt XVI podczas Światowych Dni Młodzieży. Nie akcentował prawdziwości relikwii tylko akcentował wiarę owych mędrców. Czy było ich trzech, czterech, czy więcej — też nigdy nie będziemy wiedzieli. Ale stali się symbolem tych, którzy szukają Pana Boga, przychodzą do Niego z daleka podczas gdy ci, którzy są blisko, nie zawsze potrafią Go rozpoznać. Tak więc Trzej Mędrcy stali się nauczycielami tych, którzy powinni wiedzieć o Jezusie znacznie więcej.

I tyle byłoby na temat tego epizodu, bardzo barwnego. Myślę, że jeżeli państwo zobaczą raz jeszcze gdzieś wyobrażenie Trzech Króli, owego Murzyna, Azjaty i Europejczyka, to będą nam się te obrazy już żywiej kojarzyć.

Dziękuję bardzo serdecznie, a na następne spotkanie zapraszam w trzeci poniedziałek tj. 20 lutego. Chwała Ojcu ...

4 Nikodem (20 lutego 2006)

Pochwalony Jezus Chrystus! Dobry wieczór państwu i zaczynamy. W Imię Ojca ... Ojcie Nasz ... Stolica Mądrości, módl się za nami.

Zatem jeszcze jedna sposobność do tego, żeby się z państwem spotkać. Jeszcze jedna sposobność do wspólnej refleksji nad Słowem Bożym, nad słowem Pisma Świętego. Tym razem po dość długiej przerwie, bo mamy za sobą pięć tygodni od ostatniej konferencji biblijnej, więc dość długi czas. I kolejna postać, która będzie przedmiotem naszej dzisiejszej refleksji. Kolejna osoba a wraz a nią także sposobność do tego, aby zastanowić się nad własnym życiem i odnieść je do tych prawd, które znajdujemy na kartach Ewangelii. Kiedy myślałem czas jakiś o dzisiejszej postaci, o osobie która przewidziana jest jako przedmiot naszego spotkania, a także spotkania z Jezusem, to aż sam się zdziwiłem że podczas wielu lat naszych konferencji nigdy nie przyszło nam do głowy żeby zatrzymać się nad postacią Nikodema. Otóż mamy na kartach Ewangelii św. Jana spotkanie Jezusa z Nikodemem. Mamy tę piękną rozmowę, która zachowała się w czwartej Ewangelii kanonicznej. Znamy Nikodema, tego ewangelicznego, czytamy Ewangelię przynajmniej dwa razy w roku ale nie przyszło nam do głowy dotąd, byśmy przeczytali ten tekst z Ewangelii i żebyśmy w Nikodemie starali się rozpoznać także te rozterki, te wątpliwości, te nadzieje, te potrzeby duchowe, te duchowe życzenia, które nosimy także i w sobie. Bo ten Nikodem sprzed 2000 lat okazuje się nam zdumiewająco bliski. Zatem dzisiejsza refleksja poświęcona jest jemu, jego nocnej rozmowie z Jezusem.

Zacznijmy najpierw od przypomnienia tego, co państwo dobrze wiedzą — że rozmowa z Nikodemem jest zapisana na kartach czwartej Ewangelii kanonicznej czyli Ewangelii wg. św. Jana. Jest to Ewangelia, która powstała najpóźniej, gdzieś ok 90 r, zatem od męki, śmierci i zmartwychwstania Jezusa upłynęło ok 60 lat. Jan zapewne dyktował ją albo opowiadał o swoich przeżyciach z Jezusem wtedy, kiedy był już człowiekiem posuniętym mocno w latach, zapewne starcem. Gdzieś powyżej 70-ciu lat życia, na pewno około osiemdziesiątki. Na pewno opowiadał o tym, co przeżył jako młody chłopiec wiele razy. Natomiast pod koniec I wieku, kiedy już istniały trzy pierwsze Ewangelie tzn. Ewangelia Mateusza, Marka i Łukasza, do tych Ewangelii dochodzi jeszcze jedna Ewangelia, o której tyle razy powiedzieliśmy, że różni się od tamtych dlatego, że ma zupełnie inny charakter. Mianowicie ona nie przedstawia po kolei szczegółowo życia Jezusa tak, jak znane jest z trzech pierwszych Ewangelii, które czasami obejmowane są nazwą Ewangelii synoptycznych — a więc takich, które można oglądać razem, porównywać ze sobą. Ewangelia Jana natomiast ma inną strukturę, inne przeznaczenie. Ona ukazuje tak jak gdyby reflektorem kilkanaście najważniejszych epizodów z życia Jezusa. Tymi epizodami się zajmuje, ale zajmuje się tymi wydarzeniami wspominając je już z perspektywy kolejnego pokolenia. Jan był jednym z ostatnich, którzy Jezusa pamiętali. W tym czasie chrześcijanami stawali się ci, którzy urodzili się w czasach po Jezusie, którzy nawet jeżeli urodzili się 20 lat po śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa, to w czasie pisania Ewangelii mieli już 30, może nawet ok. czterdziestu lat. Zatem byli to już ludzie dorośli, dorośli chrześcijanie. I wspominałem państwu, że ta Ewangelia ma charakter sakramentalny, czyli patrzy na Jezusa przez pryzmat życia Kościoła. Przez pryzmat liturgii Kościoła, przez pryzmat sakramentów. A wśród tych sakramentów dwa wybijają się na plan pierwszy, które od samego początku istnienia Kościoła stały się dla Kościoła i dla wiary chrześcijańskiej fundamentem. Mianowicie sakrament chrztu i Eucharystia. Te dwa sakramenty — sakrament chrztu i Eucharystia — stanowią zworniki Ewangelii św. Jana. I autor tej ewangelii, św. Jan, zastanawia się bardzo często co to znaczy chrzest, co to znaczy odnowa życia, którą chrzest zapewnia i czym jest Eucharystia, którą karmią się wierzący w Jezusa Chrystusa. I zastanawiając się nad tą zbawczą rolą chrztu i Eucharystii Jan przypomina to z życia Jezusa, z nauczania Jezusa, z działalności Jezusa, co w jakikolwiek sposób wiązało się z chrztem i z Eucharystią. Ten dzisiejszy epizod, który mamy rozważyć, ta nocna rozmowa Nikodema i Jezusa, nocne spotkanie Nikodema z Jezusem, ogniskuje się na chrzcie, na sakramencie chrztu. Cały ten epizod jest bardzo mocno nasiąknięty taką refleksją, tłumaczeniem przez Jezusa czym jest chrzest, czym jest odrodzenie, które chrzest zapewnia. Ale popatrzmy, przyjrzyjmy się temu tekstowi od początku bo on od samego początku daje nam bardzo wiele do myślenia. Chodzi o dłuższy fragment 3 rozdziału Ewangelii św. Jana. Czytamy tak:

Był wśród faryzeuszów pewien człowiek, imieniem Nikodem, dostojnik żydowski.

Na razie o tym Nikodemie do tej pory nie było mowy. Ale trzeba zwrócić uwagę w jakim momencie Ewangelii i przy jakiej okazji wspomniany został Nikodem. Otóż mówi ewangelista, opowiada ewangelista o tym, że Jezus po raz pierwszy przybył do Jerozolimy — jako dorosły człowiek, bo przedtem przybywał ze swoimi rodzicami, pamiętamy epizod dwunastoletniego Jezusa w świątyni. A teraz rozpoczynając swoją działalność publiczną przybywa do Jerozolimy. Przybywa do Jerozolimy na święto Paschy, aby obejść święto Paschy. Ten kontekst jest niezwykle ważny. Święto Paschy jest obchodzone w pierwszym miesiącu wiosny. Ponieważ jest to kalendarz ruchomy, bo księżycowy, to podobnie jak nasza Wielkanoc święto Paschy może przypadać w marcu, może przypadać gdzieś do połowy kwietnia. A więc ten epizod, o którym będziemy czytali, ma miejsce wiosną. Święto Paschy to najważniejsze święto biblijnego Izraela i po dzień dzisiejszy najważniejsze święto żydowskie. *Pesah* znaczy po polsku *przejście*. Święto Paschy upamiętnia przejście Anioła Pańskiego w Egipcie, którego moc sprawiła że to, co pierwotne wśród Egipcjan, przepadło, zginęło. Natomiast Izraelici z podniesionymi głowami zostali wybawieni z ucisku, z opresji, zostali wyzwoleni do nowego życia, wezwani z domu niewoli na Synaj, gdzie otrzymali Dziesięć Bożych Przykazań, a stamtąd do Ziemi Obiecanej. Jest to wydarzenie, które zrodziło lud czy naród bożego wybrania. Najważniejsze święto w roku. A istotą tego święta są obchody rodzinne. Zabijanie baranka — tak było kiedyś, tak było w czasach Jezusa. Uczta paschalna, ubieranie się na wzór tych, którzy mają rozpoczynać podróż. Gorzkie zioła, które mają symbolizować smak niewoli. A w odpowiednim momencie jeden z chłopców, najmłodszy chłopiec który osiągnął jakieś używanie rozumu, co dokonywało się w wieku 4 - 5 lat, zwraca się do ojca i mówi: „Tato, dlaczego my to wszystko robimy?” I wtedy ojciec odpowiadając na to snuje opowiadanie, które nosi nazwę *haggada paschalna*. Rozpoczyna się ono od słów: „Ojcowie nasi byli niewolnikami w Egipcie, ale wyzwolił nas stamtąd Pan Bóg nasz”. Kto z państwa ma dobrą i bardzo uważną pamięć to przypomina sobie, że ten motyw pojawił się na początku filmu „Pasja”, który był pokazywany dwa lata temu. I tam służył jako wprowadzenie, jako motto, jako klucz do zrozumienia męki Jezusa Chrystusa i do jej przedstawienia. Że męka Jezusa Chrystusa ma charakter paschalny. Tu jesteśmy na początku działalności Jezusa. Jezus obchodzi święto Paschy w Jerozolimie, w pobliżu świątyni jerozolimskiej. Na pewno spotyka się z ludźmi, na pewno przeżywa to także w swojej bliższej i dalszej rodzinie. Na pewno jest podniosły charakter, podniosły nastrój. I właśnie kiedy święto Paschy, kiedy uroczyste obchody dobiegły kresu, to wtedy czytamy że:

Był wśród faryzeuszów pewien człowiek, imieniem Nikodem, dostojnik żydowski. Ten przyszedł do Niego nocą . . .

Otóż to święto Paschy, podczas którego obchodzi się najważniejsze wydarzenie zbawcze Starego testamentu, wyzwala co roku duchową energię. Tak jak nasze święta Bożego Narodzenia, jak święta Wielkanocy, jak Wielki Post, jak Wszystkich Świętych. Zmusza to człowieka do refleksji. I na pewno pytanie, z którym przychodzi Nikodem do Jezusa — zanim jeszcze cokolwiek usłyszymy — można by sformułować tak: „Nasza wiara, nasza religia, wiara biblijnego Izraela polega na rozpamiętywaniu tego najważniejszego wyzwolenia, którego dokonał Bóg w dziejach żydowskich. Czym różni się to, z czym Ty przyszedłeś, od tego, czym żyjemy do tej pory? Na czym polega nowość Twojej nauki i na czym polega nowość Twojej osoby skoro do ludu, który od ponad tysiąca lat zaprawiony jest do obchodzenia święta Paschy przychodzisz z czymś tak nowym?”

I teraz ta ciekawość Nikodema jest o tyle interesująca, że po pierwsze dowiadujemy się, że był on faryzeuszem. Słowo *faryzeusz* nam źle się kojarzy dlatego, że patrzymy na nie przez pryzmat skojarzeń, które zostały urobione na podstawie tych ewangelicznych tekstów i tekstów w Dziejach Apostolskich, które mówią nam o sprzeciwie i wrogości wielu faryzeuszy wobec Jezusa. Ale państwo zwróć uwagę, ja powiedziałem: „wielu faryzeuszy” a nie „wszystkich faryzeuszy”. Dlatego, że faryzeusze też jako ugrupowanie, jako stronnictwo, jako wspólnota byli między sobą podzieleni. Byli tam tacy, którzy sprzeciwiali się Jezusowi, ale byli tacy, którzy byli otwarci na Jego naukę. Początki faryzeuszy sięgają połowy II w. przed Chrystusem. Otóż około roku 150 przed Chr. wśród Żydów, którzy wtedy troszczyli się o utrzymanie tożsamości narodowej w warunkach zagrożenia syryjskiego, hellenistycznego, pojawiło się ugrupowanie, które nazywa siebie *telszin*. *Telszin* znaczy *oddzieleni, odłączeni, odseparowani, inni*. Otóż oni nie chcieli ulegać obcej kulturze, obcym wpływom, obcej religii. Chcieli pozostać wierni Panu Bogu w każdych warunkach i wiedzieli, że aby taką

wierność zachować to trzeba trzymać się razem, trzeba trzymać się we wspólnocie, gdzie jedni dla drugich byłiby wsparciem. Na drugim biegunie ówczesnego życia żydowskiego byli sadyceusze. Otóż sadyceusze to byli ludzie związani ze sferami zamożnymi, bogatymi, także ze sferami kapłańskimi Starego Testamentu, którym nie w głowie była separacja i którzy dość chętnie podlegali rozmaitym obcym wpływom, aby tylko pozostać przy władzy i utrzymać swoje wpływy. Dlatego między faryzeuszami i sadyceuszami stałe były rozmaite napięcia, były konflikty. Jedni nie lubili drugich i ten stan rzeczy trwał do 70 r. po Chr. czyli do czasu, kiedy Rzymianie oblegli Jerozolimę i kiedy po długim oblężeniu zburzyli święte miasto, i zniszczyli świątynię jerozolimską, wymordowali niemal wszystkich sadyceuszy i ogromną większość faryzeuszy. I w ten sposób pogodzili jednych z drugimi. Po faryzeuszach pozostały jednak ślady, bo nieco ich ocalało i to oni dokonali później przebudowy życia żydowskiego. Ale my jesteśmy w czasach Jezusa.

Przybywa do Jezusa taki właśnie faryzeusz — człowiek, który dba o czystość wiary, który troszczy się o przestrzeganie przykazań, który jest człowiekiem religijnym, pobożnym, który separuje się od tych, którzy ulegają obcym wpływom. I ten właśnie człowiek ma na imię Nikodem. Po grecku — bo Ewangelia św. Jana jest napisana po grecku — to imię brzmi *Nikdamon*. I jest to imię greckiego pochodzenia. Ale w inskrypcjach grobowych z Jerozolimy i z Judy, które zachowały się z I, II i III wieku naszej ery, spotyka się napisane po hebrajsku, czy po aramejsku, imię Nikdamon. Zatem znak, że nawet w tych rodzinach, które troszczyły się o wierność prawu możeszowemu i o wierność religii, nawet w tych rodzinach były pewne oddziaływania kultury greckiej. A można założyć, że jego greckie imię to być może dowód wpływów biblii greckiej czyli tzw. Septuaginty. Dowód jej znajomości. Dowód tego, że już Objawienie Boże było nie tylko po hebrajsku i po aramejsku, czyli w językach semickich, ale także w języku greckim w którym zresztą przetrwało do dzisiaj. Dobrze wiemy, że biblia grecka, Septuaginta, to biblia Kościoła Prawosławnego w Grecji.

Otóż Nikodem był zatem z jednej strony daleki od tych obcych wpływów, z drugiej strony jednak musiał kulturę grecką znać. I rozmowa, którą podjął z Jezusem, dowodzi, że jego znajomość kultury greckiej była posunięta bardzo daleko.

... pewien człowiek, imieniem Nikodem, dostojnik żydowski.

Tutaj w tekście greckim to słowo *dostojnik* brzmi *arhon*. *Arhon* to znaczy *ktoś, kto rządzi*, ktoś, kto ma władzę. Ktoś, kto sprawuje władzę nad innymi. Trudno powiedzieć, jaka była ta władza, którą sprawował Nikodem, ale z pewnością nie była to władza świecka. Była to zapewne władza religijna. Tradycja wczesnochrześcijańska mówi, że Nikodem był członkiem Sanhedrynu, a więc najwyższej rady żydowskiej. W związku z tym jego władza miała charakter duchowy, był takim autorytetem dla swoich rodaków. I oto ów *arhon*, ów dostojnik żydowski przyszedł do Jezusa nocą.

Powiedzieliśmy, że to wydarzenie ma miejsce wiosną w kontekście święta Paschy, tuż po święcie Paschy, zatem w marcu albo na początku kwietnia. Noc — to niekoniecznie musiało być około północy. O tej porze roku ciemno w Ziemi Świętej robi się ok. godziny piątej – wpół do szóstej, czyli tak jak u nas — chociaż czas jest przesunięty, ale Ziemia Święta jest bardziej na wschód od nas. Więc piąta – szósta to już jest zupełnie ciemno. Trzeba się domyślać, że Nikodem przychodzi wieczorem, późnym wieczorem może. Zawsze zadawano sobie pytanie: jakie znaczenie ma ta wieczorna rozmowa Nikodema z Jezusem? Dlaczego wieczorem? O tym, jak różne były odpowiedzi, mogą się państwo przekonać kiedy zacytuję dwie albo trzy z nich. Jedni komentatorzy mówili tak. Najwyraźniej już od samego początku nauczania Jezusa to nauczanie natrafiało na sprzeciwy i na opory. I Jezus znajdował się w niebezpieczeństwie. A ci, którzy utrzymywali z Nim kontakty, byli narażeni na rozmaite trudności i komplikacje — skoro Nikodem przychodzi w nocy. Przecież gdyby było inaczej, przyszedłby za dnia. Zatem mamy do czynienia już z coraz cięższą atmosferą wokół Jezusa. Inni komentatorzy mówili: Nie, to nie musi być tak, że Jezus był już wtedy mocno zagrożony a Nikodem obawiał się Jezusa i obawiał się z Nim spotykać. Otóż jedno i drugie pokazuje — tłumaczyli ci komentatorzy — że i jeden i drugi, i Jezus i Nikodem, zajmowali się zgłębianiem Prawa Bożego tak w dzień jak i w nocy. Jak psalmista mówił: „O Prawie Twoim rozmyślałem w dzień i w nocy”. Ponieważ dzień był czasem do pracy, zatem późny wieczór i noc była czasem na refleksję. Inni jeszcze komentatorzy powiadają, że o sprawach poważnych trzeba i można rozmawiać przede wszystkim wieczorem i nocą. Że noc to jest dobry czas, aby zastanowić się nad tym, co najważniejsze. Ponieważ

ci dwaj, Jezus i Nikodem, rozmawiają o sprawach najważniejszych, w związku z tym ta nocna atmosfera to atmosfera zadumy, powagi, skupienia — bo wieczór i noc temu właśnie służą.

Państwo przy sposobności zobacz w jak różnych kierunkach idzie interpretacja, objaśnienie jednego właśnie epizodu, a zwłaszcza objaśnianie tego właśnie szczegółu, jakim jest pora rozmowy. Można ją pojmować tak, można ją pojmować inaczej. A może było i tak, że wszystkie te okoliczności jakoś wchodzą w rachubę? Że trzeba było liczyć się zarówno z wrogością wobec Jezusa, jak i związaną z nią dyskrecją, jak i z tą atmosferą wieczornej samotnej rozmowy dwóch ludzi, z których jeden i drugi zajęty był zgłębianiem Prawa. Nikodem więc:

... przyszedł do Niego nocą i powiedział Mu: «Rabbi, wiemy, że od Boga przyszedłeś jako nauczyciel. Nikt bowiem nie mógłby czynić takich znaków, jakie Ty czynisz, gdyby Bóg nie był z Nim».

Zwróćmy uwagę na sposób, w jaki zwraca się Nikodem do Jezusa: nazywa Jezusa *Rabbi*. Otóż to słowo jest z całą pewnością słowem hebrajskim używanym po dzień dzisiejszy. *Raab* znaczy po polsku *mistrz, nauczyciel*. *Rabbi* znaczy po polsku *Mój Mistrzu, Mój Nauczycielu*. Jest to sposób zwracania się. Czasami tłumaczony niesłusznie jako *Mój Panie*. To nie chodzi o hebrajski odpowiednik słowa *pan* tylko *nauczyciel*. Ponieważ tak zwracano się do najwybitniejszych nauczycieli, to z czasem ten sposób zwracania się: *Rabbi* stał się tytułem. Zwrotem, który takiego człowieka opisywał, który takiego człowieka określał, spolszczony znacznie później jako *rabin*. „Rabbi” zatem etymologicznie to „Mój Nauczyciel”, „Mój Pan”, „Mój Mistrz”. Dobrze widzimy, że Nikodem, kiedy tak zwraca się do Jezusa, to uznaje Jego autorytet, uznaje autorytet nauczyciela. Ale mamy tutaj do czynienia, jeżeli uważnie słuchamy, mamy tutaj do czynienia ze swoistym napięciem. Bo Nikodem powiada: „«Rabbi»” czyli „Mój Mistrzu,” „«wiemy, że od Boga przyszedłeś jako nauczyciel.» Ale dodaje: „ Nikt bowiem nie mógłby czynić takich znaków, jakie Ty czynisz, gdyby Bóg nie był z Nim.»” Co podziwia Nikodem? Nauczanie Jezusa? Nie! A co zwróciło jego uwagę? Znaki, cuda, działalność Jezusa! Niech państwo popatrzą, bo w komentowaniu tekstu biblijnego każdy szczegół jest ważny, że Nikodem przyszedł sam ale powiada:

Rabbi, wiemy, że od Boga przyszedłeś ...

Otóż mówi w liczbie mnogiej! Najwyraźniej były przedtem debaty o Jezusie, rozmowy o Jezusie, dyskusje o Jezusie wśród faryzeuszów. Najwyraźniej wśród faryzeuszów, którzy mieszkali w Jerozolimie, więcej było takich, którzy byli zainteresowani Jezusem. I to w ich imieniu przychodzi Nikodem, może nawet przez jakąś grupkę wysłany: „Idź i porozmawiaj z Nim. Wszyscy razem nie pójdziemy” — nie wiadomo dlaczego. Czy dlatego, że nam nie wypada? Czy dlatego, że to jest niebezpieczne? Czy dlatego, że nie chcemy po sobie dać poznać tego podziwu? „Idź ty!” Nikodem idzie w imieniu innych i powiada: „Wiemy, że od Boga przyszedłeś jako nauczyciel. Nikt bowiem nie mógłby czynić takich znaków, jakie Ty czynisz, gdyby Bóg nie był z Nim”. Ktoś, kto dobrze zna Ewangelię, wie, że jest to swoiste wyznanie wiary. I wie również i pamięta, że nie wszyscy Żydzi i nie wszyscy faryzeusze, i nie wszyscy sadyceusze, i nie wszyscy świadkowie cudów Jezusa reagowali tak samo. Przypomnijmy sobie, że na kartach Ewangelii, Ewangelii św. Marka, św. Mateusza zwłaszcza, cuda Jezusa, te znaki Jezusa zostały także obrócone przeciwko Niemu! Państwo pamiętają, że na kartach Ewangelii jest taki szokujący epizod kiedy to przybywają do Jezusa inni faryzeusze i powiadają mu: „Te cuda, których Ty dokonujesz, te znaki, które czynisz, to dokonujesz ich mocą diabła! Dokonujesz tego mocą czarną jakąś.” Otóż odwracają to, czego Jezus dokonuje, co Jezus działa, odwracają przeciwko Jezusowi! To było największe oskarżenie, jakie mogło się pojawić. Jezus nazwał je „błuznierstwo przeciwko Duchowi Świętemu” kiedy to owoce dzieł, przynoszących dobre i błogosławione skutki, są obracane przeciwko Bogu i przeciwko Temu, kogo Pan Bóg posłał. Zatem życie Jezusa wywoływało nie tylko podziw, ale wywoływało także sprzeciw. Jedno i drugie obnażało nastawienie ludzkich serc. Tutaj Nikodem przychodzi w imieniu tych, którzy w swoich sercach żywili uznanie dla Jezusa. Powiada: „Nie mógłbyś dokonać tych cudów, gdyby Bóg nie był z Tobą”. W ten sposób wprowadza rozmowę, która będzie trwała i rozwija się tak:

W odpowiedzi rzekł do niego Jezus: «Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli się ktoś nie narodzi powtórnie, nie może wejść do królestwa Bożego». (oryg: ujrzeć)

Otóż Jezus, widzimy to dobrze, kieruje uwagę Nikodema natychmiast na potrzebę odrodzenia, które opisuje jako „nowe narodziny”. Jezus wprowadza te swoje słowa w sposób bardzo uroczysty. One po hebrajsku brzmią:

Amen, amen

— to jest to samo *Amen*, które pojawia się na końcu każdej modlitwy. Znaczy po polsku: *niech się tak stanie!,niech tak będzie!,oby tak było!* Ale w Ewangeliach pojawia się ono bardzo często na początku jakiejś formuły i po grecku brzmi: *Amen, amen lego himin otin — Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, że ...* Otóż te słowa *zaprawdę, zaprawdę* zapowiadają coś bardzo uroczystego, coś bardzo ważnego. Mianowicie Jezus zwraca uwagę Nikodemowi teraz, że chce mu na samym początku rozmowy powiedzieć coś bardzo, bardzo ważnego. Nikodem jest zdziwiony cudami Jezusa i uznaje, że one są dowodem boskiej mocy, boskiej obecności. A Jezus kieruje uwagę na potrzebę wewnętrznego odrodzenia, które nazywa „powtórными narodznami”: „jeśli się ktoś nie narodzi powtórnie, nie może ujrzeć królestwa Bożego”. I cała rozmowa przenosi się na inny poziom, bo oto zaraz natrafia na trudności.

Nikodem powiedział do Niego: «Jakżeż może się człowiek narodzić będąc starcem? Czyż może powtórnie wejść do łona swej matki i narodzić się?»

Odnoszono te słowa najpierw do sytuacji Nikodema. Kiedy Nikodem powiada: „Jakżeż może się człowiek narodzić będąc starcem?” to wielu komentatorów mówiło, że takim starcem był Nikodem, że Nikodem pokazywał na siebie: Jakże ja mogę się powtórnie narodzić będąc starcem? Dlatego Nikodem w sztuce wczesnochrześcijańskiej przedstawiany jest jako człowiek dojrzały czy wręcz starszy. Nas tu mniej interesuje wiek Nikodema, natomiast bardziej nas interesuje trudność, o jakiej mówi Nikodem. Otóż Nikodem nie rozumie Jezusa. Nie wie, co znaczą te „powtórne narodziny”. W związku z tym stawia pytanie, o którym można by powiedzieć, że było naiwnie proste czy wręcz wyrażało w jakiś sposób bezsilność czy bezradność Nikodema. Jakżeż może się człowiek narodzić będąc starcem? Czyż raz jeszcze ma wejść do łona swej matki i powtórnie narodzić się? Oczywiście nie! Nikodem sugeruje taki paradoks, żeby skłonić Jezusa do wyraźniejszej odpowiedzi. Nikodem albo nie rozumie, o co Jezusowi chodzi, albo też ten obraz powtórnych narodzin sprowadza do rzeczywistości narodzin czysto fizycznych. A ponieważ doskonale wiemy, że żaden staruszek nie może powtórnie znaleźć się z powrotem w łonie swojej matki i raz jeszcze się urodzić, to właściwie ta rozmowa – gdyby tylko o ten problem chodziło – powinna tu się skończyć.

Jezus odpowiedział: «Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli się ktoś nie narodzi z wody i z Ducha, nie może wejść do królestwa Bożego.

Raz jeszcze ta uroczysta formuła. „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci ...” Czyli nadal uważaj dobrze na to, co chcę ci powiedzieć. O jakie narodziny mi chodzi? Nie o narodziny, by twoja matka raz jeszcze wydała ciebie na świat, ale chodzi o narodziny z wody i z Ducha. W ten sposób mamy nawiązanie do sakramentu chrztu. Woda jest materialnym znakiem chrztu. Ale chrzest nie dokonuje się mocą wody. Woda tylko jest swoistym uobecnieniem dla naszych oczu. Chrzest dokonuje się jako powtórne narodziny mocą Ducha. „Jeżeli ktoś nie narodzi się z wody i z Ducha, nie wejdzie do królestwa Bożego”. Otóż Jezus wskazuje, że w tej nowej ekonomii zbawczej, którą On zapoczątkował, potrzebne są niejako dwukrotne czy dwojakie narodziny. Jedne — z matki, drugie — z Boga. Te z matki są fizyczne, te z Boga — z wody i z Ducha, są duchowe. Ale jedno i drugie naprawdę są narodzinami z Boga! Bo Jezus nie zajmuje się teraz poczęciem, wydaniem na świat, narodzinami dziecka. Zajmuje się odrodzeniem duchowym człowieka. I dalej tłumaczy je tak:

To, co się z ciała narodziło, jest ciałem, a to, co się z Ducha narodziło, jest duchem. Nie dziw się, że powiedziałem ci: Trzeba wam się powtórnie narodzić.

Otóż Jezus doskonale rozumie, że jego słowa wywołały ogromne zdziwienie. Że Nikodem wie więcej, niż do tej pory, ale rozumie mniej, niż do tej pory. W gruncie rzeczy to jest fundamentalny

paradoks wiary, fundamentalny paradoks wiary religijnej. Wiemy więcej i więcej, rozumiemy coraz mniej i mniej. Otóż wiara to jest przyjęcie Boga bez dowodów. Wiara to jest pierwszy, można by powiedzieć — najbardziej podstawowy sposób poznania Pana Boga i rzeczywistości, która nas otacza. Wiara również to jest klucz do zrozumienia nas samych, do zrozumienia siebie. Jezus mówi Nikodemowi: „Nie dziw się, że powiedziałem ci: Trzeba wam się powtórnie narodzić”. Trzeba! A Jezus tłumaczy to tak:

Wiatr wieje tam, gdzie chce, i szum jego słyszysz, lecz nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd podąża.

Tu Jezus używa gry słów niemożliwej do oddania w języku polskim. *Wiatr* po hebrajsku nazywa się *ruah*, a po grecku *pneuma*. To słowo „pneuma” przeszło do języków europejskich bo mamy je w nazewnictwie technicznym. Otóż hebrajskie *ruah* i greckie *pneuma* oznacza *wiatr* i oznacza *Ducha*. Jezus najpierw mówi o wietrze: Przyjrzyj się czy posłuchaj wiatru – bo wiatru nie można zobaczyć. Można zobaczyć jego skutki, czasami niszczycielskie. A więc: „Wiatr wieje kędy chce. Szum jego słyszysz, słyszysz wiatr, ale nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd podąża.” Wichury na terenie Ziemi Świętej bywają bardzo porywiste, bywają bardzo ostre, bardzo mocne i rzeczywiście nie wiadomo skąd przychodzą i dokąd zmierzają. Ten wiatr, wichura staje się obrazem działania bożego. Jezus nie może tego Nikodemowi wytłumaczyć lepiej, niż przez odwołanie się do tych czynników naturalnych. I zaraz powiada:

Tak jest z każdym, który narodził się z Ducha».

Z każdym, który narodził się z Ducha, jest tak, jak z wiatrem. Przy czym —podkreślam to trzeci raz — „wiatr” i „Duch” to jest „ruah” i „pneuma”, po polsku dwa różne słowa, tam — jedno słowo. Jak więc jest z tym, który narodził się? Przekładając słowo „wiatr” na słowo „Duch” można by powiedzieć: Duch wieje tam, gdzie chce. Skutki jego słyszysz, szum jego słyszysz ale nie wiesz, skąd przychodzi ani dokąd podąża. To, że dokonują się powtórne narodziny, te narodziny, których znakiem jest woda i Duch, to jest tajemnicze dzieło Boga. Nie potrafimy wytłumaczyć, nie wiemy, dlaczego jedni dostępują tych narodzin, a inni tych narodzin nie dostępują. Pamiętajmy, że ten stan rzeczy trwa po dzień dzisiejszy. Pośród sześciu miliardów ludzi na świecie niecała $\frac{1}{3}$ jest ochrzczona w imię Jezusa Chrystusa. Pozostałe $\frac{2}{3}$, czyli prawie cztery miliardy ludzi, nie jest ochrzczona, a większość z nich o Jezusie nie słyszała! „Tak jest z Bogiem” powiada Jezus zwracając się wtedy do tego żydowskiego dostojnika „że Bóg, jego działanie, jego Duch wieje tak, jak chce. Widzisz jego skutki, nie wiesz, skąd przychodzi i nie wiesz, dokąd zdąży”. Otóż te powtórne narodziny, sakrament chrztu, to jest również jakaś boża tajemnica. Po dwóch tysiącach lat pozostaje ona tajemnicą, bo cały świat nie został nią objęty. Można by powiedzieć, że ci, którzy są ochrzczeni, stanowią zawsze jakąś swoistą resztę, która ma oddziaływać na innych — ale ci inni tego nie dostąpią. Dlaczego tak jest? Nie wiemy! Zastanawiał się nad tym Nikodem i Jezus w tej nocnej rozmowie, w sytuacji ówczesnej Jerozolimy — my dzisiaj jesteśmy już znacznie bogatsi o doświadczenia, ale sakrament chrztu pozostaje nadal tajemnicą. Pozostaje nadal misterium.

W odpowiedzi rzekł do Niego Nikodem: «Jakżeż to się może stać?»

Jakże się to może stać, że Duch wieje tam, gdzie chce? Jakże się to może stać, że słyszemy jego szum, oglądamy skutki działania bożego, ale nie wiemy, skąd przychodzi ani dokąd zmierza? Jak to jest możliwe? Nikodem chce zrozumieć Pana Boga. Otóż ta sztuka zrozumienia Pana Boga to jest sztuka uprawiania teologii. Nikodem chce być teologiem, bo chce zracjonalizować swoją wiarę. A Jezus mu pokazuje, że rzeczywistość wiary jest o wiele głębsza niż teologia. Teologia, tak jak filozofia, rodzi się ze zdumienia. Tam, gdzie człowiek jest czymś zdumiony, tam zaczyna stawiać pytania. Nikodem jest zdumiony i chce na te pytania uzyskać odpowiedź. Tak jak gdyby chce wybadać Pana Boga, chce Go poznać, chce Go zrozumieć, chce Go pojąć. W pewnym sensie jakby zapanować nad Panem Bogiem. Jezus mu odpowiedział:

Ty jesteś nauczycielem Izraela, a tego nie wiesz?

Nie wiesz, jak Bóg działa wśród ludzi? Nie wiesz, że zawsze przedmiotem szczególniejszego działania bożego stają się jego wybrani? Przecież tajemnica wybrania istniała już w Starym Testamencie. Dlaczego Bóg wybrał Izraelitów spośród innych narodów? Byli mądrzejsi, możniejsi, potężniejsi. Byli Sumerowie, Hetyci, Akadejczycy, Asyryjczycy, Babilończycy, Persowie, Medowie, Grecy, Rzymianie, Egipcjanie i Bóg wie kto jeszcze. A wybrał jeden naród spośród wielu. Otóż Jezus zwraca uwagę Nikodema na tajemnicę wyboru, w którym znalazła wyraz równie tajemnicza miłość Boga. I przedłużeniem tej tajemnicy wyboru jest sytuacja ludzi, którzy stykają się z chrztem. Istnieje wielu innych ludzi, którzy nigdy na progu tej tajemnicy nie staną. Zatem w spotkaniu z Bogiem człowiek musi zawsze uznać swoistą porażkę. A ta porażka nabiera walorów paradoksu wtedy, kiedy to zastanawiamy się dlaczego nas wybrał jako narzędzie swojego działania w świecie.

Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, że to mówimy, co wiemy, i o tym świadczymy, cośmy widzieli, a świadectwa naszego nie przyjmujecie.

Otóż Jezus wskazuje tu na swoją prorocką, profetyczną misję i tożsamość. Zaczyna przemawiać w liczbie mnogiej. Tak, jak na początku Nikodem mówił w imieniu tych, którzy go przysłali, tak Jezus pokazuje teraz że w tym, co mówi, nie jest sam. Że mówiąc: „to mówimy, co wiemy, i o tym świadczymy, cośmy widzieli” włącza się w cały łańcuch świadków wiary Pierwszego Przymierza jak Abraham, jak Izaak, jak Jakub, jak Mojżesz, jak Dawid, jak Salomon, jak Izajasz, jak Jeremiasz. Jezus powiada do Nikodema: „Nie mówię ci przecież nic bardzo nowego. Jesteś nauczycielem Izraela — powinieneś słuchać swoich duchowych mistrzów. I powinieneś wiedzieć, że Bóg zawsze wybiera kogoś do specjalnej misji obdarzając go niezwykłymi darami. I że zawsze obok tych, którzy są wybrani, są inni, którzy tego zaszczytu nie dostąpili. Dlaczego tak jest — to tajemnica Boga tak jak tajemnica tego wiatru. Bóg wieje, przychodzi skąd chce, oglądamy tego skutki, ale nad źródłami i nad celem jego działania — choćbyśmy się najdłużej zastanawiali, to musimy uznać własną porażkę.

Jeżeli wam mówię o tym, co jest ziemskie, a nie wierzycie, to jakżeż uwierzycie temu, co wam powiem o sprawach niebieskich?

Jezus zwraca uwagę na to, że przychodzi z nauką, która ma wymiary etyczne, moralne. Mówi o tym jak żyć, jak postępować. Ale jeżeli ktoś tego nie rozumie, to nie rozumie także tego przejścia, którego Jezus dokonuje, a które dotyczy spraw Bożych, spraw niebieskich. Temu wielkiemu mędrcom, jakim był Nikodem, Jezus zaczyna ukazywać tajemnicę życia przyszłego. Chrzest dokonuje się nie po to, żeby odmienić nasze życie tu, tylko chrzest, sakrament chrztu, to odrodzenie z wody i z Ducha to jest odrodzenie ku życiu wiecznemu. Żeby je pojąć to trzeba także wziąć sobie do serca to, co doczesne. Starać się dobrze żyć. Bo kluczem do właściwego pojmowania tych spraw jest dobre życie.

I nikt nie wstąpił do nieba, oprócz Tego, który z nieba zstąpił - Syna Człowieczego.

Tu Jezus wskazuje na swój niezwykle intymny związek z Ojcem. Przedstawia siebie jako Syna Człowieczego w nawiązaniu do prorocत्व z Księgi Daniela. Obaj ci rozmówcy rozmawiają językiem Starego Testamentu, językiem biblijnym. Obaj doskonale wiedzą, o co chodzi. A Jezus zwraca uwagę na swoje szczególne synowskie więzi z Ojcem. Moc chrztu pochodzi z tego dzieła zbawczego, którego Bóg Ojciec dokonał w swoim Synu czyli w Jezusie Chrystusie. I teraz ta rozmowa osiąga swoje apogeum. Za chwilę w tej rozmowie pojawi się zdanie, które jest bodaj najczęściej cytowanym zdaniem Nowego Testamentu. Kiedyś przygotowywane były tzw. florilegia biblijne. Nazwa *florilegium* pochodzi od łacińskiego *flos* tzn *kwiat*. Florilegium — tzn. bukiecik, taki bukiecik różnych kwiatów. Jak zbieramy – czasem zwłaszcza panie – takie kwiatki polne, układamy sobie bukiecik, przynosimy go do domu, tak ci, którzy czytali Pismo Święte, wybierali sobie cytaty, uczyli się ich na pamięć i mieli w głowie takie bukieciki biblijne. Tak było z Mickiewiczem, tak było ze Słowackim, tak było z Krasińskim, tak było z Norwidem, tak było z Sienkiewiczem, tak było z Karolem Wojtyłą i dokładnie tak uczył się i zapamiętywał Pismo Święte kardynał Stefan Wyszyński. Otóż czytając Pismo Święte zapamiętywano pewne zdania. Za chwilę mamy takie zdanie, które stanowiło zawsze jeden z kwiatusków w tym bukieciku. Czytamy tak:

A jak Mojżesz wywyższył węża na pustyni, tak potrzeba, by wywyższono Syna Człowieczego, aby każdy, kto w Niego wierzy, miał życie wieczne.

Za chwilę nastąpi ten kwiatek. Ale na razie Jezus kieruje uwagę tego mędrca na zbawczą rzeczywistość Starego Testamentu. Przypominaliśmy sobie, że ta rozmowa odbywa się w kontekście święta Paschy. Jezus powiada tak: Był czas, że kiedy Izraelici wędrowali z Egiptu do Ziemi Obiecanej, to wybuchła wtedy wśród nich, na skutek ich niewierności, plaga węży. I otrzymał Mojżesz polecenie, by na palu wznieść miedzianego węża. Pal — możemy sobie wyobrazić: słup i taka poprzeczka, która miała wyobrażać węża. I kto spojrzy na tego węża miał być uzdrowiony. Takie wyobrażenie po dzień dzisiejszy jest na górze Nebo, po jordańskiej stronie, z widokiem pięknym na Ziemię Świętą, gdzie w marcu 2000-go roku był Jan Paweł II. Jezus powiada: „Ten widok węża, który przywracał ludziom zdrowie, to jest zapowiedź i symbol wywyższenia Syna Człowieczego.” Otóż to do złudzenia przypomina krzyż. „Teraz” — powiada Jezus — „nadszedł czas, kiedy uzdrowienie będzie pochodzić z patrzenia, ze spojrzenia, z zaufania, z wierności Synowi Człowieczemu, który zostanie wywyższony na drzewie krzyża. Jezus zapowiada, że zbawcza moc chrztu pochodzi z jego śmierci. Że trzeba będzie przejść przez śmierć, On będzie musiał przejść przez śmierć, by dać życie światu. I wyjaśnia to tak — i teraz mamy to piękne zdanie:

Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne.

Otóż zbawcza śmierć Jezusa Chrystusa zostaje przez Niego objaśniona jako największy dowód bożej miłości do świata. „Tak Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał”. Jak niegdyś Abraham i Izaak, który miał być złożony w ofierze, i Izaak w ostatniej chwili został ocalony, to Bóg — o tym mówią ewangelisti i pozostałe pisma Nowego Testamentu — własnego Syna nie oszczędził, ale Go za nas wydał. Otóż znakiem bożej miłości jest nie tylko solidarność z cierpiącymi, ale fakt, że Syn Boży przeszedł przez cierpienie, i przez mękę, i krzyż. Jaki musi być ciężar i zło grzechu, jeżeli trzeba go było niejako okupić w taki właśnie sposób! W tej nocnej rozmowie Nikodema z Jezusem dowiadujemy się o tym, co stanowi sedno bożej miłości. Największym jej znakiem jest śmierć Jednorodzonego Syna, która stanowi nowotestamentowe wypełnienie tego znaku, który Izraelici zobaczyli na pustyni wówczas, gdy wznosili twarze aby patrzeć na słup, a na nim zawieszono węża.

Kto wierzy w Niego, nie podlega potępieniu; a kto nie wierzy, już został potępiony, bo nie uwierzył w imię Jednorodzonego Syna Bożego.

Otóż Jezus zapowiada podział na tych, którzy uwierzą w Niego, i tych, którzy w Niego nie uwierzą. Ten podział to jest uszanowanie człowieczej wolności. Pan Bóg stworzył człowieka wolnym i nie chce mu tej wolności odbierać. Dlatego możliwa jest akceptacja i możliwy jest sprzeciw. Śmierć Jezusa Chrystusa, śmierć krzyżowa, przez jednych zostanie przyjęta, przez innych przyjęta nie zostanie. Tajemnica bożego miłosierdzia staje wobec jednych i drugich jakąś przeogromną tajemnicą właśnie.

A sąd polega na tym, że światło przyszło na świat, lecz ludzie bardziej umiłowali ciemność aniżeli światło: bo złe były ich uczynki. Każdy bowiem, kto się dopuszcza nieprawości, nienawidzi światła i nie zbliża się do światła, aby nie potępiono jego uczynków. Kto spełnia wymagania prawdy, zbliża się do światła, aby się okazało, że jego uczynki są dokonane w Bogu».

Jezus, bilansując te słowa, powiada tak. Warunkiem dobrego życia i warunkiem zaufania Panu Bogu jest przyłgnięcie do prawdy, jest dobre rozeznanie. Jest dobre rozeznanie w tym, co dotyczy Pana Boga, co dotyczy własnego życia. Tam, gdzie człowiek potrafi prawdę uznać, tam potrafi dobrze żyć. Tam, gdzie nie ma prawdy, nie ma również dobrego życia. Poleganie na prawdzie i dobre życie są ze sobą bardzo mocno powiązane. A podstawowa prawda jest taka, że człowiek powinien rozpoznać i przyjmować bożą miłość. Tę miłość, która znalazła wyraz w śmierci Syna

Bożego. Otóż śmierć Jezusa Chrystusa, męka Jezusa Chrystusa, jego przejście przez krzyż, to jest ta podstawowa prawda o Bogu. W niej Pan Bóg objawia nam samego siebie. I od nas zależy, co z tym zrobimy. W nocnej rozmowie zatem Nikodem wysłuchał najważniejszych i najwznioślejszych prawd ewangelicznych. Musiał je zapamiętać, skoro zostały utrwalone na kartach Ewangelii. Tutaj ewangelista przerywa swoją narrację i dalej mamy:

Potem Jezus i uczniowie Jego udali się do ziemi judzkiej.

Nie wiemy, jak Nikodem zareagował na te prawdy. Ale spotykamy Nikodema w Ewangelii raz jeszcze i to w okolicznościach które świadczą, że wziął sobie głęboko do serca to, co usłyszał od Jezusa. Mianowicie spotykamy raz jeszcze Nikodema w kontekście pogrzebu Jezusa. Czytamy wtedy tak w rozdziale 19 Ewangelii św. Jana:

Potem Józef z Arymatei, który był uczniem Jezusa, lecz ukrytym z obawy przed Żydami, poprosił Pilata, aby mógł zabrać ciało Jezusa. A Pilat zezwolił. Poszedł więc i zabrał Jego ciało. Przybył również i Nikodem, ten, który po raz pierwszy przyszedł do Jezusa w nocy, i przyniósł około stu funtów mieszaniny mirry i aloesu. Zabrali więc ciało Jezusa i obwiązali je w płótna razem z wonnościami, stosownie do żydowskiego sposobu grzebania.

Zatem Nikodem pozostał wierny temu, co usłyszał. Nie wiemy jak zachowywał się w ciągu życia Jezusa. Ale kiedy Jezus umarł, przybył z wonnościami – i to z bardzo dużą ilością – aby ciało Jezusa namaścić. Najwyraźniej to, co usłyszał o powtórnych narodzinach, wydało ten dobry, błogosławiony posiew, dobre owoce skoro znalazł się tam, gdzie powinien, mianowicie przy pogrzebie.

A na miejscu, gdzie Go ukrzyżowano, był ogród, w ogrodzie zaś nowy grób, w którym jeszcze nie złożono nikogo. Tam to więc, ze względu na żydowski dzień Przygotowania, złożono Jezusa, bo grób znajdował się w pobliżu.

A zrobił to Józef z Arymatei i Nikodem właśnie. Nikodem wprowadzony w tajemnicę śmierci Jezusa Chrystusa, Nikodem, któremu zapowiedziano tę tajemnicę. Nikodem znalazł się tam, gdzie ta śmierć miała miejsce, czyli na Kalwarii. Tam odszukał Jezusa raz jeszcze tak, jak wcześniej odszukał Go w nocy. Później — nie wiemy już co działo się z Nikodemem. Pewnie był jednym z pierwszych chrześcijan, pierwszych wyznawców, skoro pamięć o tym, co przeżył, została utrwalona na kartach Nowego Testamentu i skoro po prawie dwóch tysiącach lat możemy zastanawiać się tak, jak on kiedyś, nad tajemnicą powtórnych narodzin. Ta tajemnica powtórnych narodzin to tajemnica miłości Boga do człowieka, której znakiem jest krzyż. A owoce zbawczej męki są dla nas dostępne poprzez znaki wody i poprzez moce Ducha Świętego. A z Nim jest — tak mówił Jezus do Nikodema — jak z wiatrem. Nie wiemy, skąd przychodzi. Nie wiemy, dokąd idzie. Widzimy tylko Jego szum. Doświadczamy Jego pomocy, doświadczamy Jego obecności. Tak zawsze jest z Bogiem. Boga zawsze oglądamy tak jak gdyby od tyłu. Żaden człowiek nie może zobaczyć Jego twarzy. Oglądamy tak jakby Jego przejście, Jego obecność, która właśnie była. Czujemy Jego oddech. Czujemy, że Bóg przed chwilą był. Czujemy, że jest z nami ale nie potrafimy Go ująć ani posiąść. Bo jest przecież Panem Bogiem. Dopiero wtedy, kiedy da nam doświadczyć pełniej Swoje życie poznamy Go bardziej, poznamy twarzą w twarz. Św. Paweł napisał: „Poznamy Go tak, jak sami zostaliśmy poznani”. Ale znowu stajemy z tym na progu tajemnicy.

Tyle byłoby na dzisiaj. Zapraszam bardzo serdecznie za 4 tyg., czyli 20 III, w trzeci poniedziałek marca. Konferencja będzie już w okresie Wielkiego Postu, podczas niej przyjrzymy się kolejnemu ewangelicznemu epizodowi i kolejnej ewangelicznej postaci. Chwała Ojcu . . . Pochwalony Jezus Chrystus.

5 Piłat (20 marca 2006)

Ojcze Nasz ... Stolicę Mądrości, módl się za nami. Naprawdę bardzo się cieszę, że państwa znowu widzę. Bardzo się cieszę, że widzę znajome twarze, że prawie każdy na swoim miejscu — tak jak zawsze. Można do tego się przyzwyczaić: zrobić zdjęcie dzisiaj, za trzy tygodnie tu się znowu zbieramy — raz jeszcze zobaczyć — i prawie dokładnie te same twarze, te same miejsca, i tak samo jest nas sporo. Jestem za to bardzo wdzięczny.

Na samym początku trzeba zapowiedzieć, że dzisiejsza konferencja będzie najdłuższa ze wszystkich — ponieważ rozpoczynamy ją zimą, a skończymy wiosną. Otóż o 19²⁷ robi się wiosna. Czyli mamy jeszcze przed sobą kilkanaście minut zimy, a potem wiosną dokończymy całości. Zatem bardzo długo, choć w czasie to jest to samo, co zawsze, ale jeżeli chodzi o porę roku, to rzeczywiście długo.

Mamy okres Wielkiego Postu i temat, który dzisiaj wziąłem, jest jakoś dostosowany do czasu wielkopostnego. Przypominam, że przedmiotem naszej refleksji są bohaterowie Nowego Testamentu. I patrząc na tematy, które mieliśmy do tej pory, zauważyłem, że pośród naszych bohaterów nie omawialiśmy nigdy osoby, której Nowy Testament, Ewangelie, poświęcają sporo miejsca, która weszła do Credo, do apostolskiego Wyznania Wiary, chociaż nie wiadomo, czy stała się wyznawcą Jezusa Chrystusa. O której wspominamy zawsze, kiedy odmawiamy pacierz, zwłaszcza ze Składem Apostolskim, i o której czytamy w okresie Wielkiego Postu, w opowieściach o Męce Pańskiej szczególnie. Chodzi oczywiście o Poncjusza Piłata. I dzisiaj przedmiotem naszej refleksji będzie Poncjusz Piłat tak, jak przedstawiają go Ewangelie. I będziemy starali się odtworzyć jego portret na podstawie Ewangelii i będziemy starali się odtworzyć także jego przygodę z Jezusem, którą przeżył. I która to przygoda tak dalece była poruszająca, tak dalece mocna, tak dobitna, że po dwóch tysiącach lat o Poncjuszu Piłacie wciąż się mówi.

Zatem temat dzisiejszy to właśnie Poncjusz Piłat. Aby jego osobę zrozumieć, musimy się najpierw troszeczkę cofnąć wstecz i powiedzieć sobie, że w okresie, którego Ewangelie dotyczą, w okresie życia Jezusa Chrystusa, Palestyna, ten niewielki skrawek ziemi położony we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego, znajdowała się pod okupacją rzymską. Stolicą imperium był Rzym. Imperium Romanum to było potężne imperium, które zrodziło się mniej więcej w III – II wieku przed Chrystusem. Zrodziło się w konfrontacji z potężną Kartaginą, która znajduje się na terenie dzisiejszej Tunezji. Tam są jej szczątki, jej pozostałości niesłychanie okazałe, a zarazem niesłychanie żałosne. Ta konfrontacja z Kartaginą wypadła na korzyść Rzymu. Kulturowa konfrontacja z kolei z Grecją — tutaj Rzym nigdy nie przewyższył Grecji jeżeli chodzi o sztukę, sztuki, o finezję, o sposób wyrażania uczuć i odczuć artystycznych. Ale ta konfrontacja z Grecją spowodowała, że Rzymianie podporządkowali sobie tereny, które do Grecji należały. I wreszcie po konfrontacji z daleką Persją — to są tereny dzisiejszego Iranu, dzisiejszej Mezopotamii, także Iraku. I w II i I wieku przed Chrystusem Rzym zdołał podporządkować sobie cały obszar Morza Śródziemnego. Kto z państwa ma wyobraźnię plastyczną, geograficzną i wyobraża sobie teraz tę mapę basenu Morza Śródziemnego, to Rzymowi podlegało wszystko poczynając — że zrobimy takie koło — od Półwyspu Apenińskiego czyli Italii, dziś Włochy, przez Galicję czyli Francję, przez południową Brytanię — tam gdzie dzisiaj jest Londyn i okolice, przez Hiszpanię, którą podbili, przez Maroko, Afrykę północną czyli Algierię, Tunezję, Libię, Egipt północny, Syropalestynę, Jordanię, Liban, także po dzisiejszy Iran, po Azję Mniejszą czyli dzisiejszą Turcję, wyspy greckie, przez Bałkany — czyli zrobiliśmy sobie taką podróż po basenie Morza Śródziemnego i uświadamiamy sobie, że te wpływy były bardzo ogromne. Dlaczego o tym trzeba wiedzieć, żeby zrozumieć Poncjusza Piłata? Dlatego, ponieważ Poncjusz Piłat był przedstawicielem prężnego, możnego, wielkiego, wpływowego i silnego imperium. Był bardzo wysokim urzędnikiem cesarskim. I w związku z tym cała ta scena ewangeliczna, o której będziemy mówili, rozgrywa się między Jezusem a Piłatem. I staje naprzeciwko siebie dwóch ludzi — będziemy o tym mówić. Jeden oskarżony przez swoich rodaków, przez Żydów, o wicherzycielstwo i o bluźnierstwo. I drugi, który jest przedstawicielem silnego, możnego, potężnego imperium, i który ma władzę ulaskawienia albo ew. skazania tego przyprowadzonego do niego człowieka. Spotykają się dwaj ludzie, z których każdy ma władzę innego rodzaju. W 63 r. przed Chrystusem imperium rzymskie przesunęło się tak daleko, że Rzymianie zajęli teren Syropalestyny, podporządkowali ją sobie i na jej obszarze ustanowili marionetkowego króla. Otóż jeżeli

byśmy szukali jakiejś analogii w świecie współczesnym, to moglibyśmy powiedzieć bez popełnienia większego błędu, że polityka starożytnego imperium rzymskiego przypomina do żywego dzisiejszą politykę amerykańską. Mówiąc dokładnie: polityka amerykańska jest wzorowana na starożytnej polityce rzymskiej. Podstawowa zasada Rzymian brzmiała: *Divide et impera* czyli *Dziel i rządź*. Można rządzić lepiej tymi, których się podzieliło, których się nawzajem na siebie napuściło. Nie będziemy oceniać i nie będziemy analizować współczesnej polityki, chociaż analogie tutaj nasuwają się w wielu rejonach świata. Ale Rzymianie opanowali to do perfekcji i później w dziejach świata wiele razy wzorowano się na rzymskim sposobie administrowania podbitymi terytoriami.

Otóż jednym z takich sposobów administrowania było ustanowienie z jednej strony kogoś lokalnego jako władcy, który był Rzymianom całkowicie podporządkowany. Z drugiej strony mianowanie na dany obszar *prefekta* czy też *prokuratora* — przy czym słowo „prokurator” nie ma tego znaczenia takiego, jak w dzisiejszym sądzie, tylko pochodzi od łacińskiego słowa *procurare* czyli „troszczyć się, zabiegać, starać”. I zadaniem tego prokuratora ustanowionego przez Rzymian była niby – chociaż i rzeczywiście tak – troska o tych ludzi, którzy znajdowali się na powierzonym mu terenie. Zatem Rzymianie prowadzili politykę kija i marchewki. Z jednej strony ten kij wyciągnięty w dłoniach, na końcu kija zawieszona marchewka. I ktoś, kto tę marchewkę lubił, cały czas za nią gonił i próbował ją złapać dopóki się nie zmęczył — bo bez przerwy żył obietnicami. Albo też kij przydawał się, żeby go pogonić albo zmusić do posłuszeństwa. Taka była właśnie polityka rzymska.

W ramach tej polityki Rzymianie pozwolili, że na obszarze Palestyny był lokalny król, którym był Herod, z pochodzenia pół-Żyd, pół-Idumejczyk. Po matce — Idumejczyk, czyli potomek starożytnych Edomitów, z terenów dzisiaj należących do Jordanii, a po ojcu — Żyd. Herodowi wydawało się, że ma swoją władzę. Ale pod koniec rządów Heroda Rzymianie widzieli, że lepiej będzie, gdy dodadzą do tego swoich prokuratorów. I podzielono królestwo Heroda pomiędzy trzech jego synów i mianowano wtedy prokuratorów czy też prefektów. Wysyłano ich z Rzymu i mieli rezydować na terenie Palestyny. Na rezydencję wybrano port, który leżał nad samiutkim morzem i nazywał się Cesarea Maritima czyli Cezarea Nadmorska. Ten port wybudował Herod, tzn. król żydowski, Herod Wielki. Założył go ok 20 r. przed Chrystusem, rozbudował bardzo szybko i na cześć Cezara nazwał Cezareą. Kiedy port został przysposobiony do trwałego zamieszkania, rezydowali tam również rzymscy namiestnicy. Dlaczego przy porcie? Po pierwsze — dobry tam był klimat. Po drugie — w każdej chwili mógł się ewakuować, co w starożytności miało bardzo duże znaczenie. Po trzecie — można było wezwać posiłki rzymskie na wypadek jakichś niepokojów. Po czwarte wreszcie — prokuratorzy, prefekci na ogół nie lubili Żydów. A nie lubili z dwóch powodów. Po pierwsze nie rozumieli żydowskich zwyczajów i praw, według których Żydzi żyli w Jerozolimie. I patrząc na te żydowskie zwyczaje i prawa mieli do tego ogromny dystans wewnętrzny. Ci prokuratorzy byli poganami wychowanymi na kulturze greckiej, rzymskiej. Od Greków mieli sztukę, od Rzymian mieli prawo. Byli to ludzie wykształceni jak na owe starożytne czasy, i patrzyli na Żydów z pewną pogardą. Drugi powód, dla którego nie chcieli mieszkać w Jerozolimie, to ten, że stronili od Żydów ponieważ Żydzi mieli duże wpływy na dworze cesarskim. I wbrew pozorom mogli bardzo wiele. Zatem działo się tak, że cesarz wysyłał jakiegoś prokuratora, jakiegoś prefekta, ale — ponieważ Żydzi byli bardzo mobilni i mieli te wpływy na dworze cesarskim — to los takiego prefekta bywał dość często skomplikowany, złożony, a nawet trudny. I w Palestynie prefekci się szybko zmieniali, bo robiono na nich rozmaite donosy, prawdziwe i nieprawdziwe, snuto rozmaite intrygi. W związku z tym Palestyna była ciężkim kawałkiem chleba dla prefektów. Najdłużej byli po dwa lata, po trzy lata, po pięć lat.

A Poncjusz Piłat był tutaj absolutnym wyjątkiem dlatego, że został mianowany w 26 r. naszej ery i był prefektem przez lat dziesięć, do 36 r. naszej ery. Te daty są bardzo ważne. Skoro był prefektem przez lat dziesięć, to możemy się domyślać, że albo nie pozwolił się uwikłać w rozmaite intrygi, albo sam miał dobre notowania u cesarza. Albo być może dość skutecznie odnosił się do tych rozmaitych donosów, które na niego robiono. Może prowadził politykę silną tak, że pozwoliła mu ona utrzymać się aż przez 10 lat. O jego rządach wiemy także z pism Filona Aleksandryjskiego i Józefa Flawiusza. Jeden i drugi to byli pisarze żydowscy z tym, że jeden pochodził z Aleksandrii, drugi żył na terenie Palestyny. I o Poncjuszu Piłacie wspomina także rzymski historyk Tacyt. Tak więc poza Ewangeliami mamy jeszcze te trzy źródła informacji. Jeżeli chodzi o Filona Aleksandryjskiego i o Józefa Flawiusza którzy żyli, przynajmniej Flawiusz, wkrótce po tych czasach, to napisali, że

Piłat był dość bezwzględny. Napisali, że kiedy Żydzi zaczęli buntować się przeciwko Piłatowi, to potrafił natychmiast odpowiedzieć bardzo mocno i bardzo dotkliwie, posuwając się do przelewu krwi. Mogłoby się to zgadzać ze wzmianką, którą znamy z Ewangelii kiedy to jeden z Ewangelistów, św. Łukasz, wspomina o ludziach, jakiejś grupie żydowskiej, która wzniciła powstanie przeciwko Rzymianom i „których krew przelał Piłat i zmieszał ją z ziemią”. Otóż ta aluzja mogłaby się zgadzać z tymi źródłami pozabiblijnymi, że Piłat był raczej człowiekiem dość twardym i dość skutecznym. Znow to jest ważne, żebyśmy mogli Ewangelię lepiej pojąć. Że naprzeciwko Jezusa staje człowiek który wiedział, czego chce.

Dlaczego Piłat trafił do Palestyny — tego powiedzieć nie możemy. Jeżeli został prefektem w roku 26, to możemy wnosić, że był wtedy mężczyzną najprawdopodobniej w średnim wieku. Z tym, że średnia wieku w starożytności była niższa, niż dzisiaj. Dla nas pan w średnim wieku to jest ponad 40, ok. 50 lat. Dla starożytnych to był mężczyzna 35-letni mniej więcej. Tak się wydaje, że tyle miał lat. Może trochę mniej, może ok. 30 do 35 lat. Jeżeli tutaj dobrze zgadujemy, to Piłat był w pewnym sensie rówieśnikiem Jezusa. Bo jeżeli te wydarzenia rozgrywają się w roku — niezależnie od szczegółowej rachuby — 30-tym czy 31-ym, z tą pomyłką, która istnieje w kalendarzu, to Jezus miał wtedy 33 lata i Piłat był mniej więcej w wieku Jezusa. To też jest bardzo ważne, że mamy i pod tym względem pewne psychologiczne podobieństwo. To mogłoby nas naprowadzić na taki trop, że Jezus i Piłat pod wieloma względami byli do siebie jako ludzie, od tej ludzkiej strony, podobni. Że szybko znajdowali wspólny język, że zobaczyli, że są w jednakowym wieku. Obaj byli wykształceni, obaj byli elokwentni. Rozmawiali ze sobą po grecku, bo Jezus odpowiadał Piłatowi po grecku, Piłat zadawał pytania w języku greckim. Zatem obaj stając naprzeciwko siebie byli dla siebie takimi duchowymi partnerami. I to pozwala nam ich rozmowę, ich spotkanie lepiej zrozumieć. Więc do takiego to właśnie Piłata, który trafił tam, do Syropalestyny, najprawdopodobniej z terenu dzisiejszej Italii, czyli był praprzodkiem dzisiejszych Włochów, do niego został przyprowadzony Jezus, skazany dopiero co przez Sanhedryn na karę śmierci.

Piłat miał ogromną władzę. Władza Piłata to była władza namiestnika, który praktycznie mógł wszystko. Miał dwa przywileje, które są bardzo ważne żeby zrozumieć jego sytuację z Jezusem. Otóż jeden przywilej nazywał się *indulgentia* po łacinie. Indulgentia znaczy „przebaczenie”. Mogło być tak, że kiedy przyprowadzano do Piłata jakiegoś zbrodniarza albo człowieka oskarżonego o przestępstwo, to Piłat jako namiestnik, jako przedstawiciel cesarza, jako prefekt rzymski, mógł zastosować wobec niego właśnie praktykę *indulgentia*, zasadę *indulgentia*, czyli przebaczenia. Mógł — widząc skrucę ze strony człowieka, albo widząc jakieś jego zalety czy sposób mówienia, czy też gdy przypadł mu do gustu w jakikolwiek sposób — mu w imieniu cesarza przebaczyć. I nawet jeżeli ktoś dopuścił się jakiegóż zbrodni, czy dopuścił się jakiegóż ciężkiego przestępstwa, mógł odejść stamtąd, sprzed oblicza przedstawiciela rzymskiej władzy, z tym przebaczeniem. Drugi przywilej, który posiadał Piłat, nazywał się po łacinie *abolitio*, dzisiejsza „abolicja” od tego pochodzi. Otóż *abolitio* było czymś jeszcze większym, niż *indulgentia*. Bo abolicja polegała na tym, że zanim namiestnik wysłuchał kogokolwiek, albo wysłuchał jakiegokolwiek sprawy, mógł człowieka uniewinnić. Mógł np. uznać, że sprawa, z którą do niego przyszli oskarżyciele, nie jest aż tak wielka, żeby on się nią zajmować musiał. Albo że są jakieś okoliczności, dla których tego skazańca można ulaskawić itd.

To znow jest ważne, żebyśmy tę sytuację procesu zrozumieli dlatego, że mamy tam elementy zarówno owej procedury *indulgentia*, jak i tej procedury *abolitio*. Piłat próbuje jednego i drugiego, ale jedno i drugie mu się nie udało. Otóż Piłat stosując to ulaskawienie albo uniewinnienie, jedną z tych dwu procedur, oczywiście jawił się jako przedstawiciel cesarza, jako przedstawiciel rzymskiej władzy. Okazywał wielkoduszność, zaufanie. Liczył na aplauz tych, którzy się zgromadzili. I oczywiście liczył na to, że ta władza rzymska przestanie być aż tak nielubiana czy czasami wręcz zniechęcona, jak to w różnych częściach imperium rzymskiego bywało.

I teraz przejdźmy do tej konkretnej sytuacji, którą w okresie Wielkiego Postu chcemy poznać bardziej szczegółowo. Otóż Piłat tym razem nie rezyduje w Cezarei, tylko rezyduje w Jerozolimie. To też jest ważne dlatego, że przy sposobności większych świąt — a wiadomo z Ewangelii, że skazanie Jezusa odbyło się w kontekście wiosennego święta Paschy, takiego jak to, na które teraz czekamy. Otóż w kontekście świąt prefekt rzymski, namiestnik rzymski udawał się z Cezarei do Jerozolimy i brał ze sobą całe oddziały żołnierzy, czasami dwa albo trzy, liczące po 100 żołnierzy, a więc 200 - 300 doborowych żołnierzy. I zamieszkiwali w Jerozolimie w dwóch miejscach. Albo mógł rezydować

na terenie pałacu Heroda, albo też rezydował w twierdzy Antonia, która przylegała bezpośrednio do terenu świątynnego, do tego terenu na którym wznosiła się świątynia jerozolimska. Dlaczego co roku na święto Paschy, a także przy okazji dwóch innych świąt, na św. Namiotów i na św. Tygodni, namiestnik udawał się do Jerozolimy? Otóż dlatego, że wtedy do Jerozolimy przybywały tysiące Żydów z całego świata. Przynosili różne wiadomości. Jedni przybywali z Azji Mniejszej, drudzy z Hiszpanii, inni z Półwyspu Apenińskiego, z Grecji, z Afryki Północnej, z Libii. Tu przypomnijmy sobie tę wyliczankę w dzień Zesłania Ducha Świętego w Dziejach Apostolskich. Jeszcze inni z Mezopotamii, z Krety. Partowie, Medowie, Elamici, różne części imperium rzymskiego. I oni oczywiście przekazywali sobie rozmaite wiadomości. Wszyscy mówili po aramejsku, albo po łacinie, po grecku. Mogli się organizować. I Rzymianie bali się, że tak duże skupiska ludzi, gromadzących się z różnych stron imperium rzymskiego, będą owocowały rozruchami. I zazwyczaj takie rozruchy bywały, więc namiestnik zawsze przybywał do Jerozolimy. I Piłat też przybył do Jerozolimy i tym razem rezydował w twierdzy Antonia. W twierdzy zaopatrzonej w cztery potężne wieże, z kamiennym dziedzińcem w środku, bardzo silnie chronionej, która znajdowała się przy jednym z narożników terenu świątynnego. Gdyby cokolwiek działo się na terenie świątyni albo w jej pobliżu, wypadali doborowi rzymscy żołnierze i natychmiast przywracali porządek.

Więc i taką samą sytuację mamy teraz. Piłat przybył do Jerozolimy na święto paschy. I oto kiedy zamierzał już świętować — ma kłopot. Na czym polegał ten kłopot? Kłopot polega na tym, że w czwartek, my nazywamy: Wielki Czwartek wspominając te wydarzenia, najpierw odbyła się Ostatnia Wieczerza, na której Jezus ustanowił Eucharystię i kapłaństwo. A po Ostatniej Wieczerzy, z miejsca zwanego Wieczernikiem, który znajdował się na Górze Syjon i tam po dzień dzisiejszy się znajduje, Jezus ze swoimi Apostołami schodzi do Ogrodu Oliwnego. To jest mniej więcej w prostej linii 800 – 1000 m od Wieczernika. Tam, w Ogrodzie Oliwnym, modli się na osobności, tam zostaje zdradzony, tam zostaje pojmany. Zdradzony przez jednego ze swoich — przez Judasza. A ponieważ była już noc, wiadomo, że warunki inne niż dzisiaj — przede wszystkim kłopoty ze światłem, to Judasz umówił się z arcykapłanami, którzy zapłacili mu 30 srebrników. Trzydzieści srebrników to była miesięczna pensja robotnika, płacono srebrnika za dzień. Srebrnik — bo denar był wykonany ze srebra. Za miesięczną pensję Judasz zgodził się wskazać, który to jest Jezus. Bo Jezus był z Apostołami, było ich kilkunastu. Więc umówił się, że Ten, do którego podejdzie jako do pierwszego, z którym się przywita. Kto z państwa zna rejon Bliskiego Wschodu, i Żydów i Arabów, to widział wiele razy witających się mężczyzn. U nas witamy się przez podanie ręki, tam się witają — taki pocałunek, który przypomina nasz znak pokoju podczas mszy świętej. Umówili się więc, że Ten, z którym się przywita, Ten, którego pocałuje tym pocałunkiem pokoju, to jest Jezus. Pamiętamy te słowa, bo scena jest przejmująca:

Judaszu, pocałunkiem wydajesz Syna Człowieczego?

Zbyszczęścieś ten gest, który jest gestem przyjaźni, miłości, a ty zrobiłeś z niego gest zdrady — taki jest sens tych słów. Jezus zostaje pojmany i w czwartek późnym wieczorem zaprowadzony do pałacu arcykapłana Kaifasza, znajdującego się, tak jak Wieczernik, na Syjonie. Tam się odbywa przesłuchanie przed Sanhedrynem, przed żydowską Wysoką Radą. I żydowska Wysoka Rada wydaje na Jezusa wyrok śmierci. Wydaje go za bluźnierstwo, bo w kluczowym momencie arcykapłan pyta: „Powiedz nam, kim Ty jesteś? Czy Ty jesteś Mesjasz, Syn Błogosławionego?” Jezus odpowiada: „Tak, Ja jestem.” Arcykapłan zawołał: „Zbluźnił!”, rozdarł swoje szaty, jak było w żydowskim i pozostaje do dzisiaj w arabskim zwyczaju, i zapadł wyrok: „Winien jest śmierci”. Ale ten wyrok nie miał mocy wiążącej, bo Żydzi nie mogli wykonywać wyroków śmierci. W jednym tylko przypadku mogli wykonywać w czasach rzymskich wyrok śmierci. A mianowicie, gdyby jakiś poganin wszedł na teren świątyni, zastrzeżony wyłącznie dla Żydów. Był taki teren w samym środku, blisko tego miejsca, gdzie składano ofiary w świątyni, gdzie mogli wchodzić tylko Żydzi, nikt inny. Ten teren był oznaczony murem, wysokim mniej więcej jak mój pulpit, i na jego górze co pewien czas były tablice: „Wstęp tylko dla Żydów. Poganin zostanie ukarany śmiercią” — tak mniej więcej co 50 m. W związku z tym Rzymianie zgodzili się, że gdyby jakiś poganin wszedł na ten teren, to mógł tam zostać ukamienowany. Czyli po prostu rzucono w niego kamieniami, aż do śmierci. Proszę sobie wyobrazić, że jedną z takich tablic odnaleziono pod koniec XIX w., czyli z czasów, kiedy Jerozolima znajdowała się pod okupacją rzymską, i ta tablica jest przechowywana w Muzeum Starożytności

w Stambule. Można zobaczyć taką autentyczną, oryginalną tablicę z czasów Jezusa, ostrzegającą pogan przed wejściem na teren świątyni.

Jezus był oczywiście Żydem. Nikt Go nie oskarżał, że wszedł na teren świątyni. I stąd, jeżeli Sanhedryn chciał obejść się z Jezusem bez miłosierdzia, to musiał zwrócić się o zatwierdzenie wyroku śmierci do Piłata. Bo tego rodzaju wyroki podlegały akceptacji, zatwierdzeniu ze strony namiestnika rzymskiego. Zwróćmy uwagę, że starożytność — bo mamy tutaj 2000 lat temu — była pod wieloma względami bardziej sprawiedliwa, niż nasze czasy. Otóż proszę popatrzeć na to, co dzieje się np. w Iraku. Co dzieje się w różnych rejonach świata, w amerykańskiej bazie Guantanamo, gdzie ludzie są przetrzymywani bez wyroku latami całymi, naznaczani, piętnowani, przesłuchiwani ciężko i Bóg wie co jeszcze. I nasz kraj, niestety, jest w tym umaczany. Wszystko wyciszono na razie — na jak długo, sam Pan Bóg wie. Otóż w starożytności rzymskie prawo miało procedury, które nie pozwalały ludzi przetrzymywać bez wyroku, i nie pozwalały ich również męczyć. I Jezus tym procedurom również podlegał. Kiedy więc Sanhedryn skazał Go na śmierć, wrzucono Go do lochu w pałacu Kajfasza, bo była już późna noc, czwartek. A w piątek, z samego rana, zaprowadzono Go do Piłata właśnie.

Piłat, namiestnik rzymski, przyjmował rano. Dlatego rano, ponieważ rano było chłodniej. Potem było gorąco i w południe nikt tam w starożytności nie pracował, poza niewolnikami. Ludzie wolni, obywatele rzymscy, załatwiali sprawy rano. I wczesnym rankiem Jezus został przyprowadzony przed Piłata. Jeżeli teraz chcemy dowiedzieć się czegoś więcej o Piłacie, to mamy do dyspozycji cztery Ewangelie. I chyba jedną z najciekawszych rzeczy w Nowym Testamencie jest porównanie czterech ewangelicznych wizerunków Piłata. Być może chcą państwo sobie takie doświadczenie zrobić. To trzeba byłoby w domu sięgnąć po Nowy Testament, znaleźć w Ewangeliach Mateusza, Marka, Łukasza i Jana odpowiednie fragmenty i zobaczyć, jak oni opisują Piłata. Wszyscy tak samo — i każdy inaczej. Otóż przedstawiają wydarzenia dość wiernie, czy bardzo wiernie, ale jednocześnie każdy z Ewangelistów ukazuje nowe aspekty. Otóż zerknijmy jakby przez dziurkę od klucza na ten ewangeliczny wizerunek Piłata. Mateusz, autor pierwszej Ewangelii, był Żydem. Pisał swoją Ewangelię dla Żydów, którzy uwierzyli w Jezusa, albo też dla Żydów, których chciał dla Jezusa pozyskać. Mówiliśmy wielokrotnie, że jego punkt widzenia jest typowo żydowski. On pisze tylko o mężczyznach. Judaizm to jest religia mężczyzn. I on patrzy właśnie z męskiej perspektywy. Tak bardzo męskiej, że czasami wręcz szowinistycznej. Dlatego tym dziwniejszym jest, że tylko w Ewangelii Mateusza mamy wzmiankę o żonie Piłata. Żadna inna Ewangelia o tej żonie nie wspomina. Mateusz, który o kobietach mówi bardzo mało, wspomina o żonie Piłata, że w pewnym momencie podchodzi do swojego męża i powiada: „Nie czyń nic złego temu człowiekowi, bo dziś w nocy nacierpiałam się z Jego powodu”. Otóż żona Piłata, wprowadzona tutaj bezimiennie chociaż potem tradycja chrześcijańska nadała jej imię, przychodzi do swojego męża i powiada: „Zostaw Go w spokoju! Nie czyń Mu nic złego, bo dziś w nocy się nacierpiałam z Jego powodu. Miałam złe sny.” Otóż w starożytności, tak jak dzisiaj, przykładano wagę do snów. I zdaje się, że nie bezpodstawnie. Otóż sny mogą mieć w sobie taki ładunek, taki dynamizm, który albo odzwierciedla jakieś niebezpieczeństwo, albo nas ostrzega, albo niesie jakieś inne przesłanie, czasami bardzo radosne. Zdarzają się w naszym życiu czasami sny bardzo dosadne, mocne, wyraziste, kiedy człowiek budzi się i ta granica pomiędzy snem a rzeczywistością zaczyna się zamazywać. Otóż jeżeli żona Piłata miała sny z powodu Jezusa i prosi swojego męża: „Zostaw Go w spokoju, nie czyń Mu nic złego, bo się wiele z Jego powodu nacierpiałam” — i Mateusz o tym wspomina — to widocznie sen, który miała, jakoś tutaj jest włączony w całą tę logikę procesu i działalności Piłata. Późniejsza tradycja mówi, że miała na imię Procula (Prokula?). Czy rzeczywiście było to jej imię, tego nigdy nie będziemy wiedzieć. Ale w ewangeliach apokryficznych — istnieje także ewangelia Piłata — żona Piłata została nazwana Prokula. I te sny, które miała, były zawsze traktowane jako ostrzegawcze. Ewangelia Mateusza dodaje jeszcze jeden szczegół. Że kiedy Piłat próbował uwolnić Jezusa, czyli zastosować procedurę *indulgentio*, o której powiedzieliśmy, uznać Jego niewinność — a więc być może posunął się nawet do procedury *abolitio*, to wtedy zebrany tłum zaczął krzyknąć: „Nie, nie, ukrzyżuj Go!” „Króla waszego mam ukrzyżować?” „Nie mamy króla tylko Cezara” odpowiedział tłum. „To chcecie wziąć za niego odpowiedzialność na siebie? Ja nie jestem winien krwi tego Sprawiedliwego!” Na to tłum zebrany przed Piłatem zawołał — i ten słynny okrzyk, który mrozi krew w żyłach, brzmiał: „Krew Jego na nas i na dzieci nasze”. Otóż ten okrzyk bardzo dobrze pozwala się tłumaczyć na hebraj-

ski, na aramejski, i znaczy: „Bierzemy pełną odpowiedzialność za śmierć tego człowieka”. Wiemy dobrze, że potem przez wieki ten okrzyk był objaśniany przeciwko Żydom, rozumiany przeciwko Żydom, i że z tego powodu nieraz musieli znosić niezwykle trudne chwile czy nawet prześladowania, bo ten okrzyk był brany także przez chrześcijan jako swoiste piętno, które przed Piłatem Żydzi na siebie wzięli.

To jest portret Ewangelisty Mateusza. Portret w Ewangelii Marka, przebieg tych wydarzeń, jest bardzo lakoniczny. Marek poświęca im mało miejsca, a to dlatego, że Marek patrzy na wszystko oczami Piotra. A Piotr przecież przez całe swoje późniejsze życie miał wyrzuty, że o ile Judasz Jezusa zdradził, to Piotr się Go wyparł. I że w związku z tym to, co zrobił Piłat, było i tak lepsze niż to, czego dopuścił się Piotr. Zatem jeżeli chodzi o Ewangelię św. Marka, to ten opis wydarzeń jest bardzo zdawkowy. Warto ze sobą porównać i jeden i drugi.

Jeżeli chodzi o Ewangelię św. Łukasza, to św. Łukasz był z pochodzenia poganinem i pisze swoją Ewangelię dla chrześcijan nawróconych z pogaństwa. I jeżeli chodzi o jego wizerunek Piłata, to jest dość przychylny. Dlatego, że w trzeciej Ewangelii kanonicznej mamy obraz Piłata jako człowieka, który może jest trochę słaby, który się wzbrania, ale który chciałby Jezusa uwolnić. Nie chce tego zrobić, ponieważ Żydzi naciskają, żeby Go ukrzyżować.

My jednak zatrzymamy się nad najdłuższym spośród opisów, mianowicie nad opisem z Ewangelii św. Jana. Dlatego, że Ewangelia św. Jana ukazując nam Piłata porusza się na dwóch płaszczyznach. Ukazuje z jednej strony wydarzenia, które mają związek z Piłatem i z Jezusem. A z drugiej strony — przeżycia, czyli co obaj czują. Przeczytanie pod tym kątem Ewangelii jest to bardzo pouczająca lektura. Bo nam z jednej strony pokazuje to, co się zdarzyło, to, co można obserwować oczami. A z drugiej strony to, co dzieje się we wnętrzu obydwu tych ludzi, których los zetknął ze sobą w centralnym punkcie historii świata, jakim był proces Jezusa. W Ewangelii św. Jana czytamy tak:

Od Kajfasza zaprowadzili Jezusa do pretorium. A było to wczesnym rankiem.

Pretorium znajdowało się na terenie twierdzy Antonia. Wczesny ranek — to jest mniej więcej koło naszej 7 rano, w pół do ósmej, najpóźniej 8 rano. Oczywiście życie w starożytności biegło inaczej, niż dzisiaj, zwłaszcza tam, na Bliskim Wschodzie. My przyzwyczailiśmy się do tego, że szkoła, urzędy, biura, rozpoczynają pracę o 8-iej, że przed ósmą nic, czy niewiele, załatwimy. Natomiast tam, w starożytności, zaczynano pracę prawie tuż po świcie. Więc wczesnym rankiem przyprowadzają Jezusa.

Oni sami

czyli ci, którzy Go przyprowadzili,

jednak nie weszli do pretorium, aby się nie skalać, lecz aby móc spożywać Paschę.

Otóż tego dnia była Pascha, najważniejsze święto żydowskie, upamiętniające wybawienie z Egiptu. Pasha, Pesah — znaczy Przejście. Upamiętnienie przejścia Anioła Bożego, który okazał się dla Egipcjan aniołem śmierci, dla Izraelitów — aniołem wybawienia. Największe doroczne święto. Przepis żydowski kazał, żeby od samego rana unikać kontaktu z obcymi, z gojami, z tym, co nieczyste, ze zwłokami, z padliną. Kiedy to święto Paschy się zaczynało wraz z zachodem słońca, Żyd musiał być do tego święta absolutnie przygotowany. Tak jest po dzień dzisiejszy. Po święcie Paschy następuje święto Przaśników. To jest najważniejszy czas w roku liturgicznym. Więc ci, którzy przyprowadzili Jezusa, nie weszli do pretorium, ale pozostają na zewnątrz.

Dlatego Piłat wyszedł do nich na zewnątrz i rzekł: «Jaką skargę wnosicie przeciwko temu człowiekowi?»

Zwróćmy uwagę że był to jego obowiązek. Pewnie robił to niechętnie dlatego, że tego rodzaju sprawy były zawsze kłopotliwe, i można je było albo krótko zbyć, albo poważnie rozważyć. Otóż jeżeli bierzemy pod uwagę wszystkie te okoliczności, które Ewangelie podają, to zapewne jeszcze zanim przyszedł Jezus, Piłat o Nim trochę wiedział. Ale chyba nie za dużo, tylko bardziej kierował się tymi doraźnymi emocjami czy też doraźnymi wrażeniami.

W odpowiedzi rzekli do niego: «Gdyby to nie był złoczyńca, nie wydalibyśmy Go tobie».

Zwróćmy uwagę, że cały dramat polega na tym, że Żydzi separują się, oddzielają od jednego spośród siebie. Powiadają: „Przyprowadziliśmy Go do ciebie, ponieważ to jest złoczyńca. Gdyby było inaczej, na pewno byśmy tu nie przyszli.” Zatem od samego początku oskarżenie jest bardzo poważne. Od samego początku Piłat jest przyparty do muru ale także od samego początku sugeruje mu się, że właściwie wyrok już zapadł, a jego obowiązkiem jest tylko go potwierdzić.

Piłat więc rzekł do nich: «Weźcie Go wy i osądźcie według swojego prawa!»

Otóż w ten sposób Piłat pozwala zebranim Żydom osądzić tak, jak chcą, ale nie mogliby w tym przypadku skazać Go na śmierć. Mogliby Go skazać na jakąś izolację, ewentualnie na biczowanie, na jakąś inną karę — ale nie mogliby skazać Jezusa na śmierć, bo taki wyrok musiał być zatwierdzony przez niego. I on tego wyroku na razie nie bierze pod uwagę.

Odpowiedzieli mu Żydzi: «Nam nie wolno nikogo zabić».

Przypominają zatem Piłatowi to prawo i sugerują, jakiego rodzaju kara ma czekać tego skazańca. Zwróćmy uwagę, że atmosfera robi się coraz gęstsza. Piłat nie sądził, że przyjdzie mu tego dnia rozstrzygać o życiu albo o śmierci człowieka. Może nam się to wydawać dziwne, bo mamy bardzo mizerne pojęcie o starożytności, ale w starożytności bardzo ceniono ludzkie życie. Dlatego, że ludzi było stosunkowo mało. Oczywiście kiedy wybuchały bunty, powstania, rebelie, wojny, obchodzono się krwawo, czasami obchodzono się okrutnie. Ale w normalnej sytuacji życie było prawdziwą wartością dla Rzymian, dla Greków. Tu ci, którzy przyprowadzili Jezusa, przypierają Piłata do muru.

Tak miało się spełnić słowo Jezusa, w którym zapowiedział, jaką śmiercią miał umrzeć.

Wtedy powtórnie wszedł Piłat do pretorium, a przywoławszy Jezusa rzekł do Niego:

Zwróćmy uwagę — tamta scena działa się przed tłumem, na zewnątrz. Teraz Piłat bierze Jezusa do wnętrza. Chce Go przesłuchać. Otóż to przesłuchanie stanowiło obowiązek Piłata. I posłuchajmy, jak rozwijała się ta przedziwna rozmowa.

«Czy Ty jesteś Królem Żydowskim?» Jezus odpowiedział: «Czy to mówisz od siebie, czy też inni powiedzieli ci o Mnie?» Piłat odparł: «Czy ja jestem Żydem?»

Otóż rozpoczyna się rozmowa, w której Piłat daje poznać Jezusowi to, co o Nim wie. Wie, że uważa się za Króla Żydowskiego. Próbuje więc wyjaśnić tę sprawę. Uważa, że cała sprawa to jest uzurpacja człowieka, który nie jest tym, za kogo się podaje. Ale Piłat traktuje Go poważnie.

«Czy ja jestem Żydem? Naród Twój i arcykapłani wydali mi Ciebie. Coś uczynił?»

Kiedy to czytamy, mamy zupełnie zasadnie obraz człowieka, który chce dociekać prawdy. Chce zrozumieć, skąd się wziął ten potencjał niechęci wobec Jezusa.

Odpowiedział Jezus: «Królestwo moje nie jest z tego świata. Gdyby królestwo moje było z tego świata, słudzy moi biliby się, abym nie został wydany Żydom. Teraz zaś królestwo moje nie jest stąd».

Jezus przenosi tę rozmowę na poziom, którego Piłat prawdopodobnie nie rozumiał. Ale być może w zestawieniu z tym snem jego żony zaczyna coraz bardziej chwytac, że ten dramat rozgrywa się na dwóch poziomach. Nie tylko na poziomie politycznym, uzurpacji, ale także na poziomie religijnym. Piłat na razie nie może pojąć, więc pyta dalej:

Piłat zatem powiedział do Niego: «A więc jesteś królem?» Odpowiedział Jezus: «Tak, jestem królem. Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie. Każdy, kto jest z prawdy, słucha mojego głosu».

Jezus mówi tak, jak mędrzec, jak filozof. Daje Piłatowi do myślenia, że poza tą prawdą tłumem, i poza tą prawdą arcykapłanów, istnieje prawda, która jest Jego prawdą, i prawdą o Nim, o Jezusie, która jest inna od tamtej. Próbuje Jezus zwrócić uwagę Piłata na to, że w gruncie rzeczy oskarżenie, z jakim arcykapłani i inni podburzeni przybyli przeciwko Niemu, że to oskarżenie to jest czczy wymysł, że rzecz rozgrywa się na zupełnie innym poziomie.

Rzekł do Niego Piłat: «Cóż to jest prawda?»

Otóż Piłat myśli, zastanawia się, i bierze Jezusa najprawdopodobniej — ze swojego punktu widzenia — jako swoistego filozofa, jak greccy stoicy, cynicy, epikurejczycy. Piłat był człowiekiem wykształconym i stawia to pytanie, które po dzień dzisiejszy bywa przytaczane: „Cóż to jest prawda?” Otwórzmy telewizor, przeczytajmy gazety, posłuchajmy rozmaitych. Okazuje się, że na jeden i ten sam temat jest ich cała masa. Cóż to jest prawda? — pyta Piłat. Każdy ma swoją prawdę, sugeruje. Wobec tego chce dowiedzieć się więcej.

To powiedziawszy wyszedł powtórnie do Żydów i rzekł do nich: «Ja nie znajduję w Nim żadnej winy. Jest zaś u was zwyczaj, że na Paschę uwalniam wam jednego [więźnia]. Czy zatem chcecie, abym wam uwolnił Króla Żydowskiego?»

Piłat próbuje zastosować procedurę indulgentio. Tzn. nie znalazł winy, to, co Jezus mówi, uważa za swoiste dziwactwo i wobec tego chce, żeby nastąpiło darowanie, ulaskawienie, żeby Jezus po prostu wyszedł stąd wolny. Spodziewał się, że ci, którzy Go przyprowadzili, ucieszą się z tego. Bądź co bądź to był ich rodak. Między Piłatem a Żydami zawsze istniała przepaść, ściana. Spodziewał się, że ta ściana ocali Jezusa. Że w grę wejdzie solidarność.

Oni zaś powtórnie zawołali: «Nie tego, lecz Barabasa!» A Barabasz był zbrodniarzem.

Zwróćmy uwagę, że ta wola tłumu obraca się przeciwko Jezusowi na korzyść zbrodniarza. Tłumem zawsze można kierować. To są socjotechniki, które po dzień dzisiejszy są doskonale opanowane w różnych rejonach świata, na naszych oczach. Wystarczy posłuchać rozmaitych wiadomości, także tych, które dzisiaj napływają. Będziemy słyszeć o tysiącach zgromadzonych ludzi, którzy czegoś chcą. Robi się im koncert, wiec, zachęca, rozmaite sposoby manipulowania. I to samo mamy tutaj. Okazuje się, że ten tłum jest zmanipulowany. Że rzeczy muszą wziąć taki obrót, jak zostało to wyreżyserowane.

Wówczas Piłat wziął Jezusa i kazał Go ubiczować.

Otóż Piłat był sprytny niezwykle i można by paradoksalnie powiedzieć, wrażliwy. Bo myślał sobie tak. Skoro nie udało się zastosować ulaskawienia ani uniewinnienia, ani indulgentio ani abolitio, to być może weźmie zebranych, zgromadzonych na litość. Otóż krew zawsze wzbudza litość, tak przynajmniej powinno być. Kazał Jezusa ubiczować. Rzymianie znali trzy sposoby biczowania. Jeden sposób to było biczowanie różgami. A więc bardzo bolesny ale w gruncie rzeczy, nazwijmy to tak umownie, nieszkodliwy. Bo pobolało, ale jakichś większych szkód nie robiło. Drugi sposób biczowania, to było okładanie kijami. To już poważniejsza sprawa. Ale najgorszy to było biczowanie rzemieniem. Był pejcz, do pejcza były przytwierdzone trzy rzemienie, a na końcu tych rzemieni były albo kości albo ołowiane kulki. I to biczowanie było już okrutne. Biczowano 39 razy — 40 bez jednego. Ale ponieważ ten pejcz miał trzy rozgałęzienia, wobec tego uderzano 13 razy, bo 13 razy 3 odgałęzienia dawało 39 razów. Stąd te skojarzenia z 13-tką sięgają czasów rzymskich właśnie. I tego biczowania bano się jak ognia. Dlatego, że te kości, te metalowe kulki, rozrywały ciało, to było najgorsze. Nieraz sięgało do wnętrzości. To była bardzo surowa i okrutna kara. Bardzo wiele zależało od kata. Jeżeli kat był w złym humorze, albo był sadystą, to biczowanie mogło kończyć się ciężkim kalectwem albo nawet śmiercią. Piłat liczy, że kiedy Jezus zostanie ubiczowany i wyprowadzony z powrotem, to wzbudzi to litość i będzie mógł Go uwolnić. Nie można było tak, to spróbuje inaczej.

A żołnierze upłótszy koronę z cierni, włożyli Mu ją na głowę . . .

Ten „cierń” to albo gałązki akantu, albo też gałązki specjalnej rośliny, która rośnie w Palestynie i przypomina naszą dziką różę. Ma bardzo ostre ciernie i ma takie duże liście. W sumie to mogło wyglądać jak taki wieniec laurowy, ale to oczywiście była kpina, bo żeby się trzymał na głowie, to musiał mieć te kolce. I dalej:

Potem podchodzili do Niego i mówili: «Witaj, Królu Żydowski!» I policzkowali Go. A Piłat ponownie wyszedł na zewnątrz i przemówił do nich:

A więc mamy drugie przemówienie Piłata na zewnątrz w tym pretorium. Powiedział tak:

«Oto wyprowadzam Go do was na zewnątrz, abyście poznali, że ja nie znajduję w Nim żadnej winy». Jezus więc wyszedł na zewnątrz, w koronie cierniowej i płaszczu purpurowym.

Ubiczowany, cierniowa korona, purpura. A więc cały w kolorze krwi. Purpura ma przecież taki kolor. Możemy sobie tylko próbować wyobrazić, bo te wyobrażenia były przedstawiane wielokrotnie.

Piłat rzekł do nich: «Oto Człowiek».

To słynne zawołanie przetłumaczone na łaciń *Ecce Homo*, po grecku: *Iduho Antropos*, Oto Człowiek. Najwyraźniej Piłat apelował do litości. Najwyraźniej liczył na to, że powiedzą: „Dość, to wystarczy”. Tak wygląda człowiek umęczony, sponiewierany, zbity. Otóż to „Oto Człowiek” stało się symbolem każdego poniżenia, każdego okrucieństwa. Czasami możemy widzieć takich udreńczonych, umęczonych ludzi. Mamy już za sobą ponad 60 lat od okropności wojny, ale życie dostarcza wciąż nowych przykładów. I tutaj przykład Jezusa jest też bardzo wymowny.

Gdy Go ujrzeli arcykapłani i słudzy, zawołali: «Ukrzyżuj! Ukrzyżuj!» Rzekł do nich Piłat: «Weźcie Go i sami ukrzyżujcie! Ja bowiem nie znajduję w Nim winy».

Możemy się domyślać, co działo się w sercu tego człowieka. Bardzo różnie go oceniano w dziejach chrześcijaństwa. Jedni mówili: „Tchórz! Skoro miał władzę, żeby puścić Jezusa, żeby Go uwolnić, to powinien sprzeciwić się tłumowi i pójść za sprawiedliwością”. Drudzy mówili, że to, co działo się w jego wnętrzu, to była jakaś straszliwa burza. Zwraca się do tych ludzi i powiada: „Weźcie Go wy i sami ukrzyżujcie! Ja nie znajduję w Nim żadnej winy”. Ewangelista Mateusz powiada, o czym Jan nie mówi, że polecił przynieść misę, miednicę z wodą, a następnie podszedł i umył ręce na znak swojej niewinności, że on nie chce mieć z tym nic wspólnego. To był gest znany wśród Rzymian. Utało się, że umywać ręce to znaczy uciekać od odpowiedzialności. Co działo się w sercu Piłata? Czy rzeczywiście uciekł od odpowiedzialności?

Odpowiedzieli mu Żydzi: «My mamy Prawo, a według Prawa powinien On umrzeć, bo sam siebie uczynił Synem Bożym». Gdy Piłat usłyszał te słowa, uląkł się jeszcze bardziej. Wszedł znów do pretorium i zapytał Jezusa:

To mamy trzecią rozmowę z Jezusem we wnętrzu

«Skąd Ty jesteś?» Jezus jednak nie dał mu odpowiedzi.

Może dlatego, że nie mógł mówić? Ubiczowany, cierniem koronowany, wykpiony, wyśmiany.

Rzekł więc Piłat do Niego: «Nie chcesz mówić ze mną? Czy nie wiesz, że mam władzę uwolnić Ciebie i mam władzę Ciebie ukrzyżować?» Jezus odpowiedział: «Nie miałbyś żadnej władzy nade Mną, gdyby ci jej nie dano z góry. Dlatego większy grzech ma ten, który Mnie wydał tobie». Odtąd Piłat usiłował Go uwolnić. Żydzi jednak zawołali: «Jeżeli Go uwolnisz, nie jesteś przyjacielem Cezara. Każdy, kto się czyni królem, sprzeciwia się Cezarowi».

Z płaszczyzny religijnej oskarżyciele przechodzą na polityczną. I mówią Piłatowi mniej więcej tak. Skoro jesteś przedstawicielem Cezara, powinieneś pilnować interesów Cezara. Jeżeli Go uwolnisz, sprzeciwisz się Cezarowi, i Cezar się o tym dowie. Już my o to zadbamy.

Gdy więc Piłat usłyszał te słowa, wyprowadził Jezusa na zewnątrz i zasiadł na trybunale, na miejscu zwanym Lithostrotos, po hebrajsku Gabbata. Był to dzień Przygotowania Paschy, około godziny szóstej.

Czyli nasze południe. To wszystko, o czym czytamy, trwało ok. 4 - 5 godzin. Te rozmowy, wejścia, wyjścia, refleksja. Cztery – pięć godzin trwały zmagania o los Jezusa. I około szóstej godziny dnia, czyli około południa, Piłat:

I rzekł do Żydów: «Oto król wasz!» A oni krzyczeli: «Precz! Precz! Ukrzyżuj Go!» Piłat rzekł do nich: «Czyż króla waszego mam ukrzyżować?» Odpowiedzieli arcykapłani: «Poza Cezarem nie mamy króla». Wtedy więc wydał Go im, aby Go ukrzyżowano.

Drodzy państwo, nigdy nie będziemy wiedzieli, co działo się w sercu Piłata. Ani wtedy, kiedy Jezusa przesłuchiwał, kiedy z Nim rozmawiał. Ani wtedy, kiedy słyszał okrzyki: „Nie mamy Króla, jeno Cezara”. Czuł się na tyle zastraszony i zmuszony do rezygnacji, że wydał Go im na ukrzyżowanie. Nie potrafimy tej sytuacji, tej sylwetki, tego zachowania w gruncie rzeczy nie można jednoznacznie ocenić. Tchórz, oportunistą — a może człowiekiem, któremu się nie powiodło? W późniejszych ewangeliami apokryficznych mamy wzmianki o Piłacie. Mamy także w Ewangelii kanonicznej. Kiedy Jezus został ukrzyżowany, to przyszedł do Piłata Józef z Arymatei i Nikodem, i poprosili, żeby wydał im ciało. I Piłat się zgodził, żeby ciało skazańca zostało pochowane z honorami. Był tylko zdziwiony, że Jezus już nie żyje. Spodziewał się, że to będzie trwało dłużej, albo być może Jezus wyzwolił się od śmierci. W późniejszej tradycji mówiono, że Piłat, kiedy dobiegła końca jego służba w Jerozolimie, wrócił na Półwysep Apeniński, do Italii, że tam się błąkał, że oszalał, że postradał zmysły. Że ten poranek przeżyty w Jerozolimie wpłynął na jego życie tak dalece, że je całkowicie zmienił. Pojawiają się też wątki, że pod wpływem tego, co się wydarzyło, Piłat się nawrócił i stał się chrześcijaninem. Faktem jest, że wśród ewangelii apokryficznych jest również ewangelia Piłata. W niektórych natomiast kościołach wschodnich Piłat jest czczony jako święty. Mówią bowiem, że przyparty do muru został zmuszony do wydania werdyktu, ale potem stał się gorliwym wyznawcą Jezusa. Nigdy nie będziemy wiedzieli, jak było naprawdę. Tutaj historia jak gdyby zatoczyła koło, wobec której jesteśmy bezsilni.

Tyle o Piłacie w Wielkim Poście. Myślę, że w każdym z nas jest trochę z Piłata i trochę z tych dramatów, które Piłat przeżył. Jak powinien się zachować? Uwolnić? Czy tak, jak się zachował — zachował się lojalnie wobec cesarza — oto pytanie, które do końca świata pozostanie pytaniem dyskutowanym i dyskusyjnym.

Na koniec dwie rzeczy. Na nasze następne spotkanie zapraszam za 3 tygodnie, w drugi poniedziałek kwietnia, 10 IV. Będzie to poniedziałek po Niedzieli Palmowej. Na ten dzień powinna być gotowa książka, której tytuł brzmi: „Bóg, Biblia, Mesjasz”. To jest zapis rozmowy, jaką przeprowadziłem z dwoma redaktorami, p. Rafałem Tichym i p. Grzegorzem Górnym. Zapis rozmowy, który obejmuje ok. 500 stron i podzielony jest na 18 rozdziałów. Pierwsze sześć rozdziałów ma charakter biograficzny. Pokazuje moją drogę z domu rodzinnego do dzisiaj. Pozostałe dwanaście mają charakter problemowy. Czyli rozmawiamy o tym, czym zajmowałem się w studiach biblijnych. Są tam oczywiście także wątki, które dotyczą państwa. Mianowicie dotyczą konferencji biblijnych, działalności itd. Ta książka powinna być gotowa za 3 tygodnie. Myślę, że nie ma lepszych czytelników tej książki, niż państwo. Tak szczerze mówiąc, kiedy rozmawialiśmy, a rozmawialiśmy wiele godzin, kilkanaście razy po kilka godzin, powstał z tego zapis. Potem ten zapis ulepszyliśmy itd. To jest taki swoisty obrachunek najpierw z tą drogą życiową, którą człowiek przeszedł. A druga sprawa to właśnie problemy, którymi się zajmujemy. Myślę, że to może być dla wielu spośród państwa bardzo ciekawa lektura. Staraliśmy się, żeby była napisana językiem przystępnym, takim, jakim tutaj mówimy ze sobą. I można się z niej sporo dowiedzieć. A ponieważ państwo biorą udział w tych konferencjach, będzie to ważne uzupełnienie tego, o czym mówiliśmy. Bóg, Biblia, Mesjasz. Jeżeli ten tom dobrze wyjdzie, to w planach mamy drugi tom, który będzie poświęcony problematyce dialogu. Tamten będzie dużo bardziej dynamiczny. Tam będzie mnóstwo z tego, co się wydarzyło w Polsce pod tym względem w latach 80-tych, 90-tych, 2000-ych itd. Ale tamto dopiero jest w przygotowaniu. Ten jest gotowy, jest w drukarni i za 3 tygodnie powinien być. Mówię to dlatego, że czułem taką wewnętrzną potrzebę, żeby ta książka była. I wcale nie przysłała mi łatwo. Mówiąc tak wewnętrznie, trzeba było jakby przyjrzeć się całemu dotychczasowemu życiu.

Dziękuję bardzo serdecznie i do zobaczenia za 3 tygodnie. Mamy dzisiaj liturgiczne święto św. Józefa — czyli Józefa Ratzingera, kardynała a teraz papieża Benedykta XVI, Józefa Glempa, naszego arcybiskupa, i innych Józefów, których na pewno mamy. I w ich intencji pomódlmy się prosząc Boga o łaski dla nich, i o siłę. Pod twoją obronę ... Pochwalony Jezus Chrystus ... No, to mamy wiosnę!

6 Łazarz (10 kwietnia 2006)

W Imię Ojca i Syna ... Ojciec nasz ... Stolico Mądrości ... A więc raz jeszcze, kolejny raz, tym razem na początku Wielkiego Tygodnia, gromadzi nas wspólne czytanie i wspólna refleksja nad Słowem Bożym, które jest zawarte na kartach Pisma Świętego. Witam państwa bardzo serdecznie, a ponieważ jest to sam początek Wielkiego Tygodnia, zatem dzisiejsza refleksja przygotowuje nas i przyspasabia także na przeżywanie świętego Triduum Paschalnego i najbliższych Świąt Wielkanocnych. Cały czas pamiętamy, że ze względu na różnicę kalendarza tegoroczne Święta Wielkanocne to będą pierwsze Święta od ponad ćwierć wieku bez widocznej obecności Jana Pawła II po tej naszej stronie życia. Będzie to zarazem pierwsza Wielkanoc papieża Benedykta XVI, który wciąż przygotowuje się do odwiedzenia Polski, do tej wizyty duszpasterskiej, którą rozpocznie w Warszawie 25 V, czyli za ok. 1½ miesiąca. My natomiast zatrzymujemy się w ramach naszego cyklu na refleksji nad bohaterami wiary Nowego Testamentu, zatrzymujemy się nad kolejną postacią. Trzy tygodnie temu, na naszym ostatnim spotkaniu, zatrzymaliśmy się nad postacią Piłata. Zwróciliśmy uwagę na okoliczności, które towarzyszyły jego obecności w Jerozolimie, zwróciliśmy uwagę także na ewangeliczny opis tego, co dokonało się między Piłatem a Jezusem. I w sumie to wszystko doprowadziło nas do lepszego zdania sobie sprawy z tego zadziwienia które towarzyszy przysłowiu, jakie istnieje we wszystkich językach europejskich i także w języku polskim. Mianowicie takie przysłowie, które zapewne państwo znają: „Znalazł się” albo „Trafił”, „jak Piłat w Credo”. Otóż proszę zwrócić uwagę, że w naszym Wyznaniu Wiary, w tym Credo, które składamy, właśnie wzmiankujemy Piłata: „Umęczony pod Poncjuszem Piłatem”. Otóż to spotkanie Piłata z Jezusem zaowocowało tym, że Piłat na stałe wszedł do historii chrześcijaństwa, a przez to samo także do człowieczej historii. Mówiliśmy więc o Piłacie.

Dzisiaj, na progu Wielkiego Tygodnia, chciałbym wziąć z państwem tekst o bohaterze, o którym mówi Ewangelia dość dużo. Natomiast który ma to do siebie, że nie wypowiedział ani jednego słowa. W Ewangelii nie zachowało się nic z tego, co on mógłby powiedzieć do Jezusa, chociaż z Jezusem się spotykał, ani żadne jego słowo, które moglibyśmy rozbudować w jakąś szerszą rozmowę choćby po to, by poznać jego charakter. Znamy tego człowieka tylko z opisu, jak gdyby z trzeciej ręki. Występuje on cały czas w Ewangeliach biernie. Mowa jest o nim przede wszystkim w Ewangelii św. Jana, tam jest wspomniany. Znamy go bardzo dobrze i zapewne zwróciliśmy uwagę na to, że to jest taki bohater, który nic nie powiedział, a mimo to go znamy. Otóż przedmiotem naszej refleksji dzisiaj będzie więc Łazarz i wskrzeszenie Łazarza.

Myślę, że bardzo dobry to tekst na dzisiejszy dzień dlatego, że wskrzeszenie Łazarza nastąpiło na krótko przed pojmaniem, przed męką i przed śmiercią Jezusa Chrystusa. Wskrzeszenie Łazarza stanowiło jeden z najważniejszych cudów, jeden z najważniejszych znaków, jakich dokonał Zbawiciel. I wskrzeszeniu Łazarza święty Jan Ewangelista poświęca większość jedenastego rozdziału swojej Ewangelii. Do tego stopnia, że kiedy słuchamy ewangelicznego epizodu, ewangelicznego opisu wskrzeszenia Łazarza, to on czytany w kościele jest jednym z najdłuższych tekstów ewangelicznych, które tak integralnie biorąc od początku do końca są czytane. I trwa to trochę czasu zanim lektor, czytający kapłan do końca tego tekstu i zanim usłyszymy o rozwiązaniu się tej akcji, zapoczątkowanej na początku 11 rozdziału. Zatem przejdźmy do tego tekstu, jest bowiem niezwykle tak, jak niezwykle wyłania się z niego obraz Łazarza, i dojdziemy do konkluzji, która zawsze mi się nasuwa. A szczególnie wtedy, kiedy mając możliwość przebywania w Ziemi Świętej udajemy się do Betanii. A w Betanii, na wschodnich przedmieściach Jerozolimy, jest sanktuarium Wskrzeszenia Łazarza. I podczas każdej pielgrzymki właśnie w tym sanktuarium rozważamy ten tekst i przychodzi mi do głowy refleksja, którą pod koniec chciałbym także z państwem się podzielić. Ewangelista mówi tak:

Był pewien chory, Łazarz z Betanii, z miejscowości Marii i jej siostry Marty.

Otóż to jedno zdanie mówi bardzo wiele. Ono przede wszystkim wzmiankuje dwie siostry Łazarza, Marię i Martę, o których przedtem w Ewangelii św. Jana nie było w ogóle ani słowa. Z tego wniosek, że autor czwartej Ewangelii kanonicznej, św. Jan, zna pozostałe Ewangelie, które powstały jako wcześniejsze. Na pewno zna Ewangelię św. Łukasza, w której wzmiankowana była

Maria i Marta. Daje zatem poznać swoim czytelnikom i słuchaczom, pisząc tę Ewangelię w ostatnich dziesięcioleciach I wieku, że całe orędzie o Jezusie Chrystusie czerpiemy, czy pochodzi ono, ze wszystkich czterech Ewangelii kanonicznych. Zakłada, że czytelnicy czy słuchacze tego właśnie fragmentu znają już Marię i Martę, a teraz dowiedzą się o ich bracie Łazarzu. Ta trójka to bardzo interesująca rodzina. Zwróćmy uwagę na to, że wszyscy troje są bezżenni i nieżonaci. Ponieważ mamy bardzo często taką pokusę, żeby pojmować starożytnie rodziny żydowskie na nasz dzisiejszy sposób, to być może przychodzi nam do głowy, że Maria, Marta i Łazarz to były osoby dorosłe. Nic z tych rzeczy! Otóż w starożytności w rodzinach żydowskich był obowiązek zamążpójścia dziewcząt i żenienia się mężczyzn. Taką granicą, mówiliśmy o tym kilkakrotnie przy innych okazjach, dla mężczyzn był 30-ty rok życia. Do 30-go roku życia mężczyzna musiał się ożenić. Jeżeli był oporny albo nie chciał, to obowiązkiem najbliższej rodziny było zadbać, aby go do tego przymusić. Nawet jeżeli specjalnie do kobiet pociągu nie czuł, to musiał być związany z jakąś kobietą i nie pytano go o zdanie w tej materii. Można by się domyślać z rozmaitych tekstów starożytnych nawet tego, że jeżeli sam — bo zdarzały się i takie sytuacje, życie jest bogate w rozmaite niespodzianki — nie chciał mieć dzieci, to obowiązkiem najbliższej rodziny było zadbać, żeby je jednak miał. I wtedy, kiedy one przychodziły na świat, nikt go nie pytał czy jest ich ojcem. Dlatego, że dziecko zrodzone z jego żony było traktowane jako jego dziecko. Zatem pod tym względem w starożytności nie było takich zwyczajów czy takiego nastawienia, jakie bywa w dzisiejszym świecie. Z tego wniosek, że Łazarz był mężczyzną gdzieś dwudziestoparoletnim. Czy bliżej lat 20, czy bliżej lat 30, tego nigdy nie będziemy wiedzieli. Od ożenku w wieku 30 lat był zwolniona tylko jedna, bardzo wąska kategoria ludzi. Mianowicie ci, którzy zajmowali się wyjaśnianiem Prawa, to znaczy najznakomitsi nauczyciele Tory. Takim również był Jezus. Proszę zwrócić uwagę, że kiedy Jezus osiągnął lat 30, to wtedy wystąpił i rozpoczął publiczne nauczanie. Był to ten ostateczny termin w którym, gdyby było inaczej, to musiałby po prostu zgodnie ze zwyczajami swojego narodu założyć rodzinę. Nie zrobił tego i poszedł w tym kierunku tej bardzo wąskiej grupy mężczyzn, którzy zajęci studiowaniem Prawa, wykładaniem Praw dBożych i objaśnianiem tych Prawd, byli zwolnieni od ożenku.

Zatem i obie dziewczyny, o których tutaj mowa, Maria i Marta, to są właśnie dziewczyny. Dziewczyna miała obowiązek wyjść za mąż do 18 - 20 roku życia. Jeżeli była starsza i nie wychodziła za mąż, wtedy czyniono wszystko, żeby stało się to jak najszybciej. Zazwyczaj do 24 roku życia wszystkie dziewczyny były już mężatkami. Oczywiście jesteśmy w krajach śródziemnomorskich, gdzie rozwijanie się i dojrzewanie wygląda trochę inaczej niż u nas. Możemy zatem wnioskować, że Maria i Marta miały po kilkanaście lat. Kto wie, 16, 17, 18, do dwudziestu. Mamy zatem do czynienia z sytuacją, w której jest kawaler i dwie panny. Taki dom, który i w starożytności, i dzisiaj, zdarza się. Wszyscy są ludźmi młodymi. Proszę zwróćmy uwagę, że Łazarz, o którym tutaj mowa, był chory. Nie potrafimy powiedzieć na co Łazarz chorował. Musiała to jednak być choroba bardzo ciężka, skoro wkrótce umarł. Dodajmy do tego jeszcze również i to, że hebrajskim odpowiednikiem polskiego imienia Łazarz jest imię *El Azar*. Gdybyśmy chcieli zastosować kanony hebrajskiej mowy, to on miał na imię *El Azar*. Potem przez grekę i łacinę jako *Lazaros*, a później po polsku jako *Łazarz*.

Mamy więc troje rodzeństwa. Tych troje rodzeństwa powinno być znane czytelnikom Pisma Świętego, zakłada św. Jan dlatego, że już wcześniej zostali wspomniani w Ewangelii św. Łukasza. Ewangelista dodaje tak:

Maria zaś była tą, która namaściła Pana olejkami i włosami swoimi otarła Jego nogi.

Otóż o Marii rzeczywiście czytamy w Ewangelii św. Łukasza, trzeciej Ewangelii kanonicznej, tej, która kobietom poświęca najwięcej uwagi, że Maria będąc tam w Betanii na uczcie, na której był także Jezus, na przyjęciu, na takiej uroczystej kolacji, przebywała tam razem ze swoją siostrą i ze swoim bratem. Ewangelista wyraźnie mówi, że na przyjęciu był także Łazarz — ale nie wiemy co powiedział, ani jednego słowa. Nie wiemy, czy w ogóle rozmawiał. A może Łazarz był niemową? Może na tym polegała jego choroba, i nie tylko na tym, nie potrafimy tego rozstrzygnąć. Otóż Maria miała ze sobą flakonik drogocennego olejku nardowego. To był olejek pozyskiwany ze specjalnej rośliny, nardu, którą sprowadzano do Ziemi Świętej aż z okolicy dzisiejszego Pakistanu i Indii. Później mamy ten epizod z Judaszem, który powiada: „Dlaczego ona to wylała na Jezusa? Czy nie lepiej było sprzedać to i wziąć 300 denarów?” Otóż 300 denarów to była roczna pensja, bo płacono

denara za dzień. Więc mogą państwo wyliczyć, jak drogie są te olejki, skoro potrzeba było pracować na nie dwanaście miesięcy. Gdybyśmy przerzucali na dzisiejsze czasy, to byłoby dobre parę tysięcy złotych, mając na uwadze zupełnie średnie zarobki. Maria wylała ten olejek na głowę i nogi Jezusa i własnym włosami wycierała ten olejek z nóg Zbawiciela. A kiedy inni byli zgorszani i pytali: „Czy On nie wie, kim ona jest?” to odpowiedział, że „Biednych zawsze mieć będziecie wśród siebie, ale Mnie nie zawsze. Bo ona namaszcza Mnie na pogrzeb.” Otóż to taki bardzo wzruszający epizod i Ewangelista zakłada, że my ten epizod znamy.

Wiemy też, że Maria i Marta to były dwa różne charaktery. Jedna bardziej czynna, druga znacznie spokojniejsza i wsłuchana w słowa Zbawiciela. Tą czynną, pracującą, krzątającą się, była Marta. Tą spokojną, bardziej kontemplacyjną, była Maria. Czytamy dalej:

Jej to brat Łazarz chorował.

A więc ów Eleazar chorował.

Siostry zatem posłały do Niego wiadomość: «Panie, oto choruje ten, którego Ty kochasz».

Jezus przebywa z daleka od Betanii, o której tutaj czytamy. Betania leży na wschodnich przedmieściach Jerozolimy. Dzisiaj po arabsku nazywa się *Al Lazarija*. Lazarija — rozpoznajemy tutaj rdzeń od Łazarza, *Łazarzowo* po polsku. Dzisiejsza nazwa arabska Betanii brzmi Łazarzowo. Otóż ciągle w Betanii, po nasze czasy, żywa jest pamięć tego wskrzeszenia Łazarza. Nazwa została urobiona od tego epizodu. W czasach Jezusa osada nosiła nazwę Betania, po hebrajsku *Bet Ananija* czyli *Dom Ananiasza*. Gdybyśmy chcieli to streścić po polsku, to było by *Ananiaszowo*, tak jak mamy Józefowo, Wiktorowo, Józefów, Ignaców, Izabelin czy inne nazwy urobione od imion. Najprawdopodobniej to była posiadłość jakiegoś Ananiasza, ten ród Ananiasza tam dominował, i być może do tego rodu należał również Łazarz. Siostry posyłają po Jezusa, proszą, żeby przybył do Betanii, bo przebywa bardziej na wschód, mniej więcej 25 - 30 km na wschód, w okolicy Jerycha. I proszą, żeby przybył, bo ich brat choruje. Nazywają go „przyjacielem Jezusa”, nawet więcej: „choruje ten, którego Ty miłujesz”. Słowo „miłujesz” można również przetłumaczyć: „choruje ten, z którym Ty się przyjaźnisz”, „choruje Twój przyjaciel”, „choruje ktoś Ci bliski”. Skoro wysyłają do Jezusa taką wiadomość, to oczywiście liczą się z tym, że Jezus może w tej sytuacji coś działać. Jesteśmy już pod sam koniec publicznej działalności Jezusa. Jezus znany był z tego, że dokonywał wielu cudów. Zatem obie siostry spodziewają się, że i w tej dramatycznej sytuacji Jezus przyjdzie z pomocą i wybawi Łazarza – Eleazara z choroby.

Jezus usłyszawszy to rzekł: «Choroba ta nie zmierza ku śmierci, ale ku chwale Bożej, aby dzięki niej Syn Boży został otoczony chwałą».

Otóż Jezus już wie i przewiduje więcej, niż dwie siostry sobie życzą. One proszą, żeby Łazarza uzdrowił. Jezus wie, że ostatecznym celem Jego interwencji będzie życie Łazarza, ale w inny sposób, niż to one sobie wyobrażają. Jezus daje poznać, że to, co się będzie działo z Łazarzem, to jest wielki znak mocy Bożej, która zostanie ujawniona dzięki Jezusowi, w Jezusie, i przez Jezusa. Pamiętajmy, że to będzie ostatni cud Jezusa przed Jego pojmaniem, przed Jego męką i przed Jego śmiercią. Jezus pokaże – a my zwrócimy uwagę na czym polega różnica między uzdrowieniem Łazarza, a jego wskrzeszeniem – Jezus okaże swą moc i pokaże, że Bóg jest Panem Życia.

A Jezus miłował Martę i jej siostrę, i Łazarza.

W języku hebrajskim słowa „miłować”, „nienawidzić” to bardzo mocne słowa. Natomiast po polsku, kiedy to tłumaczymy, to znaczy „przyjaźń”, to znaczy „niechęć”. Mamy przecież takie powiedzenie: „Kto nienawidzi swojego życia traci(? JP) je itd.” Otóż język hebrajski jest bardzo dosadny, bardzo mocny, bardzo konkretny. I tu na pewno między Jezusem a tą trójką rodzeństwa były bardzo silne więzi, które dzisiaj nazwalibyśmy więziami przyjaźni, więziami zaufania. Przecież Jezus zmierzając do Jerozolimy wiele razy zatrzymywał się w Betanii.

Mimo jednak że słyszał o jego chorobie, zatrzymał się przez dwa dni w miejscu pobytu.

Oczywiście to zachowanie jest niezwykle. Jezus dowiaduje się, że przyjaciel jest ciężko chory, ale nie rusza się z miejsca. Zwróćmy uwagę, że najbardziej dawało to do myślenia Apostołom. Przecież oni byli z Jezusem i na pewno zdawali sobie sprawę, że dzieje się coś niezwykłego. Może dla niejednego z nich był to powód do zwątpienia? Może inny sądził, że tak przyjaźń zostaje wystawiona na próbę? Może jeszcze inny przynaglał Jezusa, aby jednak poszedł, udał się do Betanii? O tych dwóch dniach nic nie wiemy, a przecież dwa dni to bardzo dużo.

Dopiero potem powiedział do swoich uczniów: «Chodźmy znów do Judei!»

Przebywali bowiem za Jordanem, na terenie dzisiejszej Jordanii. bardzo blisko Jerycha, 25 - 28 km od Jerozolimy, ale to już nie była Judea.

Rzekli do Niego uczniowie: «Rabbi, dopiero co Żydzi usiłowali Cię ukamienować i znów tam idziesz?»

Otóż rzeczywiście parę dni wcześniej, kiedy Jezus był na terenie świątyni jerozolimskiej i kiedy patrząc na te kamienie, na świetność tej świątyni, powiedział: „Zburzcie tę świątynię, a ja w trzy dni ją odbuduję» — ale miał na myśli Świątynię Swojego Ciała”, to porwano na Niego kamienie i mówiono: „Za kogo Ty się masz?” A On mówił: „Jestem większy niż Abraham”. A oni do Niego: „Pięćdziesięciu lat jeszcze nie masz, a Abrahama widziałeś?” Otóż był bardzo silny konflikt. Tak nawiasem mówiąc to Żydzi ówcześni, patrzący na Jezusa, mieli powody do tego, aby w takiej krytycznej sytuacji wątpić. Jezus czyni znaki, naucza. Ale jednocześnie Jego nauka jest czymś bardzo osobliwym. Chciano Go ukamienować — Jezus bezpiecznie z Jerozolimy wyszedł. I teraz Apostołowie mówią: „Znów tam wracasz? Przecież dopiero co chciano Cię ukamienować?” To słowo *Żydzi* występuje tu w Ewangelii, która jest napisana po grecku, w formie *Judajom*. Można je przetłumaczyć na język polski także *Judejczycy* czyli *mieszkańcy Judei* — Jerozolima była stolicą Judei. A więc: „Chcieli Cię ukamienować, a Ty znowu tam idziesz?”

Jezus im odpowiedział: «Czyż dzień nie liczy dwunastu godzin?»

Otóż dzień w Ziemi Świętej rozpoczyna się mniej więcej o 6 rano i kończy się koło 6 wieczór. Nie ma takich dużych wahań długości dnia, jak u nas — zimą robi się ciemno już o 3, a widno dopiero o 8 rano, czyli dzień trwa właściwie $6\frac{1}{2}$, 7 godzin. W Ziemi Świętej nie ma aż tak ogromnych wahań. One są, dzień jest dłuższy i krótszy, ale średnio to jest mniej więcej 12 godzin. Jezus powiada im tak: „Czyż w życiu nie ma spraw oczywistych? Tak jak dzień liczy 12 godzin, tak i dla was pewne rzeczy powinny być oczywiste.” Otóż to, co się stanie — sugeruje Jezus — jest jakąś oczywistością, którą Apostołowie powinni dostrzegać, rozumieć i przyjąć. Nie mogą się dziwić, że teraz wracają do Jerozolimy. Nie mogą się dziwić, że Jezus wraca tam, gdzie grozi Mu niebezpieczeństwo. Bo On tego niebezpieczeństwa nie uniknie, od tego niebezpieczeństwa nie ucieknie. I Jezus w nawiązaniu do tego przysłowia „Czyż dzień nie liczy dwunastu godzin?” dodaje:

Jeżeli ktoś chodzi za dnia, nie potknie się, ponieważ widzi światło tego świata. Jeżeli jednak ktoś chodzi w nocy, potknie się, ponieważ brak mu światła».

Jezus mówi jak gdyby: Są rzeczy, które rozumiemy. I skoro rozumiemy, to powinniśmy za nimi pójść, je wykonywać. Są inne rzeczy, których nie chcemy zrozumieć, dostrzec. I wtedy jesteśmy tak jak ci, którzy chodzą w mroku. Otóż trzeba starać się rozpoznawać to, co wokół nas się dzieje, i należycie oceniać to, żeby mieć jasne rozeznanie, jasną ocenę o tym, co nas otacza, i o nas samych. Jezus daje poznać, że wkrótce wydarzy się coś bardzo ważnego. Że Apostołowie będą świadkami tego wydarzenia, i że powinni z tego wyciągnąć wnioski.

To powiedział, a następnie rzekł do nich: «Łazarz, przyjaciel nasz, zasnął, lecz idę, aby go obudzić». Uczniowie rzekli do Niego: «Panie, jeżeli zasnął, to wyzdrowieje».

Otóż sen jest zawsze znakiem albo zdrowia, albo zdrowienia. Człowiek bardzo ciężko chory nie śpi. Może popadać w letarg, w gorączkę, jakieś urojenia, majaczenia. Ale człowiek bardzo ciężko chory spać nie może. Powiadają do Jezusa: „Skoro usnął, to wyzdrowieje”.

Jezus jednak mówił o jego śmierci, a im się wydawało, że mówi o zwyczajnym śnie.

Otóż sen jest obrazem śmierci. Tak było w starożytności, tak również jest dzisiaj. Jezus mówi: „Łazarz zasnął” tak samo, jak my piszemy w nekrologach że „ktoś zasnął w Panu”, „świętej pamięci zasnął w Panu”. Jezus też posłużył się tą właśnie symboliką snu. A Apostołowie rozumieją to jako zwyczajny sen. Następuje pewne nieporozumienie między Jezusem a Apostołami, ale nieporozumienie z którego jedno widać. To mianowicie, że Łazarz naprawdę umarł. I Jezus o tym wie. Wie zanim przybył do Betanii. Otóż Jezus ma wiedzę o tym, co wydarzyło się w Betanii z jego przyjacielem i udaje się do Betanii dopiero wtedy, kiedy wie — nie na skutek tego, że się dowiedział od kogoś, bo nikt Mu jeszcze nie powiedział — ale wie, że Łazarz nie żyje. Daje poznać Apostołom, że już wie o tym, co się wydarzyło w Betanii, chociaż Apostołowie na razie tego nie pojmują.

Wtedy Jezus powiedział im otwarcie: «Łazarz umarł, ale raduję się, że Mnie tam nie było, ze względu na was, abyście uwierzyli».

Zwróćmy uwagę — bo to bardzo ważne, żeby ten epizod zrozumieć. Wskreszenie Łazarza odbyło się ze względu na uczniów Jezusa. Ze względu na tych, którzy byli najbliżej Niego. Ileż cudów, ileż znaków Jezus dokonał tylko z myślą o nich. Jeden z najbardziej znanych to oczywiście Przemienienie na górze Tabor. Wziął ze sobą Piotra, Jakuba i Jana i ukazał im się, odmienił się, ukazał im rąbek swojej chwały. A kiedy zeszli na dół, to mówił: „Przyjdzie czas, że Syn Człowieczy zostanie wydany w ręce ludzi, zostanie pojmany, będzie wyszydzony, wykpiony, umrze.” Piotr wtedy zwraca się do Niego i powiada: „Nie przyjdzie to nigdy na Ciebie!” I teraz też, na kilka dni przed swoim pojmaniem, Jezus bierze swoich uczniów i już wcześniej daje im poznać niezwykłość całej sytuacji. Robi to po to, żeby pamiętali. Zwróćmy uwagę, że doraźnie ta pedagogia nie powiodła się. Oni pouciekali, oni zdradzili, oni się Go wyparli. Nie było ich pod krzyżem, z wyjątkiem Jana, który to opisuje. Ale w dłuższej perspektywie pamięć o tym wydarzeniu została zapisana na kartach Ewangelii. Otóż tak jest z rzeczami ważnymi. One nieraz bywają dla nas bardzo dolegliwe, to, co przeżywamy w życiu. Ale z czasowej perspektywy poznajemy w nich obecność Pana Boga który sprawił, że to, co było trudne, staje się znakiem Jego bliskości i miłosierdzia. Jezus mówi:

... raduję się, że Mnie tam nie było, ze względu na was, abyście uwierzyli. Lecz chodźmy do niego!» Na to Tomasz, zwany Didymos, rzekł do współuczniów: «Chodźmy także i my, aby razem z Nim umrzeć».

Zaczynamy coraz bardziej odczuwać atmosferę Wielkiego Tygodnia. Widać, że zwłaszcza po ostatnim pobycie w Jerozolimie, podczas którego Jezus miał być ukamienowany za bluźnierstwo. Otóż po tym nastroje zradyzowały się tak dalece, że Apostołowie zaczynają się bać. Jeden z nich, Tomasz, powiada: „Chodźmy i my, aby razem z Nim umrzeć”. Otóż zdają sobie sprawę, że atmosfera robi się coraz gęstsza wokół Jezusa. Rzeczywiście także inne Ewangelie wskazują nam, że te ostatnie dni to dni nieustannych intryg, plotek, obmowy, knucia rozmaitych podstępów, których celem ma być po prostu zabicie Jezusa. Możemy zatem wyobrazić sobie, w jakich nastrojach wracają, udają się w stronę Jerozolimy. Idą do Betanii, i zadają sobie pytanie: „Po co, skoro Łazarz umarł?”

Kiedy Jezus tam przybył, zastał Łazarza już do czterech dni spoczywającego w grobie.

Nam te cztery dni nie mówią nic. Natomiast one, czytane z żydowskiego punktu widzenia, są bardzo ważne. Niestety pod wieczór muszę dotknąć spraw, które nie są specjalnie miłe czy przyjemne. Ale dla pełnego zrozumienia tekstu musimy o nich powiedzieć. W starożytności, podobnie jak aż do czasów współczesnych, w rozmaitych miejscach zdarzało się, i to wcale nie rzadko, że człowiek robił wrażenie zmarłego, a mimo to żył. Albo popadał a jakiś rodzaj — nie wiem jak to z medycznego punktu widzenia nazwać — odętwnienia, letargu. I w krajach śródziemnomorskich nie

były to przypadki jakieś bardzo rzadkie, nie były to przypadki sporadyczne. Wiemy, że dzisiaj, z nim kogokolwiek pochowamy, musimy mieć świadectwo zgonu. To dokładnie temu służy. Nie tylko są aktem metrykalnym, ale lekarz ma obowiązek stwierdzić zgon człowieka. A więc być pewnym, że nie grzebiemy kogoś żywego. Mamy także w historii Polski znane, słynne przypadki — jeden czy dwa — o których się mówi i mówią historycy, osób znanych i sławnych, które zostały pogrzebane wcale nie po swojej śmierci. Dlatego w kulturze żydowskiej było tak, że przez pierwsze trzy dni po złożeniu do grobu najbliżsi mieli obowiązek udawać się do grobu, najbliżsi mężczyźni, i doświadczyć, zobaczyć, przekonać się, że na pewno człowiek złożony do grobu nie żyje. Przepraszam, że o tym mówię, bo nie są to na wieczór sprawy specjalnie widowiskowe i miłe, ale ta wzmianka o czterech dniach jest bardzo ważna. Pamiętajmy też, że nie grzebano tak, jak w naszych czasach to się robi, w naszym klimacie i w naszej ojczyźnie — do ziemi. Tylko groby były w specjalnych skałach, były pieczary. Tam robiono takie jak gdyby siedzenia, jak nasze ławki, i na nich układano ciała zmarłych. Nie było oczywiście również trumien, tylko owijano ciało prześcieradłami, zwłaszcza lnianymi tkaninami, i tak ono do grobu było składane. I przez pierwsze trzy dni najbliższa rodzina, mężczyźni, mieli obowiązek zajrzeć do grobu. Czy przypadkiem nie dzieje się coś, co by cały pogrzeb odwróciło. W Talmudzie, który jest świętą księgą Żydów, jest taki traktat *Sikkot*, po polsku to brzmi *Radości* — ale nazwa jest po to, żeby nie przerażać. Bo w gruncie rzeczy w tym traktacie *Sikkot* są określone rozmaite zwyczaje grzebalne, rozmaite obowiązki związane z pogrzebem. I dopiero po trzech dniach tak na dobre tego nieboszczyka już traktowano jako absolutnie zmarłego. Dlatego mamy tutaj cztery dni. Podkreślone, że na czwarty dzień Jezus przybywa do Betanii, żeby nam wykluczyć — proszę zauważyć, że dla chrześcijańskiego czytelnika jest to niewidoczne, natomiast dla żydowskiego czytelnika jest to jasne, a realia są przecież żydowskie — że z całą pewnością nie mamy do czynienia z jakimś rodzajem letargu, odrętwienia, śmierci klinicznej i tym podobnymi zjawiskami. Że na pewno Łazarz umarł. Na to jest mocny nacisk w tych „czterech dniach”. Ten nacisk pojawi się jeszcze za chwilę, w innym kontekście, o czym za moment. Ale tutaj też jest bardzo ważny.

Betania była oddalona od Jerozolimy około piętnastu stadiów

Piętnaście stadiów to jest ok. 3.5 – 4 km. I to się doskonale zgadza, bo tak Betania jest oddalona od Jerozolimy, i oczywiście po dzień dzisiejszy.

i wielu Żydów przybyło przedtem do Marty i Marii, aby je pocieszyć po bracie.

Raz jeszcze nawiązujemy do zwyczajów żydowskich. U Żydów po dzień dzisiejszy obowiązkiem człowieka, któremu zmarł ktoś bliski, jest tzw. *Sziwa*. Nazwa *Sziwa* pochodzi od hebrajskiego *szewa* to znaczy *siedem*. *Sziwa* można przetłumaczyć na polski jako *siedmiodniówka*, *tygodniówka*. Otóż ta *Sziwa* dotyczy zwłaszcza kobiet. Jeżeli umrze ojciec, matka, mąż, syn, brat, córka – ktoś bliski, najbliższy – to kobiety, do dzisiaj tak jest w ortodoksyjnych rodzinach żydowskich, mają zakaz wychodzenia z domu. W ogóle na podwórko to mogą wyjść, ale nie mogą chodzić po mieście, czy po osiedlu. Mają przebywać w domu. Mają specjalnie określone przepisy typu np. że mają siedzieć na bardzo niskich stołkach. Mają tylko do minimum się myć, tyle, co jest konieczne. Nie mogą zabiegać o urodę w tym czasie. Nie mogą jakoś wykwintnie jeść. Muszą wstrzymać się przed śmiechem, przed żartami i przed objawami okazywania w jakikolwiek sposób frywolności, i przez te siedem dni jest czas żałoby. Mężczyźni, pamiętajmy, przez trzy dni chodzą do grobu, potem zwolnieni są z tego obowiązku. Natomiast do kobiet przychodzą żałobnicy, którzy – powiedzielibyśmy dzisiejszym językiem – składają kondolencje i wspominają zmarłego czy zmarłą. Opowiadają o niej, wspominają o życiu, o tym, czego dobrego dokonała. Tylko o dobrych rzeczach można mówić, o złych — wcale. Chwałą. Wszystko to ma ogromną wartość terapeutyczną. Ponieważ utrata kogoś bliskiego to jest zawsze bardzo ciężka rzecz, ciężka sprawa, to trzeba tego bliskiego oplakać, trzeba go pożegnać, trzeba go wspominać. Do tego stopnia, że po tygodniu człowiek już jakoś odreagował i wchodzi do tego zwyczajnego świata. To dotyczy, proszę zwrócić uwagę, zwłaszcza kobiet dlatego, że kobiety są dużo bardziej wrażliwe. Oni to doskonale wiedzą. Mężczyźni jakoś to tłumią w sobie, gaszą. Kobieta musi się wypowiedzieć, ma charakter bardziej społeczny. To znaczy potrzebuje obecności innych ludzi. Ci inni przychodzą, pocieszają, podtrzymują na duchu, wspominają — to jest ta tzw. *Sziwa*.

To samo odbywa się w rodzinach arabskich. To jest bardzo znaczący zwyczaj i dlatego, ponieważ mają takie zwyczaje, to nie muszą korzystać z porad psychologów ani psychiatrów. Bo te wszystkie zwyczaje mają to do siebie, że pozwalają człowiekowi wylać swój żal, swoje przywiązanie, swoją tęsknotę, swoją miłość. Pozwalają również na odczucie solidarności, braterstwa, miłości innych ludzi. I tutaj mamy do czynienia z tą sytuacją, o której właśnie opowiadamy. Mianowicie „wielu Żydów przybyło przedtem do Marty i Marii, aby je pocieszyć po bracie”. To były dwie młode dziewczyny. Nie potrafimy powiedzieć, czy ich rodzice żyli. Być może rodzice już na tym etapie nie żyli, skoro o rodzicach nie ma ani jednego słowa. Było więc takie młode rodzeństwo, młoda rodzina — i z tego zostały tylko dwie siostry. I te dwie siostry doznają wsparcia ze strony bliskich. Dzisiaj wiemy, że tworzone są całe zespoły takiego wsparcia psychologicznego, duchowego. I tu mamy dokładnie te same mechanizmy.

Kiedy zaś Marta dowiedziała się, że Jezus nadchodzi, wyszła Mu na spotkanie. Maria zaś siedziała w domu.

A więc ta bardziej czynna wychodzi z domu. Nam wydaje się to sprawą oczywistą. Ale czy państwo pamiętają o czym mówiliśmy przed chwilą? Że przez siedem dni kobieta, dziewczyna również, nie powinna wychodzić z domu. Powinna siedzieć w domu albo być w najbliższym otoczeniu tego domu, tylko tyle mogła. Marta przełamuje te konwencje, ten zwyczaj, ten obyczaj. Dokonuje czegoś, co było niezwykle — mianowicie wychodzi z domu na spotkanie Jezusa. Nie czeka, aż Jezus przyjdzie do niej, ale wychodzi, wręcz wybiega. Zatem, można by powiedzieć, łamie ten uświęcony tradycją żałobny zwyczaj. Naraża się w ten sposób na rozmaite plotki, domysły. Doskonale wiemy, że część z tych plotek mogła wiązać ją np. z nadmiernym przywiązaniem do Jezusa itd. Doskonale wiemy, że w tak małej miejscowości mówiono: Zobaczcie, brat umarł. Dopiero czwarty dzień, a ta wyszła z domu! Popatrzmy, jeżeli znamy realia to nawet najprostszy szczegół, o którym mówi ewangelista, nabiera zupełnie innego znaczenia. My nie jesteśmy w takim świecie, jak nasz. W starożytności dziewczęta nie chodziły same — nie wolno było. W świecie semickim po dzień dzisiejszy dziewczyna nie może chodzić sama. U Żydów czy u Arabów musi mieć zawsze koleżankę, albo brata, albo ojca, albo matkę, albo ciotkę. A więc zawsze musi być w czymś towarzystwie, nie może być sama. Marta wychodzi sama! Pamiętamy, że ona była tą czynną, która się krzątała. Najprawdopodobniej miała taki żywy charakter. Ale najwidoczniej też była bardziej wyzwolona od tych zwyczajów, które obowiązywały ówczesne kobiety.

Marta rzekła do Jezusa: «Panie, gdybyś tu był, mój brat by nie umarł.

W tych słowach jest jakiś żal, jakiś wyrzut, a może nadzieja? Stwierdza to, co było. Mianowicie: gdybyś tu przyszedł, to by żył. A więc dlaczego nie przyszedłeś? Dlaczego Cię tu nie było? Czy na tym polega przyjaźń, żeby w chwili próby być nieobecnym? I dodaje Marta natychmiast:

Lecz i teraz wiem, że Bóg da Ci wszystko, o cokolwiek byś prosił Boga».

Zwróćmy uwagę na te dwie dziewczyny, Marię i Martę. Pamiętajmy, że nieco wcześniej Marta krzątała się wokół rozmaitych posług, a Maria siedziała i słuchała Jezusa. I Jezus pochwalił Marię, a do Marty powiedział: Marto, Marto, troszczysz się i niepokoisz, a potrzeba mało albo tylko jednego. Maria obrała lepszą część». Ale to teraz ta, która jest — powiedzielibyśmy dzisiejszym językiem obiegowym — kręcona, to ona wychodzi do Jezusa i to ona wyznaje swoją wiarę. Podczas gdy tamta, która kontemplowała, pozostała nadal w domu. Zwróćmy uwagę na te rozmaite ludzkie charaktery. Czasami oceniamy ludzi po zachowaniu i zawsze wiadomo, że ci, którzy są spokojniejsi, są traktowani również z pewnym spokojem, bo nie przysparzają kłopotów. A ci, którzy są bardziej ruchliwi, mają to do siebie, że mają też więcej kłopotów bo są zawsze postrzegani inaczej. Ale tu, ten epizod nam wykazuje, że Marta, ta ruchliwa, zapracowana, potrafi jednocześnie wyznać w tym krytycznym momencie wiarę w niezwykłą moc Jezusa. Kiedy patrzymy na ludzi czasami w naszych rodzinach, czasami na naszych domowników, to przecież te sytuacje mogą się powtarzać. Mamy do czynienia z takimi Mariami i Martami, które są zupełnie podobne, a są to cechy, które dotyczą i dziewcząt i chłopców.

Rzekł do niej Jezus: «Brat twój zmartwychwstanie». Rzekła Marta do Niego: «Wiem, że zmartwychwstanie w czasie zmartwychwstania w dniu ostatecznym». Rzekł do niej Jezus: «Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie.

To słowo „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem” jest niesłychanie ważne. Ja musiałem sobie na karteczce zrobić małą notatkę, która jest bardzo istotna dla zrozumienia Ewangelii św. Jana. W Ewangelii św. Jana występuje siedem razy zdanie *Ja jestem*, a po nim — dopowiedzenie. Zaraz podam te dopowiedzenia. Otóż to słowo *Ja jestem* po grecku, bo Ewangelia św. Jana jest napisana po grecku, brzmi *Ego ejmi*. I ono jest odpowiednikiem hebrajskiego *Jahwe — Etje asze Elohim* . . . , *Jahwe — Imię Pana, Boga*. Przypomnijmy sobie epizod z Mojżeszem na Synaju. Mojżesz powołany do tego, by wyprowadzić Izraelitów, pyta Boga: „Jakie jest Twoje Imię?” W odpowiedzi słyszy: „Moje Imię jest: Elo ??? — Jahwe”, po polsku: „Ja Jestem”. Mówiliśmy o tym kilka razy — Imieniem Boga jest Jego obecność: „Jestem z tobą”, „Jestem dla ciebie”, „Jestem przy tobie”. Podczas tego spotkania z Martą Jezus jeszcze raz objaśnia jej swoją tożsamość. Mówi „Ja jestem” w nawiązaniu do tego objawienia się Boga na Synaju. „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem”. Wskazuje, że Jego tożsamość jest boska, i że przymiotem tej boskości jest zmartwychwstanie i życie. Wspominałem, że siedem razy na kartach Ewangelii Jezus mówi o sobie. Mówi tak:

- Ja jestem chlebem życia — to w mowie eucharystycznej w Kafarnaum,
- Ja jestem światłością świata — to w mowie arcykapłańskiej do swoich uczniów,
- Ja jestem bramą — tak zwraca się do słuchaczy żydowskich ukazując im, że jest jedynym pośrednikiem i drogą do Boga,
- Ja jestem dobrym pasterzem — zwraca się tak do uczniów,
- Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem — to właśnie w tym miejscu, piąty raz,
- Ja jestem drogą, prawdą i życiem,
- Ja jestem krzewem winnym.

Można by zrobić cykl rocznych konferencji comiesięcznych zatrzymując się nad każdym „Ja jestem” i rozwinąć na ich podstawie to, co moglibyśmy uznać za fundamenty chrystologii św. Jana czyli jego pojmowania Jezusa. A jednocześnie jako znaki samoświadomości Jezusa, kim On jest. Raz jeszcze to przeczytam, bo to nie tylko piękne, ale dla dojrzałego chrześcijanina bardzo ważne.

- | | |
|---------------------------------|---|
| 1. Ja jestem chlebem życia | 5. Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem |
| 2. Ja jestem światłością świata | 6. Ja jestem drogą, prawdą i życiem, |
| 3. Ja jestem bramą | 7. Ja jestem krzewem winnym. |
| 4. Ja jestem dobrym pasterzem | |

W tych siedmiu określeniach Zbawiciel przedstawia siebie. Siedem — to jest znak pełni, doskonałości. Pamiętając państwo nasze spotkanie kilka dobrych miesięcy temu, podczas którego rozważaliśmy homilie Ojca Świętego Benedykta XVI nad trumną Jana Pawła II. Powiedzieliśmy, że w homilii pogrzebowej papież Benedykt użył siedem razy słów „Pójdź za Mną” na wzór tych siedmiu razy w Ewangelii św. Jana. Papież Benedykt żyje bardzo głęboko Pismem Świętym. To człowiek, którego rozumienie Biblii jest zupełnie niezwykle. A my słuchajmy dalej:

Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki. Wierzysz w to?»

zwraca się tak do Marty. A Marta:

Odpowiedziała Mu: «Tak, Panie! Ja mocno wierzę, żeś Ty jest Mesjasz, Syn Boży, który miał przyjść na świat».

Ta dziewczyna, która cztery dni wcześniej straciła brata, wyznaje wiarę w mesjańską godność Jezusa. Pomiędzy nimi nawiązuje się dialog, który moglibyśmy nazwać dialogiem najgłębszego zawierzenia. Jezus słyszy od niej słowa, które do tej pory wypowiedział o Nim tylko Piotr. Ale Piotr na co dzień oglądał życie Jezusa, a Marta jeszcze nie widziała cudu. Zwróćmy uwagę, że wiara Marty jest silniejsza niż wiara Piotra, bo jest bardziej spontaniczna, pochodzi z serca.

Gdy to powiedziała, odeszła i przywołała po kryjomu swoją siostrę, mówiąc: «Nauczyciel jest i woła cię». Skoro zaś tamta to usłyszała, wstała szybko i udała się do Niego.

Nie wiemy jak daleko przebywał od domu. Ale pamiętamy, że ciągle była ta Siwa, ta siedmiodniówka, ta żaloba.

Jezus zaś nie przybył jeszcze do wsi, lecz był wciąż w tym miejscu, gdzie Marta wysłała Mu na spotkanie. Żydzi, którzy byli z nią w domu i pocieszali ją, widząc, że Maria szybko wstała i wyszła, udali się za nią, przekonani, że idzie do grobu, aby tam płakać.

Wejść do grobu już nie mogła, bo po trzech dniach grób był definitywnie zastawiany kamieniem. Ale że poszła tam płakać po starcie brata.

A gdy Maria przyszła do miejsca, gdzie był Jezus, ujrawszy Go upadła Mu do nóg i rzekła do Niego: «Panie, gdybyś tu był, mój brat by nie umarł».

Wcześniej to samo powiedziała Marta. Teraz powtarza to Maria. Jedna i druga daje poznać Jezusowi, że powinien był odpowiedzieć na ich prośbę i przyjść, by uzdrowić Łazarza.

Gdy więc Jezus ujrzał jak płakała ona i Żydzi, którzy razem z nią przyszli, wzruszył się w duchu, rozrzewnił i zapytał: «Gdzieście go położyli?» Odpowiedzieli Mu: «Panie, chodź i zobacz!». Jezus zapłakał.

Dwa razy w Ewangeliach Jezus płacze. Raz po śmierci Łazarza, i raz nad Jerozolimą, nad jej losem, zapowiadając jej zburzenie. Dlaczego Jezus zapłakał, skoro za kilka chwil miał wskrzesić Łazarza? Dlatego, że śmierć, kiedy już nastąpiła, jest czymś tak silnym, tak nieodwracalnym, zerwaniem więzi z człowiekiem, że płacz wydaje się jedynym rozsądnym wyjściem, które pozwala człowiekowi się wypowiedzieć. Śmierć, odejście kogoś bliskiego, rozrywa wszystkie więzi. Najgorsze w śmierci jest uświadomienie sobie, że człowiek, którego to dotknęło, już nigdy nie wróci. Ja myślę, że każdy z państwa dorosłych ma za sobą to doświadczenie, kiedy któregoś dnia uświadamiamy sobie, że ta tęsknota czy nasze oczekiwanie nigdy się nie spełni. Otóż najbardziej znamieną dla śmierci jest jej nieodwracalność. I to właśnie ta nieodwracalność jest powodem, że Jezus płacze po śmierci swojego przyjaciela.

A Żydzi rzekli: «Oto jak go miłował!» Niektórzy z nich powiedzieli: «Czy Ten, który otworzył oczy niewidomemu, nie mógł sprawić, by on nie umarł?» A Jezus ponownie, okazując głębokie wzruszenie, przyszedł do grobu. Była to pieczara, a na niej spoczywał kamień.

Kamień był taki okrągły, jak żarna młyńskie. I kamień był zataczany. Przychodzili silni mężczyźni, odtaczali go i zataczali. Do dzisiaj w Jerozolimie, w okolicy Jerozolimy, zachowało się wiele takich grobów z czasów Chrystusa, z takimi zataczanymi kamieniami. Nie inny był również grób, do którego wkrótce złożono ciało Jezusa.

Jezus rzekł: «Usuńcie kamień!»

Dosłownie trzeba było by: «Odtoczcie kamień!»

Siostra zmarłego, Marta, rzekła do Niego: «Panie, już cuchnie.

Marta zawsze jest dużo praktyczniejsza — nazywa rzeczy po imieniu, nazywa rzeczy takimi, jakie są. Drugi raz mamy silne podkreślenie, że Łazarz na pewno umarł. To nie jest śmierć kliniczna, to nie jest letarg, to nie jest coś, co mogło się wydarzyć raz na pięć milionów — to jest śmierć, potwierdzona przez te trzy dni, które minęły, i potwierdzona przez to, co mówi Marta. Otóż na Bliskim Wschodzie rozkład ciała następuje bardzo szybko. Jest obowiązek, żeby je pogrzebać w dniu śmierci.

Leży bowiem od czterech dni w grobie». Jezus rzekł do niej: «Czyż nie powiedziałem ci, że jeśli uwierzysz, ujrzysz chwałę Bożą?» Usunięto więc kamień. Jezus wznosił oczy do góry i rzekł:

To wzniesienie oczu do góry też jest ważne. Kiedy Żydzi modlą się prosząc Boga, otwierają szeroko oczy i patrzą w niebo. Kiedy chrześcijanie modlą się prosząc Boga, przymykają oczy, żeby się skupić. Chrześcijanin szuka Boga jakby w sobie, Żyd szuka Boga jakby w niebie, z szeroko otwartymi oczami. A więc i tu mamy taką modlitwę żydowską.

Jezus wznosił oczy do góry i rzekł: «Ojcze, dziękuję Ci, żeś mnie wysłuchał. Ja wiedziałem, że mnie zawsze wysłuchujesz. Ale ze względu na otaczający Mnie lud to powiedziałem, aby uwierzyli, żeś Ty Mnie posłał».

Ten cud, który ma się dokonać, ma objawić mesjańską i boską godność Jezusa. Jezus dziękuje swojemu Ojcu, że oto dokona się to, co się stanie po to, aby pobudzić wiarę.

To powiedziawszy zawołał donośnym głosem: «Łazarzu, wyjdź na zewnątrz!» I wyszedł zmarły, mając nogi i ręce powiązane opaskami, a twarz jego była zawinięta chustą. Rzekł do nich Jezus: «Rozwiążcie go i pozwólcie mu chodzić!».

Nie wiemy, kto był tym śmiałkiem, który podszedł do Łazarza by go rozwiązywać. Nie wiemy jaka była reakcja tłumu. Możemy sobie tylko próbować wyobrazić to, co się stało. Ale skutek był taki, że wielu spośród Żydów przybyłych do Marty ujrawszy to, czego Jezus dokonał, uwierzyło w Niego. Odpowiedzią była wiara.

Co w tym wszystkim jest dziwne? Oczywiście dziwne jest samo wskrzeszenie, przedziwne. Ale co jeszcze jest dziwne? Nie znamy w ogóle reakcji Łazarza! Nie potrafimy powiedzieć, czy się ucieszył, że wrócił do tego życia. Czy dziękował Jezusowi? A może przestał się z Nim przyjaźnić? Przecież Łazarz musiał w jakiejś przyszłości, mniej czy bardziej odległej, umrzeć jeszcze raz. On został przywołany do tego życia, wrócił do tego życia, został wskrzeszony. Wiedział co znaczy lęk przed śmiercią, obawa śmierci, przechodzenie przez śmierć — i miał żyć. Czy państwo zauważyli, że nie ma go na drodze krzyżowej, nie ma go pod krzyżem Jezusa, nie ma go w Wieczerniku, gdzie zbierali się pierwsi wyznawcy Jezusa, nie ma go wśród pierwszych chrześcijan. Nie ma go w Jerozolimie nigdy później, nie słyszymy o Łazarzu. W jednym tylko miejscu Ewangelista zaznacza, że kiedy żydowscy arcykapłani postanowili zabić Jezusa, to chcieli również zabić Łazarza, który był świadkiem, uczestnikiem tego cudu. Ale najwyraźniej chyba tak się nie stało. Czy Łazarz wyszedł z Betanii? Może już nie mógł mieszkać z tymi, którzy znali go jako żywego, oplakali, przeżyli pogrzeb? Może musiał wynieść się ze swojej miejscowości gdzie indziej? W tradycji prawosławnej przedstawia się Łazarza zawsze jako chudego, bladego i smutnego. Przedstawia się go jako takiego już po wskrzeszeniu. A jest tak dlatego, ponieważ prawosławni uważają, że człowiek, który przeszedł przez śmierć, już nie ma czego szukać w tym życiu. Że to, czego doświadczył, sprawia, że to życie doczesne przestaje mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. To trochę tak, jak człowiek dotknięty ciężką chorobą raptem swoje życie ogląda w zupełnie nowym świetle. Łazarz więc jest i pozostaje tajemnicą, zagadką. Nie wiemy, jakie było jego dalsze życie. Powstało wiele apokryfów, w których próbowano je rekonstruować, ale to wszystko bajki, to wszystko legendy. Nowy Testament na ten temat milczy. Jedno jest pewne. To mianowicie, że Łazarz wrócił do tego życia, a kilka dni później umęczony i zamordowany Jezus zmartwychwstał do nowego życia. Zmartwychwstanie to coś zupełnie innego niż wskrzeszenie.

Za kilka dni mamy święta Zmartwychwstania Pańskiego. Na te święta życzę wszystkim państwu wszystkiego co dobre, co błogosławione, co święte, co wzniosłe. Życzę, żeby święta były radosne, pogodne, dobre, w rodzinach i także dla państwa. Zgodnie z tym, co mówiłem 3 tygodnie temu, dzisiaj mogą państwo nabyć książkę której tytuł brzmi „Bóg, Biblia, Mesjasz”. Pierwsze egzemplarze dojechały dosłownie godzinę temu. Dobrych, radosnych, błogosławionych Świąt! Chwała Ojcu ... Na następne spotkanie zapraszam na trzeci poniedziałek maja, 15 V, czyli Zofii.

7 Kardynał Stefan Wyszyński jako ojciec dwóch papieży (15 maja 2006)

W imię Ojca, ... Ojciec nasz ... Stolico Mądrości ... Bardzo serdecznie państwa witam majowo, bo to miesiąc zupełnie wyjątkowy i powoli zbliżamy się do końca tegorocznego cyklu naszych konferencji. Ta dzisiejsza będzie miała szczególny charakter ze względu na szczególny czas w jakim jesteśmy właśnie teraz, w jakim się znajdujemy. Myślę że większość z państwa domyśla się, że ten szczególny czas wymaga od nas wyjątkowej refleksji. Dlatego od postaci biblijnych przeniesiemy się w czasy nam współczesne po to, aby powiązać naszą refleksję, naszą obecność tutaj na tych katechezach biblijnych z tym, czego jesteśmy świadkami i uczestnikami. Domyślamy się, że oczywiście najważniejszym wydarzeniem jest zbliżająca się pielgrzymka Ojca Świętego Benedykta XVI, która nastąpi za 1½ tygodnia. Jest też tegoroczny maj miesiącem, w którym obchodzimy 25 lat od śmierci Sługi Bożego Stefana kardynała Wyszyńskiego. Ta rocznica będzie przypadła za niecałe dwa tygodnie. W tym roku to wypada w niedzielę, 28 maja. I chciałbym zwrócić uwagę na tę rocznicę, także na postać kardynała Stefana Wyszyńskiego, dlatego, że 28 maja będziemy żegnać na naszej ziemi Benedykta XVI, i oczywiście oczy wszystkich będą zwrócone na papieża. I te 25 lat od śmierci kardynała Wyszyńskiego może tak czy inaczej przejść trochę niezauważone.

Otóż chciałbym nadać dzisiejszej naszej refleksji tytuł, który później w trakcie tej godziny, która nas czeka, bardzo chciałbym uzasadnić, mianowicie: *Kardynał Stefan Wyszyński jako ojciec dwóch papieży*. Chciałbym żebyśmy wspólnie zastanowili się, oddając hołd wielkiemu Prymasowi Tysiąclecia, najpierw nad sensem, nad znaczeniem, nad okolicznościami słów Jana Pawła II, że „nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego papieża Polaka, gdyby nie kardynał Stefan Wyszyński”. I drugi człon tej samej refleksji ma związek z tym. Mianowicie: nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego papieża Niemca, gdyby nie Jan Paweł II. Więc pontyfikat Benedykta XVI jest możliwy dzięki pontyfikatowi Jana Pawła II. Pontyfikat Jana Pawła II stał się możliwy dzięki ofercie życia, bohaterstwu, heroicznosci, wierze, nadziei, kardynała Stefana Wyszyńskiego. Tak więc ten jeden człowiek, wielki Prymas Tysiąclecia, zrodził niejako dwóch kolejnych papieży. Ci z państwa, którzy mieli czas i siły zajrzeć do książki, którą państwo nabyli pięć tygodni temu, dobrze wiedzą, że mój stosunek do kardynała Stefana Wyszyńskiego jest absolutnie wyjątkowy. Wyjątkowy z bardzo wielu powodów. Dlatego uważam, że spośród różnych okoliczności są także osobiste powody, by w 25 lat po jego śmierci raz jeszcze przypomnieć jego sylwetkę, i raz jeszcze wskazać na człowieka, bez którego dzieje Polski potoczyłyby się zupełnie inaczej. Chciałbym, żeby to był również hołd od nas wszystkich wobec tej wielkiej postaci — zwłaszcza teraz w tych dniach i w przyszłym tygodniu, kiedy oczy całego świata będą zwrócone na Polskę, i będą też zwrócone na obecność tutaj u nas Benedykta XVI. Myślę też, że kiedy za 1½ tygodnia papież z Niemiec uklęknie w Warszawie przy grobie prymasa Wyszyńskiego, to z całą pewnością będzie miał także i te myśli, część tych myśli, które dzisiaj chcielibyśmy wyrazić. Niech państwo bowiem zwrócą uwagę na ten symboliczny znak, swoisty cud, który jakoś był obecny w życiu kardynała Stefana Wyszyńskiego, a dzisiaj spełnia się przez to, że do Warszawy, tak mocno udręczonej i umęczonej przez Niemców, tak mocno przez nich upokorzonej, wyniszczonej i dotkniętej śmiercią, przybywa papież Niemiec, którego będziemy witać i z wdzięcznością, i ze czcią, jaka przystoi Namiestnikowi Chrystusowemu. To, co się stało między II wojną światową a tą wizytą Benedykta XVI, to wszystko było możliwe dzięki posłudze biskupiej i prymasowskiej kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Spróbujmy go zatem jakby wydobyć nieco z niepamięci. Wiem, że znaczna część państwa zna rozmaite daty, fakty, wydarzenia dlatego, że już kiedyś mówiliśmy na temat kardynała Stefana Wyszyńskiego. Ostatnio też były rozmaite sposobności, by o nim parę słów powiedzieć. I muszę państwu również dodać, że tam, gdzie jestem, gdzie obracam się, także wśród biskupów czy wobec księdza prymasa, tam bardzo mocno podkreślam aby w tej sytuacji, jaka jest obecnie, postać, osoba kardynała Stefana Wyszyńskiego były głośniejsze przypominane.

Kardynał Wyszyński urodził się w r. 1901. Urodził się jako syn organisty, urodził się w Zuzeli. Kilka lat temu zorganizowaliśmy taką małą pielgrzymkę, pielgrzymkę stąd, z Parafii Zwiastowania Pańskiego, do Zuzeli. Być może są osoby, które wtedy były. Państwo pamiętają, że to było bardzo wzruszające, zachowała się bowiem jeszcze do dzisiejszego dnia organistówka, dom rodzinny, w którym Stefan Wyszyński się urodził. Oczywiście kościół naprzeciwko, tam ojciec był organistą.

To był jeszcze czas zaborów. To nie jest daleko od Warszawy, ale jednak już na granicy Mazowsza i Podlasia. Być może są wśród państwa osoby, które tam się udadzą. Można tam sobie pojechać samochodem, np. w weekend, poprosić kogoś z rodziny, zobaczyć te miejsce naznaczone urodzeniem i dzieciństwem małego Stefana. Miejscowość położona jest nad Bugiem, w pobliżu rzeki. I bardzo często wspominał Stefan, później już biskup i kardynał, że ten widok rzeki, którą przepływały rozmaite barki, którą spławiano drewno, zawsze wywoływały w nim takie ogromne wrażenie jakichś dalekich podróży i przybyszów z dalekich stron. I ta rzeka zawsze go porywała.

Ale tam było tylko jego dzieciństwo. Wkrótce matka go osierociła, ojciec ożenił się drugi raz. Oczywiście więzy z tą drugą matką nie były bardzo silne, aczkolwiek zawsze był bardzo lojalny. Natomiast trzeba było zmienić posadę organisty – ojciec wyprowadził się z Zuzeli i dla Stefana nastąpiły dość trudne czasy. Pamiętamy, że w 1914 r. wybuchła I wojna światowa i właśnie jego dorastanie przypadło na czas wojny. Nie ma wśród nas nikogo, kto by I wojnę światową pamiętał, znamy ją tylko z historii, z podręczników. I wtedy, podobnie jak podczas II wojny światowej, przez Polskę kolejno przewalały się rozmaite wojska. I w tym okresie doświadczył wrogości zarówno od strony Rosjan – mówił dobrze po rosyjsku, jak i później, będąc już w gimnazjum w Łomży, doświadczył podobnej wrogości ze strony Niemców. Pośród wspomnień, które zachowały się z życia kardynała Wyszyńskiego jako dorastającego chłopca, jest wspomnienie o jego obecności w Drozdowie, to jest miejscowość pod Łomżą. Tam ćwiczyli się nie tylko sportowo, ale po części paramilitarnie. I tam przy jakiejś okazji doświadczył bardzo silnej wrogości ze strony Niemców.

Zdecydowany był zostać kapłanem, wstąpił więc do seminarium duchownego we Włocławku. Tam przygotowywał się do święceń kapłańskich, i pierwszym poważnym wstrząsem, który wydarzył się w jego życiu a który trzeba opowiedzieć jego własnym słowami, to był wstrząs związany ze święceniami kapłańskimi. Mianowicie święcenia kapłańskie diakona Stefana Wyszyńskiego były przewidziane na 3 VII 1924 r. Przygotowywał się do nich bardzo solidnie ale okazało się, że w jego życiu nastąpiło coś, czego w ogóle nie przewidywał. Mianowicie znacznie później, w 1964 r., przebywając u siostr zakonnych w Stryszawie, powiedział do siostr takie słowa:

Święcenia kapłańskie otrzymałem z rąk biskupa Owczarka, gruźlika, w kaplicy M. B. Częstochowskiej w bazylice katedralnej włocławskiej. Byłem święcony sam. Moi koledzy 29 czerwca poszli na święcenia, a ja — do szpitala. Tam ledwo uszedłem śmierci. W czasie moich święceń modliłem się, bym mógł być kapłanem przynajmniej jeden rok. Gdy przyszedłem do katedry po święcenia, stary zakrystianin powiedział do mnie: «Proszę księdza, z takim zdrowiem to chyba raczej trzeba iść na cmentarz, a nie po święcenia». Tak wszystko się układało, że tylko miłosierne oczy Matki Najświętszej patrzyły na ten dziwny obrzęd, który miał miejsce, gdy wygodnie mi było leżeć i bałem się chwili, kiedy już będę musiał wstać — bo nie wiedziałem, czy utrzymam się na nogach.

Oto własne słowa późniejszego kardynała i Prymasa Tysiąclecia. Święcenia przyjął sam, bo 29 VI grupa jego kolegów przyjęła je wspólnie, natomiast on musiał czekać. Dodajmy do tego jeszcze jeden tragiczny moment. Z tych kolegów, wyświęconych razem ze Stefanem Wyszyńskim, połowa została zamordowana przez Niemców. Połowa z nich w okresie II wojny światowej zginęła. Taka była danina krwi, jaką płacili polscy duchowni, zwłaszcza na tamtych terenach diecezji płockiej, włocławskiej, pelplińskiej, czyli dawnym pograniczu polsko - niemieckim czy polsko - pruskim. Połowa przypłaciła wojnę życiem. On otrzymał święcenia 3 VIII zupełnie sam. Dwa dni później sprawował mszę świętą prymicyjną na Jasnej Górze, w Częstochowie, dokąd udał się ze swoją ciotką. Dlatego, że nie miał już bliższej rodziny. Żył jeszcze ojciec, ale miał swoje obowiązki. Zachowały się do dzisiaj — znajdują się w Muzeum Jana Pawła II, które powstaje w Warszawie — dwa obrazki prymicyjne z prymicji, które nigdy się nie odbyły. Mianowicie obrazki z datą 6 VII i mszą św., która miała być sprawowana we Wrociszewie. Ale do tej mszy św. prymicyjnej nie doszło. Po prostu obrazki się zachowały szczęśliwie, natomiast nic z tych świętych obrzędów nie było.

Tak młody ksiądz Stefan Wyszyński trafił do katedry włocławskiej. Był przy katedrze dlatego, że sądzono że jest bardzo słabego zdrowia, i właściwie czekano na jego śmierć. Przez kilka miesięcy doszedł do siebie — chorował na gruźlicę — wydobrzał, i wkrótce otrzymał skierowanie na studia do Lublina na Katolicki Uniwersytet Lubelski. Studiował katolicką naukę społeczną, która wtedy była bardzo potrzebna, ale była także ryzykowna. To był koniec lat dwudziestych, początek lat

trzydziestych, w sąsiedniej Rosji bolszewickiej rozwijał się komunizm. Zatem wszelkie życie społeczne było traktowane jako komunizowanie. Uważano, że bogaci powinni trzymać się razem i nie pozwolić biednym na jakiegokolwiek rewolucyjny ruch, bo to by do Polski przeszczepiło rewolucję bolszewicką, która działa się w sąsiednim Związku Radzieckim. Ksiądz Wyszyński był człowiekiem o ogromnej społecznej wrażliwości. Zapamiętano go z tego do naszych czasów, gdzie na terenie diecezji włocławskiej zachowuje się żywa pamięć o tym, do jakiego stopnia potrafił współczuć ludziom, pomagać ludziom, pomagać młodzieży, pomagać na wsi. I zachowało się też wspomnienie, o którym kiedyś państwu mówiłem, które jest bardzo znaczące. Mianowicie odbywało się takie przyjęcie na plebanii – wszystko to przed wojną – kiedy to proboszcz zaprosił miejscowego dziedzica. Ten dziedzic zaprosił jeszcze innych swoich przyjaciół i a znany był z tego, że bardzo surowo odnosił się do miejscowej ludności, bardzo ich wykorzystywał. I przy obiedzie po niedzielnej mszy św. nawiązała się rozmowa na temat studiów, które odbywał właśnie ksiądz Stefan Wyszyński. Dość zgryźliwie dogryzano mu, że studiuje rzeczy, które są niebezpieczne. Bo jeżeli biedni, czyli chłopci, wezmą sobie do serca takie nauki, to skończy się tym, że bogaci będą musieli pozostawić swoje dwory i uciekać. I wtedy ksiądz Stefan Wyszyński, słuchając tych wszystkich uszczypliwych słów, zwrócił się do dziedzica: „Przyjdzie niedługo czas, że sami je zostawicie i stąd pójdziecie. Jeżeli tego nie zrobicie, to inni wam pomogą. Jak najszybciej trzeba okazywać dobroć i miłosierdzie tym, którzy tego potrzebują.” Zatem taka postawa nie przysparzała mu wyłącznie przyjaciół. Jednak był bardzo ceniony i mianowano go redaktorem naczelnym takiego pisma dla kapłanów, które wychodzi po dzień dzisiejszy i nazywa się „Ateneum kapłańskie”. Zachował się zbiór artykułów z tego czasopisma, drukowany w latach trzydziestych, który poświadcza ogromną wrażliwość na sprawy społeczne. Właściwie kiedy się czyta te artykuły dzisiaj, po 70 latach, to one nie straciły nic z aktualności, gdy tylko ma się na względzie nowy kontekst.

Zrobił więc doktorat z katolickiej nauki społecznej, był doktorem tej dyscypliny, i wybuchła II wojna światowa. Księża na terenach nadwiślańskich byli bardzo prześladowani. On również otrzymał poufną wiadomość, że musi się chronić dlatego, że interesują się nim hitlerowcy. Wyłapywano wszystkich kapłanów, którzy byli wykształceni, i gromadzono ich początkowo w obozach przejściowych a potem przewożono do Dachau. W Dachau znalazło się wielu kolegów, bliskich, znajomych księdza Wyszyńskiego. M.in. ksiądz Franciszek Mączyński który później, przez całe lata, był rektorem Papieskiego Instytutu Polskiego w Rzymie i oczywiście bliskim przyjacielem, kolegą kardynała Stefana Wyszyńskiego. Stefanowi Wyszyńskiemu udało się uniknąć tego losu, ukrył się gdzieś na plebanii, pracował na parafii jako niepozorny ksiądz. Natomiast kiedy wojna zaczęła przechylać się na korzyść aliantów, i kiedy coraz bardziej było widać, że jej kres się zbliża, to ksiądz dr Stefan Wyszyński przyjechał do Puszczy Kampinoskiej i tutaj został zaprzysiężony jako kapelan Armii Krajowej. Otrzymał stopień wojskowy podporucznika i posługiwał na skraju Puszczy Kampinoskiej zarówno partyzantom jak i ludności cywilnej, a także siostrom w Laskach, pełniąc swoje obowiązki tak, jak winien je pełnić kapelan wojskowy. Właśnie wtedy, w 1944 r., gdy wybuchło Powstanie Warszawskie, on bardzo je przeżywał. Wśród pierwszych myśli było to, żeby udać się do Warszawy. Ale to się okazało i niemożliwe, i niepotrzebne, i bezcelowe. Dlatego to mordowanie Warszawy przeżywał z Lasek. Dwa wspomnienia zachowały się w pamięci tych, którzy go dobrze znali i często z nim rozmawiali. Otóż pewnego dnia Warszawa płonęła. Płonęła już we wrześniu, i z początkiem października 1944 przez wiele dni. Były dość silne wiatry, wspominał ks. Stefan Wyszyński. I pewnego dnia te wiatry znad Warszawy przynosiły do Lasek swąd pożarów, kiedy to się czuło, że miasto ginie. I on wyszedł i patrzył w stronę Warszawy pod wieczór, były takie łuny pożarów, i modlił się. I patrząc na to wszystko myślał o tym co się dzieje, o Panu Bogu, o ludziach, o Niemcach, o Polakach. Dochodziły wiadomości o rannych, na przykład opatrywał rannego żołnierza, którego do niego przyniesiono, bardzo ciężko rannego powstańca warszawskiego. To był młody chłopak — wiele razy o tym wspominał — który miał dziewczynę, z którą miał się pobrać i bardzo chciał żyć. Do tego stopnia chciał żyć, że rany, które otrzymał, były śmiertelne, lekarze nie dawali mu żadnych szans — ale on siłą woli, siłą życia, nie dopuszczał do siebie myśli o jakiegokolwiek śmierci. Kiedy coraz bardziej słabł, to przyniesiono go do Stefana Wyszyńskiego żeby udzielił mu rozgrzeszenia i ostatnich sakramentów. Chłopak zaczął się skarżyć i prosił, że chce żyć. I prymas Wyszyński zapewniał go, że Pan Bóg zwróci mu wszystko, i dziewczynę, i życie, musi Mu tylko zaufać. I ten młody chłopak przełamał się w tym znaczeniu, że przygotował się do tej śmierci, która nastąpiła

tego samego dnia w obecności księdza Stefana Wyszyńskiego. Zawsze bardzo mocno wspominał tego chłopaka i zawsze dodawał: ilu było takich, którzy podobnie odchodzili, w podobnych mękach, i z podobną siłą życia.

Wtedy to bardzo ukochał Warszawę. Nie był jeszcze jej mieszkańcem, ale widział jej martyrologię. Gdy pewnego dnia stał i patrzył w stronę Warszawy, spośród rozmaitych przynoszonych przez wiatr rzeczy zobaczył kartki, jakieś resztki palonej biblioteki czy domu mieszkalnego. Wiatr niósł to wszystko, to było popalone, resztki tylko, strzępy kartek. I jedna z takich kartek upadła mu pod nogami. On podniósł tę kartkę i przeczytał jej treść. Rozpoznał na niej słowa:

Będziesz miłował

Te słowa stały się od tej pory dewizą jego posługi, powracały bardzo często w jego nauczaniu, w jego skojarzeniach, w jego myśleniu, owo „Będziesz miłował”. To przykazanie miłości wobec tych aktów nienawiści, tej niechęci — i to właśnie umocniło w nim tę patriotyczną postawę, która od tej pory była w kardynale Stefanie Wyszyńskim stale.

I jeszcze jedno wspomnienie z tamtego okresu, także bardzo ważne. Bardzo ważne teraz, kiedy będzie tam Benedykt XVI. Kiedy Powstanie się skończyło, mniej więcej w początkach października 1944 r. można było przedostać się do Warszawy, żeby obsłużyć najbardziej potrzebujących. Trwały deportacje ludności, niszczenie, pożary, palenia, rabunek. Ukraińcy już zrobili swoje, przeczesana została Ochota, cała reszta miasta. I Stefan Wyszyński szedł Krakowskim Przedmieściem, doszedł do kościoła Św. Krzyża. I widział zwaloną figurę Chrystusa z tym krzyżem — zachowało się zdjęcie tego momentu — i stanął naprzeciwko kościoła Św. Krzyża, i patrzył na ten kościół, na ten krzyż, i na te wymarłe ulice. I w pewnym momencie szli Niemcy, było ich trzech. I wśród nich był niemiecki oficer, prawdopodobnie Ślązak. I kiedy tamci dwaj przeszli ten zawrót, podszedł do księdza Wyszyńskiego, i powiedział do niego dostatecznie głośno i dostatecznie powoli:

Ist noch Polen nicht verloren — Jeszcze Polska nie zginęła

Otóż to bardzo poruszyło Stefana Wyszyńskiego, ten Niemiec, który podtrzymuje polskiego księdza. Niemcy już wiedzą, że wojna przegrana, ale jednocześnie niszczą miasto systematycznie bo zdają sobie sprawę, że niszcząc Warszawę niszczą polską pamięć. Państwo dobrze wiedzą że gdy wojna się skończyła to wśród rozmaitych projektów był także i ten, Stalin tego chciał, aby stolicę Polski przenieść do Łodzi. Twierdzono, że w Warszawie już nie ma czego szukać. Dobrze się stało, że Warszawa została więc odbudowana, bo Polska ze stolicą w Łodzi to nie jest to samo, co Polska ze stolicą w Warszawie. Więc to również wspomnienie, które Stefana Wyszyńskiego dotyczy.

Po wojnie jego życie nabrało przyspieszenia. Na początku 1946 r., a więc zaledwie pół roku po wojnie, otrzymał propozycję zostanie biskupem, biskupem lubelskim. Ta propozycja przyszła do niego bardzo nieoczekiwanie, nie spodziewał się jej dlatego, że nie widział siebie na drodze biskupiej. Dodatkowo wyzwaniem dla niego był fakt, że miał być biskupem lubelskim, a on bardzo przywiązał się do Warszawy. Jednak, jak mówiło się wtedy: „Ojcu Świętemu się nie odmawia” i Stefan Wyszyński przyjął tę nominację. 12 maja — państwo zwróć uwagę, trzy dni temu była rocznica — przyjął konsekrację biskupią. Może trochę szkoda, że nawet w Warszawie, w archidiecezji Prymasa Wyszyńskiego, mało się o tym mówi i mało kto o tym wie. Bo takie rocznice są jednak ważne, bo one są zwornikami pamięci. Przyjął więc konsekrację biskupią i za motto swojego posługiwania obrał słowa *Soli Deo*. Te słowa „Soli Deo” mogą być tłumaczone na język polski na pięć sposobów. Najważniejsze to: *Tylko Bogu, Jedynie Bogu, Wylącznie Bogu, Bogu samemu, Bogu tylko*. Otóż mocne podkreślenie Boga i wyłączności Pana Boga w naszym życiu. Bezwzględne zawierzenie Panu Bogu. Czas był trudny, państwo wiedzą o tym doskonale, bo był to okres powojenny. Atmosfera robiła się coraz gęstsza, coraz groźniejsza. A w Lublinie nieco wcześniej, w 44 r, przedtem w Chełmnie Lubelskim, usadowiły się na jakiś czas także władze komunistyczne, tak że Lublin był dość silnie obsadzony. Lublin miał poza tym wielką historię prześladowań niemieckich. Zamek w Lublinie przerobiono przecież na hitlerowską katownię. Potem w tej katowni cierpieli Polacy z rąk Sowietów. Biskup Stefan Wyszyński doskonale o tym wszystkim wiedział. Udał się do Lublina, związał się z ludźmi, którzy tam byli, i rozpoczął posługę biskupa diecezji lubelskiej. Kiedy zmarł kardynał August Hlond przedstawiono biskupowi lubelskiemu propozycję przyścia do Warszawy,

do Gniezna. Wtedy te dwie diecezje były połączone tzw. unią personalną, tzn. diecezje były dwie, ale miały jednego biskupa. Biskup Stefan Wyszyński nie wahał się tego wyboru przyjmując, aczkolwiek dla bardzo wielu ludzi ten wybór był ogromnym zdumieniem. Uważali przede wszystkim, że biskup lubelski Stefan Wyszyński jest za młody — miał wtedy 47 lat. Nie jest to pierwsza młodość, ale po wojnie wydawało się, że jest za młody, że nie ma doświadczenia, że Warszawa i Gniezno wymagają ogromnego doświadczenia. Poza tym to, co było przed wojną, okazało mu się dość paradoksalnie przydatne. Mianowicie komuniści uznali, że skoro przed wojną był społecznikiem, a więc jest bliski idei społecznych — jeżeli takie były w komunizmie, i sądzili, że uda im się mieć go po swojej stronie. Więc mieli nadzieję na to, że łatwiej będzie rozmawiać z biskupem Wyszyńskim niż z jakimkolwiek innym dlatego, że przed wojną był już, w ich ocenie, „światły”. Otóż kiedy biskup Wyszyński wiedział już, że przyjedzie do Warszawy, wystosował do mieszkańców Warszawy 6 I 1949 r. list. Ja przeczytam państwu fragment tego listu. Ten list jest napisany w uroczystość Trzech Króli w Lublinie. Biskup wie, że przyjdzie do Warszawy. I napisał tak:

Wysłuchani dziś we wstrząsające głosy pulsujących krwią wylaną siłą ducha ojczystego, na poświęconym fundamencie pragniemy budować miasto światłości, miasto mocy, miasto pokoju które, jak było przedziwne w bohaterstwie, tak też będzie porywające i w odrodzeńczej pracy. Krew wylana zobowiązuje wszystkich mieszkańców stolicy do wierności poświęconym prawom ojczyzny, do obrony godności narodowej, oblicza chrześcijańskiego, ducha sprawiedliwości, pokoju i wolności. W tym duchu będziemy ostrzyć myśli, wytyczać mowę i wolę, hartować ramiona, by rozum, wola, serce i dłonie poświęcone Bożą miłością krzepły nam, trwały z rąk domu ojczystego.

Kto z państwa pamięta retorykę czasów powojennych, to rozpoznaje tutaj dwa elementy. Z jednej strony jest to polszczyzna przedwojenna. Z drugiej strony biskup Stefan Wyszyński używa słów, których używała komunistyczna propaganda. Daje w ten sposób poznać, że chce ochrzcić tę rzeczywistość. Że odbudowa Warszawy to nie jest tylko kwestia jakiegoś świeckiego zrywu, ale jest to obowiązek patriotyczny i obowiązek chrześcijański. Kiedy więc przybył do Warszawy jako biskup, to poświęcił całe swoje siły na włączenie się w odbudowę stolicy. To, że ta odbudowa została podjęta, że postępowała tak bardzo szybko, że zabrano się za odbudowę Starego Miasta, innych miejsc, które miały charakter symboliczny — a Warszawa była w 90% zburzona — w dużej mierze zawdzięczamy nowemu arcybiskupowi warszawskiemu.

Dwie jeszcze rzeczy zasługują na uwagę. 2 II 1949 r. odbył się jego ingres do Gniezna. Tam został przywitany bardzo uroczystie. I tam po raz pierwszy, zwracając się do wiernych, którzy byli zgromadzeni na Wzgórzu Lecha, na tym samym, nas którym w 79 r. był Jan Paweł II, zwracając się do uczestników arcybiskup Stefan Wyszyński powiedział:

Umilowane dzieci Boże, dzieci moje!

Po raz pierwszy użył formuły, wyrażenia, zwrotu, która później stała się jego aż do śmierci. Mianowicie zrozumiał, uznał, przyjął i rozwijał szczególny związek z tymi, którzy go słuchali, traktując ich jako tych, którzy zostali przez Boga powierzeni jego ojcowskiej trosce. Czuł się ojcem narodu, ojcem wierzących. Tę odpowiedzialność podjął, tej odpowiedzialności był świadomy. Ale równie wymowne słowa wypowiedział cztery dni później, 6 II 1949 r. w Warszawie, kiedy katedra podnosiła się z gruzów, bo była przecież zburzona, kiedy tłumy ludzi zebrały się, żeby powitać nowego arcybiskupa, Stefan Wyszyński powiedział do zebranych wiernych tak:

Nie jestem ci ja politykiem, ani dyplomata, ani działaczem, ani reformatorem. Jestem waszym duchowym ojcem, pasterzem i biskupem dusz waszych. Jestem Apostołem Jezusa Chrystusa. Posłannictwo moje jest kapłańskie, pasterskie, apostołskie, wyrosłe z odwiecznych myśli Bożych.

Kto tak potrafi mówić znaczy, że żyje bardzo głęboko Bogiem i Jego sprawami. Stefan Wyszyński, arcybiskup warszawski, mówił językiem Sienkiewicza. Moglibyśmy tu rozpoznać wręcz powtórki z Sienkiewicza. Ale mówi jednocześnie językiem dojrzałego chrześcijanina i biskupa, który zdaje sobie sprawę, że w trudnych warunkach powojennych jego obowiązkiem jest ojcowska, pasterska troska

nad ludźmi. Innym zostawia dyplomację, innym zostawia politykę, a sam zajmuje się tym, do czego został powołany — mianowicie idzie w ślady Dobrego Pasterza. Czasy są coraz trudniejsze. Władza komunistyczna spacyfikowała znaczne połacie Polski. Uporano się z partyzantkami — gdziekolwiek one jeszcze były, przygotowywano rozmaite reformy. Nie wszystko było oczywiście złe, podobnie jak nie wszystko było dobre. Pozostał Kościół, z którym trzeba było się rozprawić. Biskup Stefan Wyszyński uświadomił sobie jedno, co wtedy nie wszyscy rozumieli. Mianowicie że w tej sytuacji, w jakiej Polska znalazła się po wojnie, zostaliśmy po prostu zdradzeni i opuszczeni przez naszych sojuszników. Zrozumiał, że nie będzie żadnego białego konia, że nikt nie przyjedzie nas wyzwalać, że nikt nie przybędzie, żeby nam pomagać. Że zostaliśmy po prostu podstępnie sprzedani w orbitę wpływów dawnego Związku Radzieckiego. Zawsze to wiedział, że nie ma co żyć mrzonkami, tylko trzeba ratować duchową, religijną, ekonomiczną, społeczną tkankę narodu. Wiedział, że ten naród jest okaleczony i obolały. Rozpoczął podróże na tzw. Ziemię Odzyskane, ziemie północne i zachodnie i zobaczył, do jakiego stopnia ludzie są zrozpaczeni. Wyrzuceni z Wileńszczyzny, wyrzuceni z Kresów Wschodnich, przetrzuceni siłą do ponemieckich budynków, na ponemieckie terytorium, czuli się tam bardzo obco. Pojawiły się ogromne zagrożenia, samobójstwa, depresja, desperacja. Jednym słowem trzeba było brać się za odbudowę tego, co Prymas nazywał duchem narodu. W tych warunkach postanowił dogadywać się z władzami komunistycznymi na tyle, żeby Kościół w nowej sytuacji mógł egzystować. W 1950 r., 14 IV 1950 zostało zawarte porozumienie między rządem a episkopatem. To porozumienie spowodowało wtedy ogromną falę z jednej strony uznania, z drugiej strony krytyki. Uznanie ze strony władz komunistycznych, które twierdziły, że biskup Stefan Wyszyński jest ich sprzymierzeńcem, aczkolwiek przeczuwały, że jest zupełnie inaczej. Krytyka, zwłaszcza ze strony Zachodu i społeczeństw zachodnich, także Polonii na Zachodzie, która uważała, że wszelkie dogadywanie się z komunistami nie wchodzi w rachubę. Zarzucano, że dogadał się z diabłem. Kiedy już te oskarżenia dokuczały już bardzo mocno, Stefan Wyszyński powiedział, że z diabłem się nie dogaduje, ale z człowiekiem – tak. Otóż cena, jaką płacił, była bardzo duża. Bądź co bądź życie w Paryżu, w Londynie, czy w Nowym Jorku wyglądało zupełnie inaczej i oskarżenia tam formułowane też wyglądały zupełnie inaczej, niż ta rzeczywistość w Polsce. Próbował znaleźć miejsce dla Kościoła katolickiego w tej nowej rzeczywistości. Były kraje, gdzie bunt, albo gdzie sprzeciw albo nacisk komunistyczny posunął się znacznie dalej, i tam kościoły były zamykane. W Polsce do takiego zamykania kościołów nie doszło, ale komuniści zaczęli uzurpować sobie coraz większe roszczenia. Jednym z nich było żądanie, żeby władze komunistyczne mianowały biskupów i proboszczów. Każda nominacja miała być nie tylko uzgadniana z władzami państwowymi, ale wręcz władze państwowe miały taką nominację robić. Kiedy atmosfera gęstła coraz bardziej, robiła się coraz trudniejsza – co trwało 2 - 3 lata. Proszę zauważyć, że pod koniec tego okresu umarł Stalin. Wydawało się, że będzie odwilż, ale w Polsce jej nie było. W tym czasie papież Pius XII wyniósł go do godności kardynalskiej. Był to dowód zaufania do prymasa Polski, że w tej sytuacji, w jakiej jest, on podejmuje wszystkie najważniejsze decyzje dotyczące Kościoła w Polsce. Papież Pius XII wyszedł tutaj bardzo daleko, ale kardynał Wyszyński nigdy tego zaufania nie nadużył. Komuniści nie pozwolili mu udać się do Rzymu po kapelusz kardynalski. Zawsze udawał się pociągami jeżeli wcześniej jeździł, sporadycznie – ale był, natomiast tym razem powiedziano mu „Nie!” 8 V 1953 r., a więc znowu niedawna rocznica, podczas obchodów ku czci św. Stanisława biskupa i męczennika w Krakowie, prymas Polski wypowiedział słynne „Non possumus” — „Nie możemy”, „Dalej nie możemy”. Nie możemy ufać tym, którzy łamią wszelkie obietnice, nie możemy polegać na porozumieniach, z których druga strona się nie wywiązuje. Ale nie możemy również zgodzić się na to, by władza państwowa ingerowała w sprawę Kościoła tak głęboko, jak tego chce.

Od tej pory jego aresztowanie stawało się kwestią czasu. Otóż próbowano wbić klin pomiędzy prymasa i biskupów. Do jego otoczenia przenikali rozmaici ludzie, czasami także duchowni. Szukano sposobu, żeby się go pozbyć. Chętnie zgodzono by się na jego wyjazd za granicę, nawet po kapelusz kardynalski, ale pod warunkiem, że nie wróci do Polski. Przeczuwał to, że nie zostanie do Polski wpuszczony. Kiedy więc to powietrze stawało się coraz trudniejsze, 18 IX 1953 r. prymas powiedział tak:

Wolę więzienie, niż przywileje. Gdyż cierpiąc w więzieniu będę po stronie tych najbar-
dziej uciemięzonych.

Dokładnie tydzień później, późnym wieczorem 25 IX, został aresztowany. W jego obronie, jak wspominają uczestnicy tego aresztowania, stanął tylko pies, który miał na imię Baca, i który ubowca, który chciał dotknąć prymasa, złapał za rękaw – był w takim skórzanym płaszczu – i prymas martwił się, czy go aby nie pokaleczył. Na szczęście nie, ale płaszcz nieco ucierpiał. Tylko pies stanął przy prymasie dlatego że, jeżeli chodzi o resztę Kościoła, było bardzo rozmaicie. Jest to jeden z najboleśniejszych fragmentów w powojennej historii Polski. Bardzo niechętnie się o tym mówi. Ale skutkiem uwięzienia było i to, że biskupi za prymasem w stopniu, który byłby wystarczający, się nie wstawili. Udało się zastraszyć to wszystko, co się wtedy w Polsce działo, i prymas został przewieziony do miejsca internowania, do miejsca odosobnienia. Był w czterech miejscach odosobnienia – najpierw w Rywałdzie, na północy Polski – tam bardzo krótko we wrześniu, październiku. Stamtąd przewieziony do Stoczka Warmińskiego. Stamtąd przewieziony do Prudnika Śląskiego, a potem przewieziony do Komańczy. Jeżeli państwo mają w głowie mapę Polski, to przekonamy się, że wszystkie te miejscowości: Rywałd, Stoczek Warmiński, Prudnik, Komańcza są przy granicy. Jedne przy dawnej granicy polsko - sowieckiej, druga przy dawnej granicy polsko - czechosłowackiej, i Komańcza – granica polsko - czechosłowacka i polsko - radziecka. Wszystko to było starannie przemyślane dlatego, że w grę wchodziły rozmaite scenariusze. Pierwszy scenariusz, który brano poważnie pod uwagę, polegał na tym, żeby po prostu prymasa zgładzić. Bano się jednak tego zrobić. Sądzono, że być może odrodzi się choroba – wiedzano o jego gruźlicy. Być może po jakimś długim czasie sam osłabnie, i zejdzie z tego świata. Kiedy te nadzieje stały się płonne – bo prymas nie chorował, przysłano mu nawet lekarza, nawet dwóch lekarzy, którzy mieli go zbadać. Zachował się wobec nich bardzo dzielnie – zażądał, żeby wykazali, że są lekarzami. Rychło okazało się, że jeden z lekarzy był podstawiony, drugi rzeczywiście był lekarzem – taki starszy człowiek, który uświadomił sobie w obecności prymasa swój polski rodowód i swój patriotyzm – tak, że wyjechał z tego spotkania z prymasem odmieniony. Razem z prymasem w więzieniu osadzono księdza i siostrę zakonną, która miała się nim opiekować, miała mu pomagać na co dzień. Z późniejszej perspektywy okazało się prawdziwe to, co prymas przypuszczał, czego się domyślał – mianowicie, że siostra zakonna została zwerbowana do współpracy ze służbą bezpieczeństwa i że przez okres pobytu w więzieniu stale na niego donosiła. Informowała co mówi, czym się zajmuje, co robi. Ta prawda wyszła na jaw znacznie później. Prymas nigdy nie miał do niej pretensji, nigdy nie robił z tego powodu jakiś zarzutów. On po prostu stwierdzał, że udało się człowieka złamać i dodawał, że łatwiej jest złamać kobietę niż mężczyznę, bo kobieta jest bardziej delikatna. A ponieważ nie miał żadnych tajemnic, to i nie było co specjalnie donosić. Ale taki właśnie epozod.

Tam, w tym więzieniu, dokonał bardzo wiele. W więzieniu przygotował naród do aktu oddania w macierzyńską niewolę NMP. Zanim ten akt dokonał się w odniesieniu do całego społeczeństwa, co miało miejsce dopiero w r. 1966 podczas obchodów milenijnych, to podczas pierwszego święta Niepokalanego Poczęcia NMP, 8 XII 1953 r. prymas złożył ten akt sam, w odniesieniu do siebie, poświęcił się NMP. Tam przygotował wielką nowennę, która miała przygotować całą Polskę do obchodów milenium chrztu Polski. Tam pisał „Listy do moich kapłanów” – tak zatytułowana została później ta książka, bardzo wzruszająca, bardzo piękna, bardzo poruszająca. Mianowicie są to listy biskupa do jego kapłanów. Myślę, że każdy z nas tę książkę przeczytał, rozważył ją, bo to był taki swoisty podręcznik przeżywania kapłaństwa.

W 1956 r. podczas wydarzeń czerwcowych w Poznaniu jedno z żądań robotników brzmiało: wypuścić Prymasa. Sprawa wypuszczenia prymasa, uwolnienia prymasa, była już wtedy właściwie przesądzona. Jeszcze zwlekano z tą sprawą do września 56 r, ale pod koniec września do Komańczy przybyli przedstawiciele rządowi i oznajmili prymasowi, że za kilka dni będzie mógł wrócić do Warszawy. Rzeczywiście zgodzono się na jego powrót, był to powrót tryumfalny, i z powrotem objął swoje urzędy jako arcybiskup warszawski i arcybiskup gnieźnieński. Tu warto podkreślić jedno. Mianowicie wiele osób z jego bliskiego otoczenia, wielu jego współpracowników, i to wysoko postawionych, po prostu sprzeniewierzyło się mu w okresie, kiedy był w więzieniu. Kiedy wrócił, żadnego nie upominał, żadnego nie skarcił. A tym, którzy upokorzyli się najbardziej, przebaczył im wyraźnie i jednego z nich uczynił swoim bliskim współpracownikiem. Był on potem do śmierci oddany mu do samego końca. Wiedział, że jakiegokolwiek roszczenia mogłoby tylko dalej wprowadzić podziały do Kościoła, a tego w żadnym wypadku nie chciał. Zwrócił całą uwagę na przygotowanie ojczyzny do tysiąclecia chrztu Polski. Jego dziełem była tzw. wielka nowenna. Ponieważ tysiąclecie

przypadało w r. 1996, to poprzedzające je 9 lat, od r. 1957, otrzymały bardzo wyrazisty program duszpasterski. W żadnym innym kraju bloku komunistycznego takiego programu duszpasterskiego nie było. A prymas Wyszyński sam, własnoręcznie opracował program i poszczególne hasła. Warto, żebyśmy tych haseł posłuchali dlatego, że one nawet po prawie pół wieku, jaki upłynął od tamtej pory, dają sporo do myślenia. W pierwszym roku: *Wierność Bogu, krzyżowi, Ewangelii Chrystusowej i Kościołowi*, w drugim: *Życ w stanie łaski uświęcającej*, rok 59: *W obronie życia, duszy i ciała*, rok 60: *Świętość małżeństwa*, rok 61: *Rodzina Bogiem silna*, rok 62: *Młodzież wierna Chrystusowi*, następny: *Walka z wadami narodowymi i zdobywanie cnót chrześcijańskich*, i tuż przed tysiącleciem chrztu Polski: *Pod opiekę Bogurodzicy, Królowej Polski*. Zwróćmy uwagę — najważniejsze wymiary chrześcijańskiej i polskiej pobożności i wiary, najważniejsze wymiary moralności podjęte przez prymasa. On wytyczał szlak, wyznaczał drogi. Właśnie w tym okresie biskupem krakowskim został Karol Wojtyła. Stało się to za wiedzą i aprobatą kardynała Stefana Wyszyńskiego. Za jego wiedzą i aprobatą został również kardynałem krakowskim, i obaj uczestniczyli w Soborze Watykańskim II w latach 1962 - 65.

Ogromny wkład Prymasa Tysiąclecia to odbudowa kościołów warszawskich, odbudowa Warszawy, odbudowa świątyń na Ziemiach Zachodnich i północnych. Jeżeli państwo przyjadą kiedykolwiek do tego pasa ziemi od Gdańska przez Koszalin, Kołobrzeg, Szczecin, Gorzów aż po Wrocław i Opole, górę św. Anny i po Katowice, to znajdą tam państwo w każdej parafii tablicę, która upamiętnia obecność Stefana Wyszyńskiego. To, czego później dokonał papież w Polsce podczas swoich pielgrzymek, przebywając we wszystkich diecezjach, wcześniej dokonał także kardynał Stefan Wyszyński wszędzie dbając niezłomnie o to, żeby wierni podnosili się z kolan, odbudowywali co trzeba i żyli po bożemu.

W 1966 r. zorganizował wielkie obchody tysiąclecia chrztu Polski. Nie miały one w Europie sobie równych. Na Zachodzie dziwiono się — z jednej strony żelazna kurtyna, a z drugiej strony uroczyste obchody, których częścią stała się peregrynacja kopii obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej w diecezjach, w parafiach i w rodzinach. Na pewno są wśród państwa tacy, którzy pamiętają tamtą peregrynację. To miało ogromne znaczenie dla obudzenia ducha pobożności, dla integracji społeczeństwa, dla siły wiary. To wszystko są lata 60-te, które były dość trudne dla Kościoła, ale z których i Kościół i wierni wyszli bardzo zwycięsko.

Otóż wtedy, w tym czasie, postawił przede wszystkim na pobożność masową, na zwyczajnych ludzi. Bo zdawał sobie sprawę, że elity intelektualne zwłaszcza w dużej części nie zdały egzaminu z tej lojalności wobec ojczyzny. Bardzo wielu różnych ludzi nauki, kultury, sztuki związało się z nową władzą, nieraz bardzo służalczo. Czasami obracali się przeciwko prymasowi przeprowadzając, realizując swoje własne plany. Jedno z najtrudniejszych doświadczeń, które przeżył prymas w latach 60-tych to była próba podjęta przez tzw. katolików otwartych, istniejących zresztą do dzisiaj, skupionych w środowiskach warszawskich i krakowskich, którzy w Rzymie napisali na Prymasa Tysiąclecia paszkwil żądając, żeby Stolica Apostolska ustanowiła nuncjaturę i nuncjusza, który by miał niezależne od prymasa Wyszyńskiego stosunki z polskim rządem i polskim Kościołem. Ponieważ prymas Wyszyński nie dawał się ponieść żadnej agitacji i ich ideologizacji, stawał się niewygodny. Chciano, żeby była inna struktura, w której on byłby na boku. Wiadomo z imienia i nazwiska kto to zrobił. I wiadomo, że robiono to w sposób, który ubliżał godności chrześcijanina i katolika. Prymas o tym oczywiście dowiedział się z watykańskiego sekretariatu stanu, przedstawił swoje stanowisko. A w rok czy dwa później główny sygnatariusz tego właśnie apelu, który pisał na niego donosy, przyjechał do Warszawy, przeprosił prymasa, prymas go przyjął i mu wybaczył. To też fragment tej historii, o której wiedzieć powinniśmy.

W latach 60-tych i 70-tych prymas skupił całe swoje i życie i działalność na wdrażaniu nauczania Soboru Watykańskiego II. Dobrze wiemy, że Sobór Watykański II pod wieloma względami wprowadził nowości, zwłaszcza jeżeli chodzi o liturgię. Języki narodowe – przedtem łaciński, sposób sprawowania liturgii, rozmaite elementy które teraz dzisiaj uznajemy za oczywiste, a które w latach 60-tych oczywistymi nie były. W wielu krajach Europy zachodniej Kościół przeżył w związku z tym poważny wstrząs. Dlatego, że dokonano zmian z dnia na dzień. Kardynał John Król, z pochodzenia Polak, arcybiskup Filadelfii, już nieżyjący, mówiąc o prymasie Wyszyńskim powiedział tak, że:

Dokonał on, przeprowadził on spokojne, dojrzałe i mężne urzeczywistnienie soborowej odnowy.

To, że nauczanie Soboru Watykańskiego II przeszło w Polsce właśnie tak łagodnie, i reformy liturgiczne również, to wielka zasługa kardynała Wyszyńskiego. Bo nie brakowało takich, którzy chcieli to zrobić na wzór belgijski, francuski. Jakie są skutki tego, to widzimy do dzisiaj — dopiero teraz, po latach, tam Kościół się powoli podnosi.

W tym czasie, w latach 70-tych, wielkim zagrożeniem było zawłaszczanie kultury przez ateistyczne władze państwowe, i sojusz ludzi kultury z władzą. Kardynał Wyszyński temu się bardzo przeciwstawił. Położył nacisk na pobożność, która związana jest z naszą polską i katolicką tradycją. Kiedyś powiedział dość gorzko, że to, że wiara w Polsce przetrwała, to zawdzięczamy nie intelektualistom, tylko prostym kobietom, które w najtrudniejszym okresie zbierały się pod kapliczkami i śpiewały majowe nabożeństwa. I to dzięki ich ofierze, dzięki ich odwadze mamy wiarę i Kościół taki, jaki mamy. Stąd bardzo to cenił. Nie muszę dowodzić, nie muszę potwierdzać, że kładł bardzo silny nacisk na pobożność maryjną. Maryja zawsze nu była bardzo bliska. Do swojego zawołania „Soli Deo” dodał słowa „per Maria” czyli „Tylko Bogu przez Maryję”. W takiej atmosferze, w takim klimacie nastąpił później wybór kardynała Wojtyły na papieża. Chciałbym państwu na sam koniec przypomnieć słowa, które Jan Paweł II wypowiedział w tydzień po konklawe, na którym został na papieża wybrany. Miałem szczęście być wtedy w Rzymie, być na tej sali, słyszeć te słowa i przeżywać je razem z kilkoma tysiącami obecnych tam Polaków. Papież powiedział tak:

Czcigodny i umiłowany Księżu Prymasie. Pozwól, że powiem po prostu co myślę. Nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego Papieża - Polaka, który dziś pełen bojaźni Bożej, ale i pełen ufności rozpoczyna nowy pontyfikat, gdyby nie było Twojej wiary, nie cofającej się przed więzieniem i cierpieniem, Twojej heroicznej nadziei, Twego zawierzenia bez reszty Matce Kościoła, gdyby nie było Jasnej Góry i tego całego okresu w dziejach Kościoła w Ojczyźnie naszej, które związane są z Twoim biskupim i prymasowskim posługiwaniem.

W opiniach gazetowych, radiowych, telewizyjnych możemy słyszeć wielu ojców chrzestnych pontyfikatu papieża Polaka. Przyznają się do tego najrozmaitsi ludzie i środowiska, twierdząc, że to z nich wyszedł Karol Wojtyła, Jan Paweł II. Sam Jan Paweł II wyraźnie stwierdził, że nie byłoby papieża Polaka bez kardynała Stefana Wyszyńskiego. Żadna środowiskowość, żadne kluby, żadne lokalne poparcia, o którym zresztą i tak nikt nie wiedział, nie miały żadnego znaczenia w porównaniu z tym, czego dokonał kardynał Stefan Wyszyński. To on doprowadził do tego, że z Polski wyszedł papież. Jan Paweł II w tym przemówieniu dodał jeszcze następujące słowa. Powiedział tak:

I oto rzecz znamienita. Po ludzku trudna do wytłumaczenia. Właśnie w tych ostatnich dziesięcioleciach Kościół w Polsce nabrał szczególnego przeznaczenia w wymiarach Kościoła powszechnego i w wymiarach chrześcijańskich. Stał się również przedmiotem wielkiego zainteresowania z uwagi na szczególny układ stosunków który dla poszukiwań, jakie współczesna ludzkość, różne narody i państwa podejmują w dziedzinie społecznej, ekonomicznej, cywilizacyjnej, ma doniosłe znaczenie. Kościół w Polsce nabrał nowego wyrazu. Stał się Kościołem szczególnego świadectwa, na który zwrócone są oczy całego świata. W tym Kościele żyje i wypowiada się nasz naród, współczesne pokolenie Polaków.

To powiedział papież w tydzień po wyborze. Kościół szczególnego świadectwa, na który zwrócone są oczy całego świata. Tak było przez prawie 27 lat pontyfikatu papieża Polaka. Wszędzie wiedzą o Polsce. I teraz domyślamy się, z jak wielkim zainteresowaniem będzie obserwowana papieška wizyta następcy Jana Pawła II w naszej ojczyźnie. Również Benedykt XVI przybywa do Polski widząc w Kościele naszym Kościół szczególnego świadectwa. Dla niego jest to przede wszystkim Kościół Jana Pawła II. Ale starajmy się uczynić jak najwięcej, my tutaj z perspektywy warszawskiej, żeby nie była to wyłącznie pielgrzymka śladami Jana Pawła II. Nie da się zrozumieć Jana Pawła II i uzasadnić jego pontyfikatu bez kardynała Stefana Wyszyńskiego. Dlatego papież będzie w Częstochowie, która jest wspólna nam wszystkim, będzie w Krakowie, będzie w Wadowicach, w Kalwarii Zebrzydowskiej, będzie wreszcie na terenie byłego obozu zagłady Auschwitz - Birkenau w Oświęcimiu, ale rozpocznie swoje odwiedziny od Warszawy — miasta, które jest miastem kardynała

Stefana Wyszyńskiego, gdzie „wszystko miało swój początek”. I ta obecność papieża tu, w Warszawie, ma szczególne znaczenie. Bardzo serdecznie państwa zachęcam, żebyście wsłuchali się w to, co papież powie na Placu Piłsudskiego – Pl. Zwycięstwa w piątek, od tego za tydzień, kiedy będzie miał rano mszę świętą. Może nie wszyscy znajdziemy się na placu, ale na pewno można być będzie obserwować w telewizji, patrzeć, bo będzie to również kolejny dzień tryumfu Sługi Bożego kardynała Stefana Wyszyńskiego. I ten papież, obecny przy grobie kardynała Stefana Wyszyńskiego, odda hołd człowiekowi o którym można słusznie powiedzieć, że jest ojcem dwóch papieży.

Myszę, że udało się, przynajmniej nieco, tę prawdę przybliżyć. Musimy o tym pamiętać nie tylko po to, żeby oddać świadectwo prawdzie, ale także po to, by na tak rozumianej i przeżywanej historii budować to, co będzie. W przeciwnym przypadku naszą historię i naszą przyszłość będą za nas pisać inni. A właśnie tu tym świadkiem najgłębszego patriotyzmu, najlepiej pojmowanego i przeżywanego, bo posuniętego aż do ceny uwięzienia, takim świadkiem był kardynał Stefan Wyszyński. Zachęcam, żeby państwo o tym pamiętali także w rocznicę jego śmierci.

Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję. Zapraszam na ostatnią w tym roku konferencję, która będzie miała miejsce za 4 tygodnie, w poniedziałek 12 VI. Pomódlmy się na koniec. Pod Twoją obronę ... I za duszę kardynała Stefana Wyszyńskiego, Jana Pawła II, i za wszystkich, którzy naszej modlitwy potrzebują, i tych, którzy w tej modlitwie wstawiają się i za nami, i za zmarłymi: Wieczny odpoczynek ... Pochwalony Jezus Chrystus.

8 Jezus i Samarytanka (12 czerwca 2006)

Pochwalony Jezus Chrystus. W Imię Ojca ... Ojciec nasz ... Stolica Mądrości, módl się za nami! Rozpoczynamy zatem nasze tegoroczne ostatnie spotkanie, ostatnie przed przerwą wakacyjną. Potem, po wakacjach, wznowimy następny cykl roczny. Teraz natomiast kończymy powoli tę refleksję, którą rozpoczęliśmy w październiku ub. roku. Dzisiaj ten wyjątkowy dzień, bardzo długie dni w roku. Zatem i zaczynamy i kończymy przed zachodem słońca. Stąd pewna wygoda, komfort niemal. Ale przypominają sobie państwo dni – listopadowe, grudniowe, styczniowe, lutowe – kiedy o tej porze ludzie prawie kładzą się spać, a my dopiero zaczynamy refleksję. I zarówno wtedy, jak i dzisiaj, witam państwa bardzo serdecznie i cieszę się, że nadal jesteście tak bardzo liczni, i że nadal te nasze konferencje biblijne pomagają nam poznawać Słowo Boże i Jego meandry, Jego bogactwo, Jego treści. Pomagają nam być może umocnić naszą wiarę, pogłębić tę wiarę, i w tej wierze zbliżyć się do Pana Boga.

Po drodze od ostatniej konferencji mieliśmy pielgrzymkę Ojca Świętego Benedykta XVI, bardzo poruszającą, bardzo pogłębiającą naszą wiarę. Byliśmy do tej pielgrzymki przygotowani być może lepiej, niż przeciętny katolik w naszej Ojczyźnie. Dlatego, że i wcześniej mówiliśmy o dziedzictwie Jana Pawła II i Benedykta XVI. I potem, kiedy patrzyliśmy na papieża poczynając od jego przybycia do Warszawy, po jego odlot z Krakowa, to wszystkie te etapy papieskiego pielgrzymowania bardzo utkwiły nam w pamięci. I wiele razy rozpoznawaliśmy ten sam ton, tę samą miłość, tę samą otwartość, z jaką niegdyś przybywał Jan Paweł II, a teraz przybył Benedykt XVI.

Rozpoczynając dzisiaj naszą konferencję chciałbym również państwu bardzo serdecznie podziękować za wszystkie dowody życzliwości i świadectwa serdeczności, których doświadczyłem teraz, w tych dniach, kiedy 6 czerwca obchodziłem trzydzieści lat kapłaństwa. Pewnie i lektura książki spowodowała, że ta rocznica – również i dla mnie – stała się bardziej wymowna, niż inne rocznice. Także i fakt, że powoli człowiek zaczyna sobie powoli uświadamiać, że każda kolejna rocznica ma również inny charakter niż te poprzednie. 30 lat to szmat czasu. Państwo też mają swoje jubileusze: jubileusze małżeńskie, jubileusze w pracy, jubileusze rozmaite inne — i zdajemy sobie sprawę z tego, że 30 lat to kawał czasu. Potem będą już te następne rocznice, z których każda wymaga coraz więcej wysiłku. A mniej więcej do tego jeszcze wieku to jakoś wszystko idzie. Chciałbym więc państwu bardzo serdecznie podziękować. Doznałem bardzo wiele ciepła, życzliwości. Zarówno wtedy, także poprzez telefony, i w następnych dniach, zwłaszcza wczoraj na mszy świętej, po mszy świętej. Chciałbym za te życzenia i za wszystko, co otrzymałem od państwa, bardzo, bardzo gorąco podziękować. To dla nas jest, i dla mnie osobiście też, bardzo zobowiązujące i bardzo krzepiące, bo pokazuje cały sens tej posługi, którą podjąłem się pełnić.

Dzisiaj przed wakacjami mamy temat, który może do końca tak wakacyjny nie jest. Ale wiąże się, nie na zasadzie tylko skojarzenia, z czymś bardzo gorącym, z ciepłym klimatem, spiekotą południa, potrzebą wody. I bohaterką naszego dzisiejszego opowiadania — Jezus będzie bohaterem, ale mamy także bohaterkę o której, tak się złożyło, że do tej pory podczas naszych konferencji biblijnych nie mówiliśmy. Mianowicie chciałbym, żebyśmy dzisiaj przeczytali i zastanowili się nad rozmową Jezusa z Samarytanką. Otóż rozmowę tę, zapisaną w Ewangelii św. Jana, znamy dobrze, bo czytana jest przynajmniej raz czy dwa razy w roku. Natomiast dzisiaj zabierzemy się do niej od strony egzegetycznej, a więc od strony szczególnego wyjaśniania zarówno okoliczności tej rozmowy, jak i jej przebiegu, jej treści, a także jej znaczenia dla nas dzisiaj. Bo przecież to, co wydarzyło się niegdyś w Samarii, podczas tej niezwyklej rozmowy Jezusa z Samarytanką, ważne jest także dla każdej i dla każdego z nas.

Muszę wyznać, że kiedy podróżujemy do Ziemi Świętej, kiedy pielgrzymujemy do Ziemi Świętej, to każdy z nas, ja również, ma swoje ulubione miejsca. Zwłaszcza ci, którzy oprowadzają po Ziemi Świętej i mają szczęście wracać tam wiele, wiele razy, nieraz zdarza się, że w roku dwa, trzy, cztery razy nawet — tak przynajmniej było do niedawna. Teraz jest troszeczkę rzadziej, ale też te pielgrzymki się odbywają. Więc każdy z nas jadąc ma w głowie, w sercu, w pamięci, w myśli jakieś miejsce, które chce jeszcze raz zobaczyć. I nawet jeżeli było się tam wiele, wiele razy, to do tego miejsca w szczególny sposób ciągnie. Otóż jednym z takich moich ulubionych miejsc w Ziemi Świętej to jest studnie Jakubowa, która znajduje się w Sychem — starożytne Sykar, a dzisiaj miasteczko to nosi arabską nazwę Nablus. To słowo *Nablus* to jest zarabizowana forma greckiej

nazwy *Neapolis* czyli *Nowe Miasto*, bo tak Grecy nazwali starożytne Sychem, które było nazwą hebrajską. Grecy woleli nadać temu miastu nową nazwę, nazwali Neapolis, i to Neapolis zostało przez Arabów ściągnięte w Nablus, i tak już zostało. Otóż ile razy jedziemy do Ziemi Świętej, a można tam pojechać — dlatego, że niestety nie zawsze można, to ja cały czas czekam na to spotkanie przy tej studni, o której za chwilę będziemy czytać. Bo tam ten prawdziwy cud piątej Ewangelii, czyli Ziemi Świętej, na tym polega, że czytamy tekst biblijny i widzimy to miejsce z dokładnością do jednego centymetra. O ile są miejsca w Ziemi Świętej, gdzie takiej dokładności i precyzji nie ma, to jeżeli chodzi o studnię Jakubową, a więc miejsce rozmowy Jezusa z Samarytanką, ta precyzja jest absolutna. Ale niestety nie ma takiego dobrego, żeby można było się tym zawsze cieszyć — i jeżeli chodzi o studnię Jakubową to ostatni raz byłem tam sześć lat temu, w roku 2000. I od roku 2000 do studni Jakubowej niestety pojechać nie można, bo granica jest zamknięta przez Izraelczyków, wjazdu tam nie ma. I ostatnia grupa, z którą mogłem tam być, to była właśnie w roku 2000. Kiedy dzisiaj będziemy czytać ten tekst i będę państwu starał się go objaśniać, to raz jeszcze mam w oczach, w pamięci, to właśnie niezwykle miejsce. A zapewne także w tej naszej kilkusetosobowej grupie są tacy spośród państwa, którym również te wspomnienia przyjdą na myśl, kiedy zaczniemy tekst święty czytać i zaczniemy go rozważać.

Otóż epizod jest bardzo interesujący nie tylko ze względów religijnych, teologicznych, moralnych, etycznych, ale także ze względów obyczajowych. Otóż jeżeli chodzi o obyczajową stronę tego epizodu, musimy zwrócić uwagę na sytuację, której osobliwość być może nam nie przychodzi do głowy, na którą nie zwracamy uwagi. Ale trzeba na to zwrócić uwagę koniecznie już na początku. Mianowicie ta osobliwość polega na tym, że jest to rozmowa Jezusa z przypadkowo spotkaną kobietą. W świecie semickim, żydowskim i arabskim, po dzień dzisiejszy nie jest to sytuacja zwyczajna. Można by powiedzieć, że jest to nawet sytuacja do pewnego stopnia zakazana, a w każdym razie źle widziana. Kto zna odrobinę kraje arabskie albo zna odrobinę Izrael, nawet Jerozolimę – dzielnicę ortodoksyjną, to doskonale wie, że nikomu, żadnemu przybyszowi nie przychodzi do głowy, żeby tam zaczepić kobietę, albo porozmawiać z przypadkowo spotkaną kobietą — dlatego, że jest to obyczajowo zakazane nie od wczoraj, nie od setek lat, tylko od zawsze. Jest po prostu separacja płci. Kobiety mają swoje miejsca, mają w domu swoje miejsca. Np. jak wesele się odbywa — mężczyźni osobno, kobiety osobno. Kiedy odbywają się rodzinne uroczystości — tak samo. Kiedy odbywa się pogrzeb, to w ogóle kobiety nie biorą udziału w pogrzebie, tylko sami mężczyźni mogą brać udział w pogrzebie. Kobieta może iść na cmentarz dopiero trzy dni po pochowaniu kogoś, a wcześniej absolutnie nie, itd. itd. Te przykłady można mnożyć.

I nikomu nie przychodzi do głowy taka właśnie przypadkowa rozmowa. Dlatego to, czego dokonał Jezus, było wyłomem w ówczesnej obyczajowości. I zwrócimy uwagę także na ten aspekt — od jakiego stopnia Jezus pokonywał te rozmaite bariery, które ludzi dzieliły. Zaczniemy zatem od początku. W czwartym rozdziale Ewangelii św. Jana czytamy tak:

A kiedy Pan dowiedział się, że faryzeusze usłyszeli, iż Jezus pozyskuje sobie więcej uczniów i chrzci więcej niż Jan

To zdanie jest trochę skomplikowane, więc trzeba je powiedzieć prostszym językiem. Otóż faryzeusze, którzy od początku publicznej działalności Jezusa są nieprzychylni Jezusowi, dowiedzieli się, że Jezus zyskuje coraz większą popularność. Faryzeusze to było żydowskie stronnictwo, jedno z dwóch wielkich. Takim drugim było stronnictwo sadyceuszy. Faryzeusze grupowali głównie – powiedzielibyśmy dzisiejszym językiem – inteligencję, także ludzi bardziej zamożnych, i skupiali się na tym, co moglibyśmy dzisiaj nazwać socjotechniką, zabiegami o popularność, pragnieniem popularności, oddziaływaniem na opinię publiczną itd. Dowiedzieli się, że Jezus cieszy się coraz większym uznaniem, i że Jezus, Jego uczniowie, chrczą. I teraz Jezus dowiedział się, że oni to wiedzą. I że to, co jest przyczyną popularności Jezusa, w oczach faryzeuszy staje się powodem do zarzutów przeciwko Niemu. Dlatego, że szukali każdego powodu, który mógłby Jezusa przedstawić w krzywym świetle. I wiemy, że w końcu doprowadził do wrogości, a potem do pojmania, i wreszcie do śmierci Zbawiciela.

choć w rzeczywistości
wyjaśnia św. Jan Ewangelista:

sam Jezus nie chrzczył, lecz Jego uczniowie
więc kiedy się dowiedzieli

opuścił Judeę i odszedł znów do Galilei.

Trzeba by było mieć pojęcie o topografii i geografii Ziemi Świętej. Zawsze jest tak, że jeżeli chcemy coś dobrze zrozumieć, dobrze zrozumieć jakiegoś człowieka, to musimy najpierw starać się zrozumieć kraj, z którego pochodzi, miejsca, które go dotyczą. Tak jak Goethe powiedział w XIX w.: „Jeżeli chcesz zrozumieć poetę to musisz się udać do kraju poety”. Jezus myślał bardzo poetycko, osadzony był w życiu swojego narodu i musimy mieć pojęcie o ziemi, w której żył. Gdybyśmy myśleli w kategoriach bardzo geograficznych i topograficznych, to możemy to sobie wyobrazić tak. Cała Ziemia Święta to jest kraina wielkości mniej więcej na tej linii północ - południe ok. 200 km. Zatem mała, to jest mniej więcej odległość z Warszawy do Częstochowy. Na tej odległości z Warszawy do Częstochowy Ziemia Święta dzieli się na trzy części. Na dole, najbardziej na południe, kraina nazywa się Judea. W środku, wyżej i bardziej na północ, ta kraina nazywa się Samaria. Natomiast najbardziej na północ, czyli u góry mapy, ta kraina nazywa się Galilea. Akcja na razie dzieje się na terenie Judei, której stolicą była Jerozolima. Jezus jest w Judei i postanawia wrócić do Galilei, czyli tam, gdzie dokonywał swojej publicznej działalności. Wydawać by się zatem mogło, że powinien wracać najkrótszą drogą. W ogóle powinien podróżować z Galilei do Judei najkrótszą drogą, i zarówno udając się do Jerozolimy, jak i wracając później do Nazaretu. Ale stawało się tak bardzo rzadko. Bardzo rzadko Jezus udawał się najkrótszą drogą, czyli przez tę krainę, która nosiła nazwę Samaria. Dlaczego tak było? W gruncie rzeczy ci z państwa, którzy czytali książkę „Bóg, Biblia, Mesjasz” wiedzą teraz bardzo dużo na temat asyryjskiej diaspory Izraelitów. Żeby bowiem zrozumieć ten fragment Ewangelii, trzeba się cofnąć kilkaset lat. Mianowicie kilkaset lat wcześniej, mniej więcej 900 - 800 lat przed Chrystusem, Ziemia Święta, zamieszkiwana wtedy przez Izraelitów, była podzielona na dwa państwa. Może trochę tak, jak np. do niedawna Niemcy Wschodnie i Niemcy Zachodnie, jak Korea Północna i Korea Południowa, tak samo Ziemia Święta była podzielona na część północną, i ta nazywała się Izrael, ze stolicą w Samarii, i na część południową, i ta nazywała się Juda, ze stolicą w Jerozolimie. Państwo pamiętają, po lekturze tej książki na pewno, że ta sytuacja skończyła się w roku 722 przed Chrystusem, kiedy to ta część północna, ze stolicą w Samarii, stała się przedmiotem inwazji ze strony Asyryjczyków. Asyryjczycy przybyli w te strony z terenów dzisiejszego Iraku. Dokładnie tam, gdzie dzisiaj toczą się te zaciekle walki, to w starożytności była Asyria. Asyryjczycy podbili Samarię, zajęli Samarię, i państwo pamiętają – już nie będę tego streszczał we wszystkich szczegółach – uprowadzili z tej krainy ok. 50 tysięcy ludzi. To było w VIII wieku przed Chrystusem! 50 tysięcy to jest ogromna liczba ludzi, to jest rzeczywiście mnóstwo. Więc uprowadzili tych ludzi do Asyrii, deportowali ich ok. 1000 km na północny - wschód. Potrzebowali ludzi, nie wyniszczali ludzi, bo ludzie wtedy byli bardzo w cenie. Oczywiście nie z jakiś pobudek wzniosłych, ale przede wszystkim jako siła robocza. A ponieważ bali się, że ta depopulacja czyli zmniejszenie liczby ludności na terenie Ziemi Świętej będzie miała katastrofalne skutki, to na teren państwa północnego sprowadzili ludność rozmaitego pochodzenia, ludność pogańską: asyryjską, hetycką, kto im się trafił, kto był gdzieś tam w zasięgu ręki Asyryjczyków, to został sprowadzony tu, do północnego Izraela. I ci ludzie przemieszali się z niedobitkami miejscowej ludności i dali, ok. roku 700 - 650 przed Chrystusem, początek tzw. Samarytanom. Otóż Samarytanie to byli mieszańcy — z tej krwi lokalnej, miejscowej, izraelskiej i z krwi napływowej, z tych sprowadzonych rozmaitych niewolników. Razem ze sobą się wymieszali, dali początek takiej populacji bardzo mieszanej. I ta ludność samarytańska i Samarytanie przetrwali do dnia dzisiejszego. Otóż oni do dnia dzisiejszego istnieją jako osobna grupa etniczna i grupa religijna. Do tej pory żyje ich na terenie Izraela, odseparowanych od innych, ok. 600 osób. Natomiast drugie tyle, a może nawet więcej, mieszka na terenie Stanów Zjednoczonych, na terenie Kanady, na terenie Egiptu, i utrzymują bardzo ściśle więzi ze swoimi rodakami, którzy tam mieszkają na miejscu. Ja miałem nawet kiedyś szczęście, chyba o tym wspominam w książce, brać udział w święcie Paschy przeżywanym przez Samarytan. Do dzisiaj mam zdjęcia, które wtedy robiłem, przezrocza. Może kiedyś w przyszłym roku zrobimy sobie jakiś pokaz Ziemi Świętej, jak ona wyglądała dawniej. I tam jest pokazane przeżywanie Paschy przez Samarytan.

Więc oni do tej pory tam mieszkają. I wracamy do czasów Jezusa. Otóż w czasach Jezusa na południu, w okolicach Jerozolimy, w Judei żyli Żydzi. W Samarii żyli ci Samarytanie, a potem dalej

na północy, w Galilei znowu żyli Żydzi. A więc północ i południe — żyli Żydzi, a Samaria w środku zamieszkiwana przez tych Samarytan. Jaki był skutek tego? Pomiedzy Żydami a Samarytanami była nieprzyjaźń, wrogość. Jeżeli byśmy szukali jakiegoś odniesienia i porównania, to mniej więcej tak, jak dzisiaj między Żydami a Arabami. Tam bez przerwy coś się dzieje. A dzieje się dlatego, ponieważ oni są do siebie bardzo bliscy i jedni drugich dobrze znają. Kto mówi po hebrajsku, tego zrozumie każdy Arab. Kto mówi po arabsku, to Żyd też go również zrozumie, chociaż arabski jest trudniejszy, niż hebrajski. Ale potrafią się zrozumieć. Wiedzą, że są do siebie bardzo podobni i w związku z tym mają tę samą mentalność i tak samo reagują. I w związku z tym jest taka sama niechęć, czasami taka sama wrogość. I słyszymy, jak to na rozmaite sposoby tam odżywa. W starożytności było to pomiędzy Żydami a Samarytanami. Dlatego, i teraz już pointujemy ten przydługi wywód, kiedy Jezus udawał się z Galilei do Jerozolimy, to szedł wzdłuż Jordanu czyli przy dzisiejszej granicy izraelsko - jordańskiej, i wstępował do Jerozolimy od strony Jerycha, czyli od strony wschodniej. Wiele mamy wzmianek w Nowym Testamencie o Jerychu, i Jezus zawsze tamtędy chodził, żeby nie chodzić przez Samarię, bo między jednymi a drugimi była daleko posunięta wrogość. Ale teraz, tym razem, wracając do Galilei Jezus wybiera drogę przez Samarię. Zatem wybiera drogę, którą Żydzi nie uczęszczali, którą nie chodzili, której się bali. I to niekoniecznie dlatego, że była bardzo niebezpieczna, tylko dlatego, że był taki stereotyp wrogości między jednymi a drugimi. Bo proszę zwrócić uwagę, że koniec końców Jezus przechodzi, przechodzi bezpiecznie, a nawet został przez tych ludzi przyjęty, został przez nich ugoszczony — przeczytamy na końcu, że pozostał tam dwa dni. A więc potraktowali Go bardzo dobrze, jednak nie było to do końca normalne. Unikano takich bliskich kontaktów. I tu jeszcze jedno porównanie. My na szczęście nie mamy w Polsce tak, że mamy jakieś dzielnice zamknięte, albo okolice zamknięte, albo rejony, w które się nie udajemy, bo tam mieszkają ludzie, których się obawiamy. Ale w Stanach Zjednoczonych po dzień dzisiejszy tak jest. Kto z państwa zna odrobinę Amerykę dobrze wie, że w gruncie rzeczy tam jest daleko posunięta gettoizacja. Całe wielkie miasta są podzielone na strefy. Tu mieszkają Polacy, tu mieszkają Litwini, tu mieszkają Meksykańczycy, tutaj mieszkają czarni, tu mieszkają Azjaci, tu mieszkają Żydzi. I są takie dzielnice, do których tzw. biały człowiek, zwłaszcza wieczorem, nie wejdzie ani nie pojedzie. Bywają dzielnice, które są pilnowane po zęby, np. dzielnice żydowskie. I bywają dzielnice bardzo biedne, murzyńskie, przez które przejazd wieczorem nawet w autobusie kończy się przynajmniej okradzeniem albo pobiciem. Myślę, że na tym tle możemy dopiero zrozumieć nowość tego, co się tutaj wydarzyło. Mianowicie Jezus udaje się do Galilei, ale udaje się drogą, z której zazwyczaj nie korzystano.

I posłuchajmy dalej, bo już sama ta sytuacja wskazuje, że Jezus burzy pewne mury niechęci, mury nienawiści, burzy podziały między ludźmi. A więc że postępuje w sposób nie tylko odważny, ale też w sposób, który tych ludzi, do tej pory zwaśnionych, ma do siebie zbliżać.

Trzeba Mu było przejść przez Samarię.

Proszę zwrócić uwagę, że Ewangelia jest napisana po grecku i tutaj mamy takie słówko greckie [edejde]. To po polsku zostało przetłumaczone *Trzeba Mu było*, ale autor, św. Jan, chciał powiedzieć tak: „Skoro chciał iść tą drogą, musiał przechodzić właśnie przez Samarię. I w tym jest coś osobliwego.”

Przybył więc do miasteczka samarytańskiego, zwanego Sychar, w pobliżu pola, które [niegdys] dał Jakub synowi swemu, Józefowi.

Otóż cofamy się znów w czasy Starego Testamentu. Tamta cała okolica, środkowa Palestyna, to jest ziemia patriarchów. To jest ziemia Abrahama, Izaaka i Jakuba, którzy żyli tam ok. 1800 - 1700 lat przed Chrystusem. Kiedy tam podróżujemy, po dzień dzisiejszy jest to okolica obsadzona drzewami oliwkowymi, bardzo mało winnic, pola uprawne – na których od czasu do czasu można zobaczyć jęczmień czy pszenicę. I kiedy dzisiaj tam podróżujemy, to ta ziemia od czasów patriarchów i od czasów Jezusa zmieniła się bardzo niewiele. I mamy wspomnienie o miejscu związanym z Jakubem: „patriarcha Jakub darował pole synowi swemu, Józefowi”.

Było tam źródło Jakuba. Jezus zmęczony drogą siedział sobie przy studni. Było to około szóstej godziny.

My mówimy „studnia Jakuba”. Ale chodzi o to, że woda, która tam była, to była woda źródłana. Być może są wśród państwa osoby, które tam były, to przypominają sobie, że zawsze jest tak, że przy tej studni, gdzie dziś jest prawosławny kościół, jest wiadro na długim sznurze. Zakonnik, który tam jest na miejscu, pozwala, żeby tym wiadrem zaczerpnąć wody. To wiadro schodzi głęboko, hen hen, tę wodę podnosimy. Potem bierzemy kubki, pijemy tę niezwykłą wodę. Ale pierwszy ruch na tym polega, że odrobinę tej wody wlewa się do studni. Prosimy, żeby wszyscy byli bardzo cicho, i wtedy na trzy - cztery wylewa się wodę i czeka się, kiedy usłyszymy plusk tej wody. Wyliczono, że głębokość studni wynosi ok. 40 m. To bardzo dużo jak na starożytność, bo studnia pochodzi z tamtych czasów. I to bardzo osobliwe miejsce, że ta woda po dzień dzisiejszy tam jest. I czytamy dalej:

Jezus zmęczony drogą siedział sobie przy studni. Było to około szóstej godziny dnia.

Otóż Jezus zmęczony drogą siedział przy studni. Ta studnia ma kamienne ocembrowanie. Można sobie usiąść, oprzeć się na tym kamieniu. Można sobie usiąść obok, bo na pewno w starożytności były tam po prostu rozmaite kamienie. Mamy szóstą godzinę dnia — czyli mamy samo południe. Bo dzień rozpoczyna się koło 6 rano, i szósta godzina dnia to jest koło południa, a więc w porze największego upału. A ponieważ Jezus wraca z jednego ze świąt żydowskich, to musiało być w maju albo na początku czerwca. Czyli dokładnie o tej porze, jaką my teraz mamy. Z tym, że oczywiście w Ziemi Świętej o tej porze roku jest dużo goręcej. Koło południa nikt nie podróżuje. Każdy się zatrzymuje, szuka cienia. I oczywiście odpoczywa. To samo dotyczy i ludzi, i zwierząt. Zwierzęta się nie wypasają, ludzie nie pracują — czekają gdzieś do godziny 4 po południu, i ew. wtedy wznawiają pracę. Natomiast w maju i czerwcu praca polega na tym, że wstają przed wschodem słońca, pracują mniej więcej do jedenastej, potem odpoczywają, i później po południu już nie wybierają się na pole, bo ok. szóstej, wpół do siódmej — tam dzień jest krótszy — znów robi się ciemno. Więc pracują tylko w ciągu dnia.

Jezus więc jest zmęczony. Dodajmy — jest zmęczony jako człowiek. Bo był prawdziwym Człowiekiem. Syn Boży — prawdziwy Bóg i prawdziwy Człowiek. Pod tym względem podobny do każdego i każdej z nas. Usiadł przy studni i zmęczony, w samo południe, odpoczywa. Taki jest kontekst tego wydarzenia, o którym czytamy.

Nadeszła [tam] kobieta z Samarii, aby zaczerpnąć wody.

Otóż czerpanie wody i noszenie wody było, można by powiedzieć z dzisiejszej perspektywy — niestety — zajęciem kobiet. Tym się zajmowały kobiety i głównie kobiety. Musiały dostarczać wodę do domu. Taka studnia w Sychar, dawnym Sychem, była jedna —najwyżej dwie w danej miejscowości, ale zazwyczaj jedna. Przychodziły tam kobiety. Natomiast było wydzielone specjalne miejsce, do którego pod wieczór pasterze przyprawdzali zwierzęta: zwłaszcza owce, ale także kozy, inne zwierzęta. I trzeba było tej wody nanosić do domu. Oczywiście nie tylko do picia. Ale należało ją mieć do mycia, do rozmaitych obmyć rytualnych, do codziennej higieny, do gotowania. Zatem tej wody potrzeba było bardzo dużo. Państwo muszą wiedzieć, że w Ziemi Świętej od końca kwietnia do października nie spadnie żadna kropla deszczu, w tym czasie nie ma tam deszczu. Zatem o wszystko, co ma związek z wodą, trzeba zadbać. I woda to jest prawdziwy skarb. My też zaczynamy wodę coraz bardziej cenić. Ale woda w języku hebrajskim nazywa się braha. I tak samo nazywa się w języku arabskim: braha. „Braha” znaczy po polsku *blogosławieństwo*. Człowiek może żyć bez jedzenia, za długo nie pożyje bez snu — będzie wymęczony, wyniszczony. Ale człowiek nie może żyć bez wody. W klimacie palestyńskim bez wody można przetrwać kilka godzin tylko. Zatem woda musi być stale pod ręką, tak jak zawsze musi być dostępny cień. Przychodzi więc kobieta, koło południa, by zaczerpnąć wody.

Jezus rzekł do niej: «Daj Mi pić!»

I teraz zaczynamy się zastanawiać. Czy dlatego ją prosi, że nie było tego czerpaka, tego wiadra, które można było na sznurze spuścić, że każdy przychodził ze swoim? Ale to mało prawdopodobne, bo na pewno było takie społeczne — że tak powiem — wiadro. Czy też Jezus próbuje nawiązać kontakt z kobietą, której do tej pory nie zna? Wszystko do tej pory odbywało się bez słów. Gdybyśmy chcieli zrobić mały film z tego, to wyglądałoby to tak. Jezus siedzi, kobieta przychodzi. Zauważyła obcego mężczyznę, co w tamtej sytuacji niemal normalne. I ona bez słowa, albo może tylko z jakimś

tradycyjnym żydowskim pozdrowieniem, czy pozdrowieniem samarytańskim, czerpie wodę. Kiedy tej wody naczepała, Jezus mówi do niej: «Daj Mi pić!» Jak ona reaguje?

Jego uczniowie bowiem udali się przedtem do miasta dla zakupienia żywności.

Poszli, by kupić coś do jedzenia. Chleba, coś do chleba – jakiś humus, jakieś warzywa, bo mięso w starożytności było spożywane bardzo rzadko. Jezus pozostał zupełnie sam.

Na to rzekła do Niego Samarytanka: «Jakżeż Ty będąc Żydem, prosisz mnie, Samarytanę, bym Ci dała się napić?»

Ona jest straszliwie zdziwiona, bo tak się nie zachowywano. Żydzi nie utrzymywali — za chwilę to będziemy słyszeli — kontaktów z Samarytanami. Mężczyźni nie rozmawiali z kobietami, kobiety nie zaczepiały mężczyzn. Czyli po prostu była separacja, żyli obok siebie. A raptem tutaj dokonuje się coś nowego. Św. Jan wyjaśnia, wyraźnie mówi tak:

Żydzi bowiem nie utrzymują kontaktów z Samarytanami.

Zaznaczył dla tych wszystkich czytających Ewangelię, którzy by o tym nie wiedzieli. I dalej:

Jezus odpowiedział jej na to: «O, gdybyś знаła dar Boży i [wiedziała], kim jest Ten, kto ci mówi: "Daj Mi się napić" - prosiłabyś Go wówczas, a dałby ci wody żywej».

Okazuje się, że prośba o podanie wody była ze strony Jezusa próbą nawiązania rozmowy z nieznaną kobietą. I okazuje się, że potrzebujący Jezus ma stać się tym, który chce obdarować. Otóż że w tej rozmowie są dwie płaszczyzny, dwie warstwy. Jedna — to jest ta zwyczajna woda, która w sytuacji Ziemi Świętej jest prawdziwym skarbem. Ale druga warstwa — to Jezus wskazuje na dar znacznie głębszy, niż tylko woda. I powiada: „Gdybyś wiedziała, kim jest Ten, kto z tobą rozmawia, to prosiłabyś, żeby dał ci wody żywej”. Otóż to słowo *woda żywa* jest używane w języku hebrajskim po dzień dzisiejszy i nazywa się to po hebrajsku [maim haim]. [Maim] — woda, [haim] — życie. Woda życia, woda żywa. Tak nazywa się wodę, która płynie w strumieniu, w rzece, wodę bieżącą. Tak nazywa się wodę ze źródła w odróżnieniu od wody, która jest stojąca, w jakiś zbiornikach. Woda w strumieniu, woda w rzece, woda ze źródła jest uważana słusznie za najlepszą. Jezus powiada: „Gdybyś wiedziała, kim jestem, to prosiłabyś Mnie o maim haim — prosiłabyś Mnie o wodę żywą, o wodę źródlaną, o wodę najczystsza”. Oczywiście Jezus porusza się tutaj w warstwie, gdzie ta woda symbolizuje rzeczywistość inną, ale kobieta jeszcze tego nie wie. Ona jeszcze ciągle myśli — ma do tego pełne prawo, trudno, żeby było inaczej — w kategoriach tej zwyczajnej wody. I mówi do Jezusa tak

Powiedziała do Niego kobieta: «Panie, nie masz czerpaka, a studnia jest głęboka. Skądże więc weźmiesz wody żywej?»

Państwo zwróć uwagę na sam początek. Mamy słowo *Panie*. Otóż język hebrajski ma taką strukturę, że kiedy kobieta zwraca się do mężczyzny, to nazywa go [adomi] czyli *mój panie*. Kto wie — myślę, że trzeba by zapytać językoznawców — że ten hebrajski zwyczaj, żydowski automatycznie, mówienia per „panie” przeszedł do języka polskiego? Państwo bowiem zwróć uwagę, że w języku polskim mamy to słowo „pan, pani”, które dla obcokrajowców jest zupełnie niezrozumiałe. Bo oni mówią do siebie per „ty”. Czy to będzie po angielsku, czy będzie po francusku, czy po włosku, mogą mówić w liczbie mnogiej, „vous” na przykład. Natomiast kiedy słyszą nasze „pan, pani”, to ich to dziwi. My też z tym mamy rozmaitego rodzaju problemy: kiedy zaczynamy mówić do chłopca „pan”, a do dziewczyny „pani” itd. Wiemy doskonale, ile z tym jest rozmaitych trudności. Ta kobieta zwraca się do Jezusa, mówiąc do Niego: „Panie, nie masz czerpaka”, bo tak zwracała się każda kobieta do mężczyzny. Niestety po hebrajsku nie było tak, jak po polsku, czyli nie obowiązywało w drugą stronę. Mężczyzna mówił do kobiety, i po dzień dzisiejszy mówi: „ty”, albo w języku hebrajskim przez [gewereb] — to jest odpowiednik „pani” — ale w Piśmie Świętym to nie występuje. Więc kobieta zachowuje się zgodnie ze swoją obyczajowością semicką. Samarytanie bowiem, chociaż mieszańcy, byli tak samo Semitami, jak Żydzi. Więc:

nie masz czerpaka, a studnia jest głęboka. Skądże więc weźmiesz wody żywej? Czy Ty jesteś większy od ojca naszego Jakuba, który dał nam tę studnię, z której pił i on sam, i jego synowie i jego bydło?»

Wszystko dzieje się w odniesieniu do tej właśnie studni, przy której oboje siedzą. Ona pojmuje tę obietnicę, zapowiedź, że „dam ci wody żywej”, jako zapowiedź dania źródlanej wody z jakiegoś innego miejsca niż to, przy którym siedzą.

W odpowiedzi na to rzekł do niej Jezus: «Każdy, kto pije tę wodę, znów będzie pragnął. Kto zaś będzie pił wodę, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki, lecz woda, którą Ja mu dam, stanie się w nim źródłem wody wytryskającej ku życiu wiecznemu».

Jezus przenosi rozmowę na inny, duchowy poziom. Jeszcze ona tego też dalej nie rozumie. Ale naturalne pragnienie człowieka, pragnienie wody, staje się tutaj symbolem pragnienia duchowego, które każdy człowiek w sobie ma. Niech państwo zwrócą uwagę na ten wątek dlatego, że za chwilę zostaniemy zaszokowani tym, co już wiemy i czego dowiemy się o tej kobiecie. Otóż Jezus rozmawiając z tą kobietą wyczuwa, że jest w niej prawdziwy głód głębszych spraw. Że jest w niej większa tęsknota i większe pragnienie niż to tylko, które może zaspokoić woda. Że, gdyby chciała otworzyć się na Niego, to On jest w stanie tej tęsknocie, temu głębszemu pragnieniu sprostać. Być może ona sama jeszcze sobie tego samego nie uświadamiała. Bo z każdym z nas jest tak, że każdy nosi w sobie jakiś głód, jakieś pragnienie, jakąś tęsknotę, która może się odezwać przy jakiejś okazji, dać o sobie znać i wyrazić się, czasami aż do bólu. Albo też czujemy jakieś niespełnienie, jakąś głębszą potrzebę, która czeka na swoje zadośćuczynienie. Na to, żeby znalazł się ktoś, kto tej potrzebie wyjdzie naprzeciw. I tu mamy do czynienia z czymś takim. Jezus zna bardzo dobrze wnętrze człowieka i wnętrze tej kobiety, z którą rozmawia.

Rzekła do Niego kobieta: «Daj mi tej wody, abym już nie pragnęła i nie przychodziła tu czerpać».

Wydaje jej się, że nadal chodzi o wodę, która jest potrzebna na co dzień, do codziennego użytku. Skoro Jezus deklaruje, że ma taką main hain, taką wodę źródlaną, wodę czystą — niechże jej da! Nie musiałyby wtedy tak ciężko każdego dnia pracować, nie musiałyby tej wody nosić. W dalszym ciągu rozmawiają na dwóch poziomach.

A On jej odpowiedział: «Idź, zawołaj swego męża i wróć tutaj!» A kobieta odrzekła Mu na to: «Nie mam męża». Rzekł do niej Jezus: «Dobrze powiedziałaś: Nie mam męża. Miałaś bowiem pięciu mężów, a ten, którego masz teraz, nie jest twoim mężem. To powiedziałaś zgodnie z prawdą».

I to jest chyba jeden z najbardziej poruszających fragmentów tego epizodu. Oto bowiem Jezus najpierw idzie przez Samarię, przełamuje jeden schemat. Rozmawia z kobietą, której nie zna — drugi schemat. I rozmawia z kobietą, która nawet według ówczesnej obyczajowości i moralności nie podpadała pod zwyczajne oceny. Ale rozmawia z nią, bo czuje, że w tej kobiecie jest jakiś przedziwny głód, przedziwne niespełnienie, przedziwna tęsknota. Próbuje wydobyć świadomość tej tęsknoty przez nawiązanie do wody. I kobieta ta nadal myśli, że chodzi o wodę po którą już nie będzie musiała przychodzić. Ale Jezus jej uzmysławia, że jest w niej coś głębszego, niż tylko potrzeba wody. Że jest w niej właśnie pragnienie, z którego musi sobie zdać sprawę. Ale zauważmy, że gdybyśmy nawet nie myśleli starożytnymi kategoriami, lecz dzisiejszymi, to byłibyśmy chętni, czy skłaniałibyśmy się ku temu, by ją potępiać. Z kim On rozmawia? Kogo On zaczął? O czym rozmawia? Przecież o życiu tej kobiety wiedzieli ci, którzy tam w starożytności żyli. Państwo też popatrzą na jeszcze jedną rzecz, że starożytne standardy etyczne, moralne, obyczajowe niewiele różniły się od naszych. To, co w naszych czasach sprawia trudności, i w starożytności sprawiało je tak samo. Ludzie mieli te same problemy, to samo życie. Tak samo je prowadzili. Byli tacy, co nie mieli takich trudności. Byli inni, którzy tak je przeżywali, jak tutaj słyszymy — w sposób bardzo złożony. Jezus ją pochwalił. Pochwalił nie za to, co robiła, pochwalił ją za szczerość. Otóż tam, gdzie człowiek ma jakieś problemy w życiu, gdzie człowiek ma jakieś kłopoty, zwłaszcza te najtrudniejsze, musimy szukać jakiejś nici do tego, aby tego człowieka zrozumieć, aby go przyjąć, go zaakceptować, żeby trafić do niego. Otóż nie ma ludzi, którzy są do końca zepsuci, do końca źli. W każdym człowieku jest jakaś iskierka, którą można rozniecić. Otóż Jezus rozniecił iskierkę, którą byśmy nazwali szczerością. Nie łatwo przyznać się czy powiedzieć o swoim życiu, zwłaszcza jeżeli ono jest tak złożone, tak skomplikowane, jak było życie tej kobiety. Ona to jednak prostodusznie powiedziała. Powiedziała tak, jak było. On zauważył, że już na tej szczerości można zbudować coś nowego. Czytamy dalej:

Rzekła do Niego kobieta: «Panie, widzę, że jesteś prorokiem.

I tu my znów tego zdania nie rozumiemy. Bo dla nas prorok to człowiek, który zapowiada przyszłość. A więc to ten, który zapowiada to, co będzie. I myślimy sobie: dlaczego ta kobieta mówi, że Jezus jest prorokiem? Przecież nic o przyszłości nie było! Ale w biblijnym tego słowa znaczeniu „prorok” to jest człowiek, który uczy swoich współczesnych dobrego życia, prawego życia, szlachetnego życia. który wskazuje na to, co grzeszne, co występne, i który prowadzi ludzi do Boga. Który prostuje ludzkie ścieżki, który sprawia nawrócenie. Otóż kiedy Jezus słyszy tę kobietę i pochwała jej szczerłość, i mówi jednocześnie o jej życiu: „Miałaś pięciu mężów” to ona dostrzega, że ma do czynienia z kimś, kto rozpoczyna oceniać jej życie, kto skłania ją do podjęcia rachunku sumienia. Może było tak, że ona uważała siebie już za przegraną. Prawdę mówiąc w starożytności nie wszystkie kobiety nosiły wodę. Nosiły albo młode dziewczyny, albo kobiety gorzej traktowane. Ta zalicza się do tych drugich. Gorzej traktowana — może dlatego, że z jej opinią, z jej życiorysem patrzono na nią jako na tę, której przeznaczeniem będzie nosić wodę. Może nie cieszyła się jakimś szacunkiem, respektem. Nie potrafimy powiedzieć nic więcej o jej rodzinie, ale z całą pewnością była osobą wrażliwą. I czytamy dalej:

«Panie, widzę, że jesteś prorokiem. Ojcowie nasi oddawali cześć Bogu na tej górze, a wy mówicie, że w Jerozolimie jest miejsce, gdzie należy czcić Boga».

Cała ta akcja dzieje się u podnóża gór. Jedna góra, po prawej stronie – tak, jak bym ją widział, nazywa się Garizim. Druga góra, po lewej stronie, nazywa się Ebal. Jedna i druga ma ok. 700 m wysokości. I ta kobieta w relacji, którą przytacza św. Jan, przechodzi teraz na poziom jeszcze głębszy. I mówi: „Wy oddajecie cześć Bogu w Jerozolimie, a my oddajemy cześć Bogu na tej górze”. Jaki ona ma problem? Ma problem z Bogiem! Ma problem ze sobą, bo żyje tak, jak żyje, ale ma także problem z Bogiem. Jedni czczą tak, drudzy czczą tak — myśli sobie ta kobieta. A właściwie może to jest tak, że człowiek jest zostawiony samemu sobie? Czy nie mieliśmy takich dylematów? Otóż to są dylematy religijności wystawionej na pewien kryzys. Kiedy człowiekowi jest dobrze, czy powodzi się pomyślnie, to i religia jest sprawą łatwiejszą. Wielu pytań w ogóle sobie nie zadajemy. Ale kiedy ktoś w życiu ma ogromne trudności, kiedy ktoś w życiu przeszedł bardzo dużo, to zadaje sobie pytanie: „I ci czczą Boga, i ci czczą Boga. Ci tu, ci — tam. Jak to właściwie jest z tym Bogiem? Wymaga Bóg takiego życia rygorystycznego, a skoro już w życiu nic naprawić nie można — tak, jak w jej przypadku nie sposób cofnąć się do dzieciństwa — to jak to jest z tym Bogiem? Może lepiej o Nim zapomnieć, może lepiej o Nim nie pamiętać? Może lepiej żyć tak, jak gdyby Pana Boga nie było? Gdzie jest ta prawda wiary? Gdzie jest ta prawda wyznawania Pana Boga? Skoro jest tak ciężko, tak skomplikowanie, tak złożenie, tak trudno żyć, to może lepiej mniej myśleć o Panu Bogu? I ona też idzie tym tropem. Tym tropem, którym pewnie przed nią a potem po niej, i w naszych czasach, idą tysiące ludzi.

Odpowiedział jej Jezus: «Wierz Mi, kobieto, że nadchodzi godzina, kiedy ani na tej górze, ani w Jerozolimie nie będziecie czcili Ojca. Wy czcicie to, czego nie znacie, my czcimy to, co znamy,

Jezus zapowiada rzeczywistość nową. Powiada do kobiety tak – gdybyśmy chcieli przełożyć mniej więcej na nasz codzienny język: „Słuchaj, my czcimy Boga w Jerozolimie, wy czcicie Boga na tej górze. Twoje wahania, twoje rozterki są uzasadnione. Przychodzi dzień, kiedy nie będzie się Go czciło tu, ani tam. Gdy będzie się Go czciło we wnętrzu, kiedy ludzie zrozumieją, że najważniejszym jest to, co się dzieje w sumieniu człowieka, to, co się dzieje we wnętrzu człowieka. Że właśnie to jest istotą religijności. Że nie jest tak ważne, czy to będzie na tej górze, czy w Jerozolimie. Religia — tę myśl jeszcze pogłębimy — i religijność ma to do siebie, że może ludzi dzielić. Wiele razy żeśmy się przekonali w dziejach ludzkości, że jedni w imię Boga powstawali przeciwko drugim. Choćby najbardziej brutalne przykłady, które nam ciągle sprawiają trudności i natrafiają na nasz sprzeciw, to napisy na niemieckich pasach: „Gott mit uns!” I ten Bóg źle się kojarzył tym, którzy mieli z tymi ludźmi do czynienia. A więc Bóg ludzi łączy, ale rozmaite religie, rozmaite sposoby oddawania Mu czci mogą ludzi dzielić. Trzeba więc bardzo uważać, żeby religii nie zamienić w znak podziału pomiędzy ludźmi. Że najważniejsze jest to, co dokonuje się w człowieczym wnętrzu. I Jezus mówi do niej jeszcze tak:

Wy czcicie to, czego nie znacie,

A więc ten samarytański obraz Boga nie jest pełny – powiada Jezus. Może dlatego, że była też tam ta obca krew, obce wyobrażenia. Natomiast:

my czcimy to, co znamy, ponieważ zbawienie bierze początek od Żydów.

Tutaj w tym miejscu — wziąłem specjalnie grecki tekst Nowego Testamentu, czyli tekst oryginalny, z którego są dokonywane przekłady na język polski — czytamy po grecku tak: Hoti soterija et non Judajon est in. Ponieważ soterija – *zbawienie*, et non Judajon – *z Żydów*, est in – *jest*. Zbawienie przychodzi od Żydów. Jezus pokazuje, że cała Boża ekonomia Starego Testamentu zmierzła właśnie ku temu wypełnieniu, kiedy już świątynia, czy w Jerozolimie, czy na górze Garizim, nie będzie ważna. Kiedy nastanie czas wyznawania Pana Boga przede wszystkim we własnym sumieniu, dostępny dla każdego człowieka. Jeżeli dla każdego — to i dla tej Samarytanki również. Otwiera jej oczy, że jej sytuacja nie jest stracona. Że to nie jest tak, że ona musi sobie zadawać pytania o Boga. Bo ten głód, który w niej jest, też nie jest przypadkowy. Ta tęsknota, z którą się zmagają, musi zostać zaspokojona. Zbawienie pochodzi od Żydów — czyli Bóg objawiał się narodowi Bożego wybrania, cierpliwie go prowadził. Z tego narodu wywodzi się również Jezus. Ale wraz z Jezusem religia i wyznawanie Boga nabiera nowego charakteru, nabiera nowej jakości. Nie będzie ważne już miejsce, nie będą ważne te różnicowania pomiędzy ludźmi, te podziały, te granice. Każdy człowiek będzie miał dostęp do Pana Boga bezpośrednio, poprzez to bogactwo duchowego życia, które w sobie nosi. A więc nie będą już potrzebne te zewnętrzne znaki — ofiary, kult, pielgrzymowanie w tym staro-testamentowym znaczeniu. Zaczyna się czas nowego sposobu wyrażania swojej wiary. Państwo popatrzą, że tą, która to przesłanie wysłuchała, była kobieta, Samarytanką, i kobieta – nazwalibyśmy ją dzisiejszym językiem – po przejściach. Jej pierwszej ukazuje Jezus perspektywę zbawienia. Może to właśnie jest tak, że ci, którzy doświadczyli rozmaitych trudów życia, mają jednocześnie w sobie głębszy głód tych wartości, o których sądzą, że dla nich są niedostępne? Jezus ją przedziwnie przenika i przedziwnie tę rozmowę prowadzi. I czytamy dalej:

Nadchodzi jednak godzina, owszem już jest, kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w Duchu i prawdzie, a takich to czcicieli chce mieć Ojciec.

Zatem każdy człowiek będzie mógł wyznawać Boga. Każdy człowiek, niezależnie od swojej sytuacji, od swojego położenia, od swoich życiowych uwikłań, będzie mógł do Boga wrócić. Będzie mógł się z Nim pojednać, będzie mógł Go znaleźć, bo dzieje się to „w Duchu i prawdzie”. Sprawcą jest Duch, a ze strony człowieka potrzebna jest szczerłość. Szczerłość w patrzeniu na siebie, aby się otworzyć na Pana Boga. Ona pierwsza słyszy orędzie zbawienia, którego narzędziem stanie się krzyż i męka Jezusa Chrystusa. Ona jeszcze o tym nie wie, jeszcze tego nie przeczuwa, ale stało się coś, co moglibyśmy nazwać *preparatio Evangelica* czyli *przygotowaniem do Ewangelii, wstępem do Ewangelii*. Ponieważ Jezus nie raz takie rozmowy przeprowadzał, i przeprowadzał je w tak niezwykłych okolicznościach, to przypominają sobie państwo później, że robiono Mu wyrzuty, że jada z celnikami i grzesznikami. Miano Mu to za złe, że zachowuje się, rozmawia i postępuje w ten sposób. Otóż Jezus przeciera tutaj szlaki tej pobożności prawdziwej, która nie chce przekreślić każdego człowieka. Bo ile razy już o tym mówiliśmy, że dla każdego człowieka Bóg zesłał Swojego Syna, i Syn przelał swoją krew. Otóż godność każdego człowieka wynika z dzieła stworzenia. I każdy, nawet ten najbardziej zabłąkany, jest tym, którego Pan Bóg potrzebuje i szuka. Tę kobietę też.

Bóg jest duchem:

mówi dalej Jezus,

potrzeba więc, by czciciele Jego oddawali Mu cześć w Duchu i prawdzie».

Zwróćmy uwagę — z poziomu pobożności Starego Testamentu, tej pobożności kultowej, tej pobożności, która wymagała ofiar: owiec, kozłów, cielców, baranów, Jezus przenosi na poziom tej pobożności w Duchu. Pobożności, której drogowskazem jest szczerłość. Powiedzieliśmy już kiedyś, że świątynia jerozolimska nie była specjalnie atrakcyjnym miejscem. Nad tą świątynią codziennie unosił się krzyk zwierząt, które składane były w ofierze. Codziennie lała się krew. Jezus kładzie

kres tego rodzaju kultowi Pana Boga. Wraz z Jego męką i śmiercią nie trzeba będzie już składać żadnych zwierzęcych ofiar. Nie trzeba ani w Jerozolimie, ani na górze Garizim, tylko w Duchu i prawdzie. I raz jeszcze podkreślam — przy tamtych ofiarach zwierzęcych wydawało się, że ten jest pobożniejszy, kto ma większego wołu, większego cielca, kto prowadzi ze sobą dwie owce a nie jedną, kto składa bogatszą ofiarę do skarboxy. Przy tym kulcie, który zaproponował i który wprowadził Jezus, najważniejsze rozgrywa się w sumieniu. Czciociele Boga oddają Mu cześć w Duchu i prawdzie. Tam mogli składać ofiary ci, których jest na to materialnie stać. Tu, u Jezusa, mogą do Boga mieć śmiały przystęp ci, którzy tego bardzo pragną. I dla nikogo nie jest to zamknięte, także dla tej kobiety.

Rzekła do Niego kobieta: «Wiem, że przyjdzie Mesjasz, zwany Chrystusem. A kiedy On przyjdzie, objawi nam wszystko». Powiedział do niej Jezus: «Jestem nim Ja, który z tobą mówię».

Te ostatnie słowa w gruncie rzeczy kończą pierwszą, najważniejszą część tego epizodu, który dzisiaj mieliśmy przeczytać. Te ostatnie słowa są niesłychanie ważne, bo one nawiązują do Księgi Wyjścia, w której Mojżesz pyta Boga o imię. A Bóg odpowiada: „Moje imię jest **Ehji Aszer Ehje** – *Jestem, Który Jestem*. Moim imieniem jest Obecność. Życzliwa, wspomagająca, cierpliwa, dobra. Kiedy tłumaczono, a stało się to w Aleksandrii, na terenie Egiptu, Pismo Święte Starego Testamentu na język grecki, to tę hebrajską formułę przetłumaczono na **Ego Ejmi Hohon** – *Ja Jestem Będący, Istniejący, Ten, Który Zawsze Jest*. Państwo posłuchają, jak brzmią te słowa w ustach Jezusa, te, które przeczytaliśmy po polsku. Jezus powiedział tak: **Ego ejmi kolalonsoj**. To **Ego Ejmi** jest najważniejsze – „Ja Jestem, który z tobą rozmawiam”. Po raz pierwszy w Ewangelii św. Jana Jezus zwraca uwagę tej przypadkowej rozmówczyni na swoją mesjańską i boską godność. Mówi o sobie: „Ja Jestem” – „Ego Ejmi”. Takimi samymi słowami, jak Bóg przedstawił się w płonącym krzewie Mojżeszowi. Kiedy się czyta po grecku Ewangelię św. Jana, te słowa występują w Ewangelii dziewięć razy, jak nowenna. W dziewięciu sytuacjach Jezus mówi o sobie: **Ego Ejmi** – *Ja Jestem*. Ostatnia z tych sytuacji ma miejsce w 18 rozdziale Ewangelii św. Jana, podczas przesłuchania Jezusa przed Pilatem, a wcześniej przed arcykapłanem. W tej najbardziej krytycznej sytuacji Jezus mówi: *Ja Jestem*. Tutaj objawia siebie kobiecie, i to Samarytance, którą poznaliśmy. Przesłanie zatem tego fragmentu Ewangelii jest niezwykle pocieszające, chociaż może brzmieć dla nas dziwnie. Mianowicie monopolu na prawdę o Bogu nie mają ci, którzy dobrze żyją wg. ludzkich standardów. Ewangelia pokazuje nam, że także w spotkaniu z tymi, którzy prowadzą grzeszne życie, dochodzi do głosu prawdziwe, dobre, szczere rozpoznanie Boga. I że ci ludzie wstępują wtedy na drogę nawrócenia. I że ta droga nawrócenia jest Bogu tak samo miła, jak droga niewinności. Jezus wiele razy rozmawiał z ludźmi dobrymi, bardzo dobrymi. I bardzo ich chwalił za to, że są dobrzy. Ale jeżeli chodzi o tych, którzy mieli trudności, zawsze próbował szukać jakiejś drogi, aby do nich trafić i obudzić w nich nadzieję. Dać im nadzieję na obecność Boga, na życzliwość Boga, na dobroć Boga, który jest w stanie odmienić ich serca. I tak samo tutaj — objawia siebie, po raz pierwszy, samarytańskiej kobiecie.

Wiemy, jaki był dalszy ciąg. Ona natychmiast pobiegła do wsi. Powiedziała tam, w osadzie: „Spotkałam Tego, na którego tak długo czekaliśmy”. I Samarytanie, uważani do tej pory za wrogów, przybyli do Jezusa i uprosili u niego, by pozostał u nich dwa dni. I pozostał tam dwa dni, a miał być tylko przez czas jakiś. Kiedy Jezus umarł i zmartwychwstał, Dzieje Apostolskie opowiadają, że do Samarii udał się Apostoł Filip. A kiedy przybył do Samarii, został tam tych, którzy już uwierzyli w Jezusa. Pewnie był to posiew tej rozmowy. Tak więc i Samarytanie, którzy nie byli Żydami, dostąpili owego udziału w zbawieniu. A nośnikiem i narzędziem stała się właśnie ta kobieta. Tyle byłoby, jeżeli chodzi o czytanie epizodu Jezusa z Samarytanką.

Chciałbym państwu bardzo gorąco podziękować za cały ten rok, za wszystko, co wspólnie przeżyliśmy, i za tę biblijną medytację. Otóż za kilka miesięcy, jeżeli spokojnie dożyjemy, w październiku podejmiemy znów refleksję.